

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Adolf Dygasiński**

**AS**



## ROZDZIAŁ I

*Albin Zabrzski. – Były właściciel majątku ziemskiego i były nadleśny. – Wyżeł. – Warowanie i aportowanie. – Psy na placu Ewangelickim i na Zielonym. – Sześć siostr panien. – Czarne oczy Morusieńki.*

Pan Albin Zabrzski, warszawski elegant, jeden z takich, co to pierwszy by się nie zawahał chodzić na czworakach, gdyby mu bieżąca moda nakazywała. Przed kilku laty można go było widzieć wystawającego przy szybach różnych modnych sklepów galanteryjnych i jubilerskich. Uperfumowany, z grzywką na czole, z włosami troskliwie przez sam środek głowy rozczesanymi, płaszcz z pelerynką, laska o ręczce z kości słoniowej – wszystko, od kapelusza aż do skarpetek, ostatni żurnal. Na to przyozdobienie swej osoby nie potrzebował wcale pracować. Dzięki spuściźnie po ojcu mógł żyć dostatnio i w bezczynności. Takemu dobrze na świecie: rzadkie rozrywki i przyjemności innych ludzi są to jego zwyczajne zajęcia.

Coś dziesięć lat tak przeżył i w trzydziestym piątym roku życia zaczął się odzywać do ludzi, z którymi żył bliżej: „Słowo honoru daję, nieznośne i głupie jest życie”. Mówił to ziewając i tonem ofiary, która wśród poświęceń odkrywa światu nie znaną dotąd prawdę.

Zrobił się kwaśny, w rzeczywistości nic szczerze nie lubił. Do teatru uczęszczał teraz tylko przez nałóg, na balach tańczył jak z musu, w winta przegrywał lub wygrywał obojętnie, zarzucił modny obecnie sport na bicyklu i już nie chciał o nim słyszeć. Ale co tu mówić, on na piękną kobietę spoglądał przez szkiełko w oku z fizjonomią człowieka, który po raz trzeci został wdowcem.

Wśród takiego rozbicia pan Albin zaczął poszukiwać ocalenia w knajpach, gdzie niekiedy można znaleźć wesołe towarzystwo i zabawić się cudzym dowcipem. Przypadł mu jakoś do smaku ten rodzaj spokojnego sybarytyzmu na nowym *forum*. Zaglądał naprzód dosyć pilnie Pod Daszek, gdzie, jak wiadomo, jadają śniadania i kolacje dziennikarze, literaci, artyści i rozmaity naukowy proletariatus, który lubi wydać, a nie może częstokroć zarobić. Nie każdego tam ciągnie półmisek i butelka, więcej chęć spotkania ludzi, uprzyjemnienia sobie nudnego aktu odżywiania. Stosunków przyjaźni, koleżeństwa nikt zapewne nie poszukuje na tej drodze, ale spotkać się w knajpie z przyjacielem, kolegą jest równie dobrze, jak i gdzie indziej. Jeden drugiemu niemo wtedy mówi: „Bądź moim ulubionym kwiatem podczas biesiady!”

Niczym kwiatem nie był Zabrzski, tylko jemu samemu przez pewien czas było tu dobrze. Śniadanie jadał przy stoliku dziennikarzy i grywał o koniak w tak zwaną „derdymałkę”, co się niekiedy zaciągało do czwartej po południu. Gdy przychodził wieczerać, zaważał o inne jakie kolegium i tak mu dzień schodził.

Mężczyźni, gdy już przejdą poza okres dojrzałości i zaczynają więdnąć, w rozmowach swoich bardzo chętnie zwracają się ku płci pięknej. Niejeden sam z sobą prowadzi monologi na tenże temat bodaj nie z płaczem, ale odbija się za to w towarzystwie drwiąc wesoło z takich spraw, które go przed chwilą mocno bolały. Wiele tomów dałoby się ułożyć z dowcipów, żartów i anegdot, opowiadanych w kółku artystycznie – literackim Pod Daszkiem, a zawsze stosowanych do rodzaju żeńskiego. Patrząc na tych, po największej części dobrze już podtatusiałych biesiadników, musiałeś mimowolnie pomyśleć: „Co zamiera w życiu, zmartwychwstaje w pieśni”. I to jest dobre jako mały dodatek do życia.

Ta sfera jednakże nie była odpowiednia dla pana Albina, który z owym gronem ludzi, oprócz sympatii dla takich rozmów, nie miał zresztą nic a nic wspólnego. Czuł on przy tym, że go tutaj lekceważą, i to wrażenie zatruwało mu rozkosz słuchania dowcipów. Kiedy nareszcie pewien złośliwy literat wyraził się o jakimś budynku, że to jest „styl cielejącej główki z grzywką nad czołem, rozczesanej przez środek i w płaszczyku z pelerynką”, Zabrzski wziął przycinek do siebie i zakład Pod Daszkim stracił gościa.

Jadał potem śniadania na Miodowej z adwokatami. Ale wśród wszystkich zawodów sybarytyzm palestry jest najmniej powabny: prawnicy jedzą i piją szybko, rozmawiają o rzeczach poważnych i najczęściej są zarozumiali jak prorocy. W głowie przeciętnego warszawskiego adwokata tkwi zawsze podczas śniadania ostatni proces, ostatnia partia winta, ostatnie wielkie bankructwo. Naturalnie, nie brakuje wyjątków... Między prawnikami pan Albin znowu zaczął wątpić o wartości życia i postanowił jadać śniadania samotnie.

Przeniósł się więc na plac Teatralny do Müllera, gdzie jednak nie zdołał uniknąć znajomości z niejakim panem Wincentym, byłym właścicielem majątku ziemskiego, i z panem Marcinem, byłym nadleśnym. Ci dwaj nowi towarzysze, jako ludzie bez zajęcia, mieli bardzo wiele czasu do zabicia. Opowiadali oni, że poszukują w Warszawie posad, że tutaj niedawno przybyli, że im się miasto bardzo podoba, chociaż drożyzna itd. Barczyści, ogorzali, prostoduszni wieśniacy nazywali Zabrzskiego „panem dobrodziejem” i okazywali mu tyle szczerego szacunku; że go tym dziwnie za serce wzięli. Słuchali uważnie, a śmiali się do rozpuku, kiedy im opowiadał rozmaite anegdoty zaczerpnięte z literackiego kółka Pod Daszkim. Pochlebiali to wywiędłemu mieszcuchowi, że takie żubry mają dla niego uznanie, którego on gdzie indziej nie znajdował. Kiedy się bliżej już z nimi poznał, a wyczerpał prawie wszystko, co miał do powiedzenia, zaczęli oni dopiero mówić.

Doświadczą się znacznej przyjemności czytając różne opisy i opowiadania utalentowanych autorów, ale potęguje się jeszcze zadowolenie, gdy nam ktoś żywym słowem i z talentem przedstawia obrazy przygód, których on sam osobiście doświadczał.

Pan Wincenty i pan Marcin byli to zapaleni myśliwi, a w opowiadania swoje myśliwskie wkładali cały zapal, całą energią owej namiętności, co to bez względu na niewygody, niebezpieczeństwa pędzi człowieka z kniei w knieję i skazuje go na życie cygańskie. Ustaliło się przekonanie, że myśliwi sławnie kłamią. Jest to przyznanie myśliwym zdolności, jakimi się odznaczeni: Homer, Wergiliusz, Tasso, Dante, Cervantes i inni poeci. Niech zmyśla ten, kto umie pięknie zmyślać! Naga prawda bowiem jest nieraz nudna, gdy jej sztuka nie przystroi w nadobne szaty zmyślenia.

Były ziemianin i były nadleśny posiadali ważne warunki autorstwa: szczerze kochali swój przedmiot opowiadania, znali go na wylot i posiadali język prosty, jędrny.

Każdy wie, że mnóstwo arcydzieł nie drukowanych przepada razem z imionami swych twórców. Czyż talent i miłość tworzenia jakiego Sabały koniecznie chodzi w parze z pretensją do drukowania?

Pachniało naokoło rozpróżnionego paniczyka, gdy jego towarzysze żywo malowali obrazy kniej, niedostępnych wertepów, jarów w różnych porach roku. Nikt lepiej od myśliwego nie zna piękności wschodu i zachodu słońca, uroków nocy na pełni księżyca i ciemności pełnej grozy. Cóż mówić o śmiertelnych nieraz zapasach z dzikimi olbrzymami borów, o zgiełku psiarni, rogów myśliwskich, o huku strzałów? Tak jak przygody Robinsona ogarniają umysł dziesięcioletniego chłopca, podobnie opowiadania myśliwych podbiły zupełnie umysł Zabrzskiego. Oni ciągle wyczekiwali na jakieś posady, ciągle ich spotykał zawód, ciągle mieli dużo czasu do zabicia i tonęli we wspomnieniach życia przeszłego. On wysysał niejako ich zapal i coraz bardziej przejmował się żyłką myśliwską.

Pod takim wpływem pozostawał pan Albin pewnie ze trzy miesiące i został czysto teoretycznym myśliwym. „Myślistwo jest bardzo przyjemną i szlachetną rozrywką, muszę się wziąć do tego sportu!” – tak sobie nieraz myślał w duszy.

Tymczasem owi nieocenieni towarzysze śniadaniowi naprzód zaczęli kwaśnieć i tracić chęć do gawędy, następnie przestali bywać u Müllera, gdzie ich służba nazywała „ćwikami”. Po panu Wincentym i po panu Marcynie zostało tylko wspomnienie, że pierwszy zjadał na śniadanie kopę kołdunów, drugi – łokieć kielbasy z kapustą i że obaj brzydzili się czarną kawą z likierem, a pili węgryna tylko.

Gdzież się podzieli ci ludzie? Może wyjechali z Warszawy, może dostali posady i wzięli się do pracy, a może jadal śniadanie gdzie indziej.

Kiedy się teraz Zabrzęski przeniósł do Stępkowskiego i tam na śniadaniach spotkał znowu towarzyszy, ale już nie myśliwych, rozprawiał z nimi tylko o polowaniu. Przejął się zaś do takiego stopnia duchem myśliwskim, że prawdziwe i nieprawdziwe zdarzenia przedstawiał jako własne życiowe doświadczenia; co więcej, zupełnie samodzielnie tworzył nowe opowieści, anegdota. Można go istotnie podziwiać z tego względu, iż nigdy w życiu nie był na polowaniu, lasy znał jedynie z okien wagonu kolei żelaznej i z malowanych pejzażów, a strzelał tylko do zawieszonych butelek na Saskiej Kępie, do tekturowych zwierząt w Promenadzie, do jajka na wytrysku fontanny w Bellevue. Jego ciekawe opowiadania wytworzyły atoli w umysłach nowych towarzyszy niezłomne przekonanie, iż mają do czynienia ze znakomitym myśliwym, w co ostatecznie i on sam uwierzył z czasem. Żeby opinii takiej nadać poważny charakter, począł uczęszczać do strzelnicy, gdzie usilnie wprawiał się w celne strzelanie. Następnie poszedł jednego dnia do magazynu Ronczewskiego i sprawił sobie tam wszystko, czego myśliwy potrzebuje, naturalnie oprócz rzetelnie myśliwskiego animuszu. Kupił więc odtylcową dubeltówkę z dwiema parami luf i w mahoniowym pudle, ładunki pierwszego gatunku z prochem cesarskim, torbę myśliwską, trąbkę, świstawkę, kordelas, flaszkę na wódkę i co tam jeszcze. Jakkolwiek nie zarzucił ani grzywki, ani rozczesywania włosów przez środek głowy, nosił teraz jednak niekiedy bury strzelecki kapelus z piórkiem i poleciał krawcowi, aby mu sporządził myśliwskie ubranie.

U wszystkich znajomych dowiadywał się, czy kto nie ma na zbycie dobrego wyżła, a gdy go zawodziły te poszukiwania, podał do kuriera treściwe ogłoszenie: „Chcę kupić rasowego i dobrze ułożonego wyżła”.

Kto posiada dobrego psa, przypadkiem tylko zmuszony może go mieć do sprzedania; przeto różni ludzie zgłaszający się z wyżłami usiłovali wetknąć panu Albinowi psy pokojowe, które umiały wykonywać najrozmaitsze sztuczki; jeden skakał przez kij i na zawołanie „ciepło!” zrywał czapkę z głowy, inny znowu wyciągał z kieszeni chustki do nosa, nosił za panem laskę itd. Mnóstwo było do zbycia tych psich błaznów, a Zabrzęski ciągle się wahał. Nareszcie przyszło mu do głowy, że najlepiej będzie nabyć młodego wyżła i albo go własną pracą ułożyć, albo oddać gdzie na naukę. Wpadł mu zaś był w oko bardzo przyjemny z powierzchowności, fertyczny, czarny jak kruk ponter imieniem As.

Bywają ludzie z bardzo krewkim temperamentem, ale największy nawet narwaniec – człowiek nie daje się porównać z psem – wariatem, zwłaszcza gdy pies okazuje wesołość, ochotę. Gdy się zdarzy taki sangwiczny wyżeł wpadający w szały, potrzebuje on wytrawnej ręki wychowawczej, aby go uczyniła dobrym, mądrym psem myśliwskim – i to we właściwym wieku. As stanowił ideał psa – szaleńca. Sprzedał go był jakiś mieszkający na Sewerynowie emeryt, który miał sześć córek i te z młodym wyżłem wyprawiały w domu takie hałasy, że stary nie mógł się oddawać swej nałogowej poobiedniej drzemce. Tyranizowany przez córki, nie śmiał im zabronić swawoli zgiełkliwej i przemyślał tylko, jak by się tu pozbyć nadzwyczajnie hałaśliwego psa. Otóż, kiedy wyczytał w kurierze ogłoszenie pana Albina, nikomu nic nie mówiąc wyprowadził potajemnie z domu Asa i sprzedał go szczęśliwie.

Zabrzęski niebawem sprawił sobie książkę o układaniu wyżłów i systematycznie rozpoczął domową edukacją psa, polegającą na nauczaniu warowania i aportowania. Wyraz „waruj!” był teraz ciągle na ustach pana Albina. Jednakże As, który wiek szczenięcego żywota spędził

między pannami, karmiony przysmakami i pieszczony do zbytku, uważał sobie takie „waruj!” za proste wezwanie do figlów i w odpowiedzi na to szczekał zapalczywie, wyskakując jak szalony przed swym nauczycielem. Stosownie do przepisów książki, nauczyciel przyciskał nieraz ucznia ręką do ziemi, z ogromnym naciskiem wykrzykując: „Waruj, waruj!” Ale skoro tylko ręka pofolgowiała, As się natychmiast zrywał i w dwójnasób wynagradzał sobie takie przymusowe zahamowanie energii. Co tu począć?

Książka radziła, ażeby – w razie, gdy nie skutkują środki łagodne i pies okazuje upór – użyć sposobów surowych, to jest zastosować powszechnie znaną, a słusznie przez długi czas cenioną metodę patyka. Chociaż niefachowy pedagog, Zabrzieski wiedział, że ból doświadczony na własnej skórze obudza pożyteczne uczucie obawy, która z kolei rzeczy wiedzie do posłuszeństwa, czyli do zaniechania upor. Zdawałoby się, że to spostrzeżenie psychologiczne jest prawdą niezaprzeczoną i że trzeba nie mieć oleju w głowie, aby się zrzec tak skutecznego środka, a jednak...

Nie wskórawszy nic a nic w pierwszym tym dziale domowej edukacji, nauczyciel uznał za rzecz właściwą przystąpić do działu drugiego, to jest do niezmiernie trudnej nauki aportowania. Dla psa – flegmatyka z usposobieniem leniwym warowanie niewiele nastęcza trudności, gdyż spoczywa ono już w usposobieniu: pies – próżniak i bez nauki kładzie brzuch na ziemi, głowę między wyciągnięte przednie łapy i leży. Wyżeł z żywym, gorącym temperamentem ma już we krwi niejako aportowanie.

Och, As okazywał aż nadto pochopności do chwytania w zęby wszystkiego, co się nadarzyło. Gdy raz znalazł na sofie otwartą książkę o układaniu wyźłów, włożył z nią pod sofę i tam doszczętnie podarł, pogryzł. Za to otrzymał znowu chłostę szpicróżgą i wprawdzie nie utracił chęci do brania w zęby innych przedmiotów, ale sam widok książki napelniał go nieopisaną trwogą. Pokazuje się, że aby oduczyć, trzeba bić za każdą rzecz; aby nauczyć, bicie często nie pomaga. Mocna wiara w uogólnione teorie prowadzi wychowanie psów na manowce: psy – są to indywidualności.

Pan Albin też coś jak by pojmował, iż spełnienie rozkazu „waruj!” brzmi dla Asa ponuro, przechodzi poniekąd jego siły; tymczasem „aport!” pobudza go do czynności. Za podnoskę do aportowania miał posłużyć okaz wypchanej wiewiórki, stary grat wyciągnięty spomiędzy rupieci. Naszemu wyźłowi aż się ślepie zaiskrzyły, gdy pan jego z wyrazem „aport” na ustach trzymał w ręku wiewiórkę.

Owe lekcje tak wypełniały czas Zabrzieskiemu, że teraz później jadał śniadania, wcześniej powracał do domu z kolacją, wstawał regularnie o ósmej z rana i zaraz się zabierał do lekcji z wyźłem.

Już po upływie dwóch dni nauki wydało się panu Albinowi, że As zrobił znaczne postępy w aportowaniu, gdyż jakkolwiek nie odnosił jeszcze panu podniesionego przedmiotu, pozwalał go sobie jednak odbierać. Toteż trzeciego dnia rano nauczyciel, dumny z osiągniętych rezultatów, a pełen nadziei na przyszłość, pod najlepszą wróżbą rozpoczął swoją pracę. Za pierwszym rzuceniem podnoski i na zawołanie „aport!” As z właściwą sobie skwapliwością i zwinnością poskoczył ślizgając się po woskowanej posadzce, o którą stuknęły jego pazurki. Pełen zapału pochwycił w zęby upragniony przedmiot, ale ani myślał odnosić go panu, tylko co tchu zmykał gdzieś tam na tyły mieszkania. Właśnie o tej porze służący Franciszek powynosił z mieszkania na dziedziniec meble, aby z nich kurze wytrześcić, i zostawił tylne drzwi otwarte, co pozwoliło wyźłowi swobodnie wymknąć się z domu.

– As, do nogi!... As, aport!... – wołał Zabrzieski stanąwszy w negliżu przy lufciku.

Pies spojrział parę razy w okna pierwszego piętra, jak gdyby drwił z krzyków swego mistrza, a potem wyciągnął się pod pompą według przepisów o warowaniu i trzymając między przednimi łapami wypchaną wiewiórkę, zaczął ją pracowicie patroszyć.

Krzyk pana Albina posłyszał trzępiący meble Franciszek i chciał wyźła zawrócić do mieszkania. To mu się nie udało, gdyż zbieg porwał podnoskę i z podniesionym w górę

ogonem bardzo rażno, ochoczo derdnął za bramę. Zaraz na ulicy spotkał go inny pies, pudel z pochodzenia, właśnie kończący obwąchiwanie węgla domu, a teraz zaciekawiony w najwyższym stopniu przedmiotem niesionym przez Asa w zębach. – „Co by to mogło być takiego?”...

Ponieważ Zabrzieski mieszkał przy Erywańskiej, przeto wyżeł wydostawszy się na ulicę niedaleko miał plac Ewangelicki, dokąd też żwawo się puścił, a za nim pędził w derdy ów rozciekawiony pudel, pragnący namiętnie zajrzeć z bliska Asowi w zęby. Za psami w odległości kilkunastu kroków podążał służący Franciszek z trzepaczką w ręku, złowrogim spojrzeniem w oku i przekleństwem na ustach:

– Bodaj jasne pioruny spaliły taką służbę!...

Mało kto może zwrócić uwagę na to, że plac Ewangelicki jest od dawna ulubionym punktem zbornym psich schadzek, szczególnie w godzinach porannych. W porze letniej, jak tylko się rozpocznie dzienny ruch miejski, można się tutaj przyjrzyć wielce uciesznym scenom psich figlów. Właśnie i teraz wyprawiał tam harce, skoki, płasy jakiś nadzwyczajnie zwinny mopsik z ogonkiem w kółko zakręconym i w obróżce z dzwoneczkami. Za współzawodnika w turnieju popisowym miał ten psi akrobata atlete, ogromnego popielatego doga z obciętymi uszama, w szerokiej metalowej obroży z monogramem swego pana. Kilka innych psów w charakterze widzów zdawało się brać żywy udział w widowisku: opasły, gruby w karku i pysku, z obwisłymi policzkami buldog; delikatny, wątłej budowy charcik, na którym mimo ciepłych promieni słońca drżała febrycznie skóra przywykła do pokojowej atmosfery; pudel przez nożyce na lwa wystrychnięty; wyżeł, co sfilistrzał w mieście używając ze swym panem tylko raz na dzień przechadzki od domu do knajpy; nareszcie jakiś mieszaniec skrobiący się nieustannie tylną łapą po wełnistym karku.

Niektóre z nich stały, inne przysiadły na ogonie, przyległy na brzuchach, a z ich fizjonomii można było wyczytać, że gdyby tylko posiadały ludzkie dłonie, z pewnością byłyby mopsikowi oklaski. Inteligencją i pełną wdzięku zręcznością malców widocznie psy nawet cenią wyżej aniżeli brutalną siłę olbrzymów.

Pojawienie się na placu Asa i pudła nieustannie Asowi zagląającego w zęby przerwało wesołą zabawę. Wszystkie psy, ile ich tam było, zwróciły ciekawe oczy na przybyszów, a każdy zdawał się wzrokiem zapytywać:

„Co też ten wyżeł może nieść w zębach?”

Niebawem wielki dog pierwszy przyskoczył do Asa, nastroszył się okrutnie i musiał mu warknąć do ucha jakąś brutalną groźbę, gdyż młody wyżeł bojaźliwie spuścił ogon, pokornie się przypląszczył i jednocześnie wypuścił z zębów wiewiórkę. W tejże chwili lotem strzały przyskoczył mopsik, chwycił upuszczoną podnoskę i pognał z nią w cwał przez plac, a za nim popędziły teraz wszystkie psy, nie wyłączając Asa i przybyłego z nim pudła. Cała ta gromada obiegła naokoło kościoła, po czym zjawiła się znowu na placu, naprzeciwko pałacu Kronenberga. Już ten, już ów zaskakiwał drogę mopsowi, który jednakże umiał się zawsze zręcznie wywinać, a w ostatnim razie uchodził popod brzuchami psów większych.

Żywym ruchem roilo się to psiarstwo; z wiewiórki na wszystkie strony wylażyły jakieś kłaki, a co ją który pies dopadł, skubnął, potem się zatrzymywał, smakował i usiłował wypluć pakuty, oblegające mu podniebienie.

Tak się tutaj rzeczy miały, kiedy niespodziewanie wtargnął na plac Franciszek, uzbrojony w trzepaczkę do mebli. Fizjonomia człowieka pełna goryczy, jego chód niecierpliwy, ruchy niespokojne i ta trzepaczka, wyglądająca jakoś podejrzenie w rękach ludzkich, wszystko to sprawiło, że As jakby poczuwając się do winy zaczął rejterować. Inne psy widocznie pozostawały w niepewności, co czynić, i wyczekiwały dalszego przebiegu wypadków. Atoli mopsik naraz wypuszcza z pyska podnoskę, odważnie naciera na Franciszka i szczeka zapalczywie. Pozostałe psy, zachęczone przykładem, tak dalece nabrały otuchy, że nawet As, dezertier, zawrócił i dopiero cała ta psiarnia opadła służącego, zuchwale nań nacierając,



zajadle go oszczekując na różne głosy. Zaskoczony Franciszek używał trzepaczki jako broni odpornej, przy tym idąc tyłem wycofywał się z trawnika, pewny, że skoro dotrze do głównej alei placu, psy zaniechają dalszej napaści. Biedak zapomniał, że aleję główną oddzielają od trawnika pręty grubego drutu, przeciągnięte między drewnianymi słupkami! Skoro więc w swoim cofaniu się natrafił nareszcie nogami na ową zdradliwą przeszkodę, poderwany znieca, padł tyłem jak długi na główną aleję nakrywając się nogami. Nie przewrócił on wprawdzie przechodzącej tamtędy właśnie jakiejś otyłej niewiasty, ale upadkiem swoim narobił jej takiego strachu, że baba wrzeszczała jak opętana. Powstały stąd zamęt usposobił psy do odwrotu, do czego może się też przyczynił i widok stójkowego, który już nadchodził w groźnej postawie.

Cała czereda z mopsikiem na czele powywieszawszy języki puściła się drogą poza kościołem, następnie przebiegła w skok ulicę Erywańską między snującymi się dorożkami i wypadła na plac Zielony, obiecujący daleko więcej swobody.

Markotny, bo potłuczony, Franciszek powrócił do domu, gdzie krótko a węzłowato oświadczył Zabrzieskiemu, że on godzi się tylko do obsługi panów, nie myśli zaś na stare lata zbijać psy po mieście, gdyż od tego są stróże, posługacze i inne podlejsze gatunki człowieka. Potem usiadł w przedpokoju i wymrukiwał, że go przepłacano, aby przyjął służbę w Ogrodzie Zoologicznym, a nie chciał, ponieważ uważa sobie za ostatnie upodlenie usługiwanie zwierzętom.

Pan Albin, człowiek mało stanowczy, zmilczał udając, iż nie słyszy tych przemów i przycinków; wypytał się tylko służącego, gdzie obecnie As przebywa, i sam osobiście wyruszył na obławę.

Na Zielonym placu było nadzwyczajnie wesoło. Tym razem w przedstawieniu główne role przypadły Asowi i pudlowi. Oba psy w odległości jakich trzydziestu kroków przywarowały jeden naprzeciwko drugiego i bacznie spoglądały sobie w oczy. Nagle As powstał i czając się szedł noga za nogą w kierunku pudła, ażeby go niby też to znieca napaść. Ta psia zabawa jest jakby prototypem znanej gry dzieci: „bawmy się w zajaca”. Mędrzy bierze zwykle na się w tej zabawie rolę głupiego, a tak się zachowuje, jak gdyby rzeczywisty głupiec był bardzo mądry.

– As, do nogi! – krzyknął Zabrzieski, a głos jego rozkazujący na miejscu stropił wyżła i zupełnie mu odebrał chęć do dalszej zabawy.

Przyzwany w chwili kiedy właśnie miał się rzucić na rzekomego zajaca, a potem go ścigać wypłoszony z kotliny, As, spiorunowany znanym sobie głosem, wstydliwie wtulił ogon pod siebie i ciągle się oglądając kłusował w przeciwległą okolicę placu, byle jak najdalej od pana. Pudło jednakże nie stracił przytomności umysłu, chociaż występował w roli lękliwego zajaca; przez chwilę rzucał bystro oczyma to na wyżła, to na przybyłego człowieka, jak gdyby sobie chciał wytworzyć należyty sąd, o co takiego może tu chodzić. Widocznie zrozumiał wszystko i na tej zasadzie postanowił działać, gdyż truchtem pobiegł do Asa i stanął obok niego. Zabrzieski znowu, podobnie jak znaczna większość ludzi, miał przekonanie, że głupiego psa człowiek zawsze może podejść chytrą swego rozumu; nieznacznie więc zbliżał się, a udawał takiego, który nie ma zamiaru ani interesu te dwa psy niepokoić. Wszystkie zresztą psy, ile ich tam było, wietrzyły widać jakąś zdradę, gdyż poczęły się z placu wynosić, zachowaniem swoim dając mniej więcej do zrozumienia: „Skoro nie można przewidzieć, co za zamiary ma w duszy ten oto człowiek, przeto na wszelki wypadek lepiej się stąd oddalić”.

Również i As miał chętkę drapnąć, bo skwapliwie zerkał oczyma za pierzchającymi towarzyszymi, ale go widocznie przykuwała do miejsca wiara w przyjaźń i rozum pudła, gdyż pozostał.

Co się teraz pan Albin zbliżył na jakie dwadzieścia kroków odległości od obu psów, pudło zaraz brał nogi za pas i gnał na przeciwległy bok placu, a za nim podążał wyżeł. W taki

sposób Zabrzesci obszedł trzy razy naokoło plac Zielony i dopiero się stuknął w czoło ozdobione grzywką, gdyż zrozumiał nareszcie, iż pudel demoralizuje Asa.

– Czekajcież, nicponie, pokażę ja wami – zawołał i skinął na stojącego przy Hotelu Francuskim posłańca, któremu wydał polecenie w tych słowach:

– Ten czarny pies należy do mnie i trzeba go koniecznie oddzielić od tamtego białego pudla!

Dwaj ludzie, jeden w kapeluszu, drugi w czerwonej czapce, obaj uzbrojeni w laski, stanęli teraz naprzeciwko dwóch psów, ażeby rozerwać ich przyjacielski związek.

Pudel, jak się zdaje, od razu zrozumiał, że co dwaj nieprzyjaciele, to nie jeden, że więc nie należy się silić na wynajdywanie chytrych środków obrony na małej przestrzeni placu, ale trzeba sobie zdobyć większe terytorium. Pudel rzucił się w Rysią ulicę pozostawiając towarzysza wśród nieprzyjaciół. Głupio się musiało zrobić na sercu Asowi, gdy stracił przyjaciela i przewodnika, a pan jego przyzwał teraz do pomocy aż dwóch nowych posłańców. Tymczasem pudel obiegł tylko naokoło przez Marszałkowską i niebawem zjawiał się poza łańcuchem oblawy, szczekaniem uwiadamiając wyżła o fortelu. Usłyszany głos sprzymierzeńca dodał wyżłowi otuchy. As rozpedził się, uderzył na słabszy punkt czat nieprzyjacielskich, a choć w przelocie dostał od Zabrzesciego kijem, złączył się jednak z pudlem. Obaj druhowie puścili się teraz kłusem około cukierni Sztengla, przez krótką tylko chwilę przystanęli na rogu przy domu Blocha, porozumiewawczo spojrzeli sobie w oczy, a potem w cwał uderzyli na bramę Ogrodu Saskiego. Nie zdobyli tu sobie jednak wejścia, ponieważ bacznym policjantem energicznie zagroził im drogę, przy czym pudel otrzymał potężne pchnięcie piętą.

Z tej przeszkody niewiele sobie widać nasze psy robiły, gdyż podniosły w górę ogony i pobiegły jeden obok drugiego na plac Ewangelicki, stanowiący, jak wiemy, rodzaj psiej resursy.

Nie był to czas stosowny do oddawania się zabawie połączonej z ruchem fizycznym, gdyż czerwcowe słońce wysoko już jaśniało na niebie żarem swym piekąc ziemię. Kompania, która teraz przebywała na placu Ewangelickim, składała się głównie z takich psów, co to nie mają gdzie głowy schronić i prowadzą nocny sposób życia, a w upalne dni letnie wysypiają się po placach w cieniu drzew i krzewów – psy bez oznaczonego sposobu do życia, zawsze głodne, gotowe kraść lub przyjąć pierwszą lepszą służbę bez namysłu. Te sponiewierane przez nędzę wywłoki, o ile im los pozwoli ująć ręki oprawcy, żyją nieraz miłosierdziem kucharek, młodszych, nianiek, dzieci; niekiedy gryzą w śmieciach jaki stary trzewik, są nieśmiałe, bojaźliwe i przed każdym człowiekiem z pokorą merdają uniżenie ogonem. Jeżeli człowiek pędzi taki tryb, nazywa się go upadłym, spodlonym; psa można nazwać jedynie nieszczęśliwym. Kilku takich nieboraków poziewając i z wyrazem obojętności w oku spoglądało na Asa i pudla, które wyglądały zuchwale, butnie, jak gdyby świadomie dumne, iż prowadzą walkę z ludźmi.

Wkrótce atoli nadbiegli tu także spoceni, pełni skwapliwości posłańcy, co szli za zbiegami jak woda mając w odwodzie pana Albina. Na ten widok przywykłe do ludzkiego prześladowania psy – żebraki okazały niepokój i jaki taki począł dźwigać swoje zemdlałe kości. Pudel zająwszy najbardziej odkryte stanowisko od razu spostrzegł, że nieprzyjaciele nie zaniechali pogoni, i niedługo się namyślając poskoczył w ulicę Erywańską wraz z Asem, a z Erywańskiej pognał na plac Zielony. Psy odkryły drogę Kolumba, dobrze teraz wiedziały, że z placu Zielonego łatwo się można dostać znowu na Ewangelicki i tak w kółko.

Doprowadzony do ostateczności Zabrzesci jeszcze raz krzyknął straszliwym głosem:

– As, do nogi!

W odpowiedzi na to oba psy poszły w ulicę Rysią.

Zgrzytnął zębami pan Albin, zły, że wszystkie jego usiłowania rozbiły się o psią przebiegłość. Głodny, zziębnięty, chmurny oświadczył posłańcom, iż ich wynagrodzi sowicie, jeżeli mu tylko wyżła dostawią do domu. I poszedł na śniadanie do Stępkowskiego.

Przechodząc przez Ogród Saski, ze zdziwieniem spotkał tu pana Wincentego, dawnego towarzysza śniadań od Müllera, i z miejsca opowiedział mu wszystkie swoje zajścia z Asem.

– Ja myślę – mówił stary myśliwy – że pan bierzesz się do nie swoich rzeczy. Ułożenie wyżła, zwłaszcza w starszym wieku, nie jest łatwe.

To twierdzenie swoje uzasadniał pan Wincenty różnymi znanymi sobie przykładami. Szli, postawiali rozmawiając ciągle i nareszcie, gdy już wyszli na plac Teatralny, Zabrzęski jął zapraszać miłego towarzysza na „wódeczkę” do Stępkowskiego.

– Nie, nie pójdę – odrzekł pan Wincenty porównyując swój zegarek z ratuszowym. – I tak się już spóźniłem, a Marcin z każdym dniem staje się drażliwszy... Właśnie czeka na mnie u Brajbisza i jeżeli pan chcesz, proszę na gorzałkę, przy czym pogadamy o Asie.

Pan Albin nie sądził, aby mu Brajbisz zastąpił Stępkę, ale poszedł przez grzeczność i w nadziei znalezienia skutecznej rady, co się tyczy układania wyżła.

Rzeczywiście, pan Marcin blisko już od godziny siedział w ogródku głodny i zły, bo nie mógł jeść nie wypiwszy kieliszka wódki, a wódki znowu za nic w świecie nie piłby w pojedynkę. Niegdyś pożeracze kołdunów i kiełbasy jedli teraz sztukę mięsa z ogórkiem, a węgrzyna zastępowało piwo. Potoczyła się żywa rozmowa o wyżłach i ich przysposobianiu do polowania; tylko pan Marcin miał jakiś cierpki humor, ni stąd, ni zowąd przypinał łatki Warszawie mówiąc:

– Warszawskie łgarstwo, warszawskie błazeństwo!... Nikomu słowa nie dotrzymać, a ciągle dawać „słowo honoru”, to czysto po warszawsku!

Zabrzęski się nawet parę razy zarumienił nieco, biorąc do siebie niektóre przycinki, a w duszy sobie myślał:

„Co się stało z tym człowiekiem? Taki uprzejmy, grzeczny był dawniej!”

Wysypawszy się i zjadłszy ogromny gnat sztuki mięsa z rurą pan Marcin częściej się odzywał, a gorycz też jego przemówień zmalała cokolwiek.

– Muszę panu przede wszystkim powiedzieć – mówił do Zabrzęskiego – że „As” nie jest to właściwa dla wyżła nazwa! Jakież asy, winty, fausty, bardy – mogą być dobre dla mopsów, pinczerów, pudłów i innej psiej mieszczańskiej hołoty, ale nie dla psa myśliwskiego! Następnie, imię wyżła powinno być dwuzgłoskowe, aby pies pojmował, że się go istotnie nazywa... Jedną jedyną samogłoskę może myśliwy z łatwością niedbale wymawiać, co psa tropi tak samo jak człowieka... Skoro więc wprowadzasz pan do myślistwa karcciarstwo, nazwijże swojego wyżła przynajmniej As-pik!

– Pedantyzm, posunięty do drobiazgowości! – odezwał się pan Wincenty.

– Lepiej być pedantem aniżeli fanfaronem, lekkoduchem! – powiedział z naciskiem były nadleśny poprawiając sobie włosy, które mu nieustannie odsłaniały łysinę, narażoną przez to na dokuczliwość much.

– Jak na myśliwego masz za dużo pedantyzmu i przesądów – rzekł były dziedzic tonem, z którego znać było, że domawiając ostatnich słów, żałował, iż je wymówił.

– Za dużo pedantyzmu i przesądów jak na myśliwego? – zapytał pan Marcin spoglądając jadowitym wzrokiem na swojego towarzysza. – A czy to mój pedantyzm i moje przesady wyległy się w kolanie czy łokciu, że o nich z lekceważeniem mówi mój kolega myśliwy?... Mnie się zdaje, iż one powstały w mózgowicy, gdzie się wpisuje wszystko, czego człowiek myślący doświadcza w ciągu życia. O, panie Wincenty, znać na tobie kilkumiesięczny pobyt w Warszawie!... Spudłowałeś już dzisiaj dwa razy: uczynkiem, boś się o godzinę spóźnił na stanowisko, i – językiem, mierząc do zwierzyny, do której nie należy strzelać.

Powiedziawszy to pan Marcin na wpół z uśmiechem, na wpół poważnie zwrócił się do Zabrzęskiego z tymi słowy:

– Myśliwy powinien siebie ułożyć przedtem, nim chce wyżyły układać! A cóż to jest ułożenie myśliwego? Jego pedantyzm i przesady! Przesady musi mieć rolnik, żeglarz, rybak; przesady są koniecznością wszędy, gdzie człowiek szczerze i z przejęciem się pracuje.

– Szczerłość i przejęcie się pracą może sobie człowiek zostawić, pedantyzm i przesady odrzucić, a będzie pracował z tym większym rezultatem – mruknął pan Wincenty.

– Mówisz czysto po warszawsku! Słowo w słowo jak ten szlifibruk w okularach, który mię przed kilku dniami chciał gwałtem ubezpieczyć na życie. Ja mu powiadam: „Panie, to jest niemoralnie, ażeby żona, dzieci, krewni wyczekiwali na śmierć ubezpieczonego w nadziei zagarnięcia po nim spadku!” A on mi odpowiada: „Przesady, przesady, przesady! Trzeba raz przełamać przesady i iść z duchem czasu, z postępem!” Innym razem dałem się wciągnąć na jakiś wieczór, gdzie miano jakoby o czymś bardzo ważnym rozprawiać. Patrząc, występuje jegomość chudy, zdechłak wysuszony w bibule, i pali przemowę o oszczędności, przeczności. Kiedy ten skończył, występuje drugi i przedstawia różne przykłady oszczędności we Francji, Anglii, w Niemczech, mówi, że odkładając dziennie złotówkę można mieć za trzydzieści lat tyle a tyle, za czterdzieści – jeszcze więcej... Zapytuję kogoś, co to wszystko znaczy, i odpowiadają mi: „Będziemy się zapisywali do przeczności składając codziennie po złotówce”. A i po to się zbierać? Przecież ja tę sztukę znam dawno, a jeżeli nie odkładam, to dlatego, że nie mogę i nie chcę robić oszczędności niedorzecznej, bo na własnym organizmie. „Działalność kolektywna jest cechą czasów nowożytnych, precz z przesadami jednostek!” – wrzasnął mi nad uchem jakiś elegant... Otóż do tego zmierzam, że co jest przesadą dla takich krzykaczy, stanowi dla mnie zasadę życia.

– O pedantyzmie i przesadach w myślistwie była mowa, a ty, Marcinie, w zapale Bóg wie dokąd zajechałeś! – zrobił uwagę były właściciel ziemski i zwracając się do pana Albina tak mówił: – Mój przyjaciel twierdzi na przykład i upiera się przy swoim twierdzeniu, że wyżeł, którego bodaj raz dotknęła ręka kobiety, jest już zupełnie stracony dla myśliwego. Ponieważ nie mogę pojąć, co za związek zachodzi między kobietą, wyżełem i myślistwem, nazywam to przesadą i będę tak nazywał!...

– No, ale ja rozumiem bardzo dobrze, a to nawet mogę z góry przepowiedzieć, że taki pies bawidamek jest niezawodnie przez naturę upośledzony!... Do niewiast zbliżają się i lgną wyżeły z dolnym wiatrem, nicponie noszące łeb nisko, które się co chwila zatrzymują i tak głośno węszą w tropach, jak gdyby tabakę niuchały... Jest to moja obserwacja, nie żaden przesąd! Pytajcie się natury, nie mnie, dlaczego wytworzyła ten związek między kobietą a wyżełem!... Ho, ho, wyrazem „przesąd” nikt mnie nie stropi, gdyż ja wolę swoje własne przesady aniżeli cudze prawdy! Co się zaś tyczy pedantyzmu, to punktualność, drobiazgowość w myślistwie...

Tu pan Marcin machnął lekceważąco ręką, jakby chciał powiedzieć: „Głupim nie ma co o tym mówić”, nie dokończył zdania, zapalił zgasłe cygaro i zamilkł.

Zabrzeski zwracał się teraz z zapytaniami dotyczącymi wykształcenia Asa i otrzymywał odpowiedzi głównie od pana Wincentego. Dopiero przy pożegnaniu, gdy się mieli rozchodzić, przemówił też i pan Marcin, jakoś już udobruchany.

– Niechże się już nazywa i As, choć mi to przypomina pierwsze litery wyrazu *asinus*<sup>1</sup>!... Tylko żeby się na nim taki prognostyk – *nomen omen*<sup>2</sup> – nie sprawdził, daję panu dobrą radę: jest w Kościejowej Wólce leśniczy, niejaki Benedykt Ochota, ogromny majster, można śmiało powiedzieć profesor od układania wyżełów; oddaj że mu pan swego wyżeła na wyćwikę, a za dobry skutek poręczam!... Ale widzisz pan, ja jestem pedant, nie lubię nic robić pstrum – brum; więc proszę tu zaraz zapisać sobie adres: „Benedykt Ochota w Kościejowej Wólce,

---

<sup>1</sup> A s i n u s (łac.) – osioł

<sup>2</sup> N o m e n o m e n (łac.) – w imieniu tkwi wróżba

ostatnia poczta Skierniewice”. Możecie się porozumieć listownie czy osobiście, jak pan wolisz!...

Kiedy nareszcie pan Albin po tym pożytecznym dla siebie śniadaniu wrócił do domu, zastał tam już wszystkich trzech posłańców, którzy mu teraz na wyścigi, jeden przez drugiego, opowiadali zajmującą historią swoich przygód z Asem. Najciekawszy atoli z tego wszystkiego był koniec. Jak się pokazało, oddzielili oni naprzód pudła, obili go i odpędzili; a wtedy wyżeł, strudzony niezmordowaną pogonią, uchodząc przed obławą zapędził się aż na Sewerynów. Tam – opiewało sprawozdanie posłańców – wpadł do sieni jednego domu i naraz stał się tak śmiały, jakby na swoich własnych śmieciach: biegał po podwórzu, szczekał, wpadał do różnych sionek, ujadał. Wkrótce też ukazały się jakieś panie i zaczęły go witać z ogromną radością wołając:

– Asiunio, Asiunio, kochany Asiunio!

Wówczas najenergiczniejszy z posłańców śmiało się postawił i otwarcie zażądał od tych pań, aby wydały wyżła, którego ściganie kosztowało już tyle trudów. Zadziwił się atoli posłaniec, gdy owe panie nie tylko nie uwzględniły jego słusznego, jak mniemał, żądania, ale okryły go obelgami i zagroziły przyzwaniem policji.

– Niesłychane rzeczy! – zawołał ze zgrozą pan Albin. – Cóż to znowu? Kto śmie przywłaszczać sobie moją własność?...

I zapalony gniewem, wzburzony, pośpieszył co tchu na Sewerynów, gdyż powątpiewał nieco o prawdziwości zeznań posłańców i postanowił je osobiście sprawdzić.

W samej rzeczy As uchodząc przed natarczywymi posłańcami schronił się na Sewerynów do domu emeryta, którego córki z niezmierną radością powitały ulubionego psa, nakarmiły przysmakami i okryły pieszczotami.

Najstarsze trzy nosiły imiona: Luta, Guta i Niuta; średnie – Anusia i Franusia; najmłodszą, najprzystojniejszą zwano Morusieńka. Luta, przeszło czterdziestoletnia dziewczyna, nazywana w domu „aniołem stróżem rodziny”, trzęsła całym gospodarstwem, ubierała się w jasne barwy, paliła namiętnie papierosy, należała pośrednio do Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt i lubiła często powtarzać:

– Moim obowiązkiem jest poświęcać własne szczęście dla dobra ojca i młodszego rodzeństwa.

Tylko jeden ojciec wiedział, że Lucie zaczął się piąty krzyżyk, ale się z tym nigdy nie odzywał, siostry zaś zawsze ją uważały jako pannę w sam raz na wydaniu, a nie wychodzącą za mąż dlatego tylko, że „teraz takie czasy, mężczyźni się nie żenią”.

Guta chorowała na literatkę i cała rodzina uwielbiała ją jako „inteligencją”, która zawsze stanowczo rozstrzygała kwestie, jak: „Kto pisze lepiej – Syrokomla czy Kraszewski?” Obecnie wszystkie siostry wpadały w zdumienie i nie mogły odgadnąć, dlaczego As na widok książki w rękach Guty ze strachem krył się po kątach, trwożliwie pomrukując. Było to wspomnienie chłosty, otrzymanej od pana Albina za pogryzienie książki o układaniu wyżłów – wstręt dający się łatwo usprawiedliwić.

Kiedy się tutaj zjawił Zabrzęski, As, przybrany w błękitną wstążkę z kokardą na szyi, siedział na kanapie między Lutą i Gutą, a inne panny zbliżały się do niego nieustannie, głaskały rączkami, nazywały pieszczotliwie „Asiuniem”, o mało go nie całowały. Panu Albinowi natychmiast się przypomniały uwagi byłego nadleśnego o demoralizowaniu psów myśliwskich przez kobiety. Wyżeł też ujrzawszy swego pana i wychowawcę przypomniał sobie widać rozmaite z nim zatargi, gdyż w okamgnieniu się porwał z tego ogrójca rozkoszy i w skok dał nura pod kanapę.

Domyśliły się zapewne panny, że nieznamy gość jest tym, którego posłańcy wypominali jako właściciela wyżła; Luta bowiem natychmiast oceniła trafnie przestrach Asiunia i szepnęła Gucie na ucho: „To niezawodnie ten przywłasciciel, tyran!” Guta niebawem powtórzyła to samo na ucho Niucie i wieść się rozeszła.

Widok licznego grona kobiet uspokoił jakoś pana Albina, który w sposób wielce uprzejmy zaczął niebawem usprawiedliwiać swoje przybycie, a następnie uzasadniać prawa własności wyżła. Czyniąc to spotkał się niejednokrotnie z pięknymi, wielkimi i czarnymi oczyma Morusieńki. Umyślnie czy przypadkiem najmłodsza z sióstr zajęła miejsce niedaleko okna, przez które promienie słońca padały na jej głowę i prześlicznie ją oświetlały nadając niezwykle uroczy blask hożym licom, a granatowy odcień lśniącym, kruczym warkoczom. Wyglądała jak nadludzkie zjawienie świętej.

Najniezawodniej ta okoliczność sprawiła, że gość przedłużał tutaj swój pobyt i pod wpływem uroczych oczu Morusieńki począł nawet rozwodzić się o takich rzeczach, które z daną sprawą nie miały żadnego związku. Co tu długo mówić? Nasz myśliwy uległ sile wzroku niewieściego i zdemoralizował się podobnie jak jego wyżeł. Atoli Luta i Guta dały mu wnet do zrozumienia, że zrobiły dla niego wielkie już ustępstwo przyjmując nieznajomego mężczyznę w domu, gdzie są same kobiety, że więc on, pan Albin, powinien by to umieć ocenić i co żywo się wynosić.

Gość, jakkolwiek dobry kawałek filistra, nie był, widać, jeszcze skończonym nosorożcem, gdyż pociski wymierzone przez dwie stare panny ugodziły go w serce, ale kiedy znowu spojrzął w te wielkie, wyraziste oczy Morusieńki, dostał jak gdyby zawrotu głowy, ciężaru w nogach, zapłątania języka. Chciał powiedzieć, że mu sprawi przyjemność pozostawienie Asa w tym mianowicie domu; chciał koniecznie wyjechać z jakim nadzwyczajnie grzecznym komplementem, co to w nim ciągle się powtarzają wyrazy: „Uważam sobie za n i e s k o ń c z e n i e miły obowiązek... Będę się i czuł n i e o g r a – n i c z e n i e szczęśliwym”. Pragnął właśnie tak przemówić, a powiedział, że się dobrowolnie zrzeka swojej własności, że tym bardziej nie ważyłby się t e r a z myśleć o dochodzeniu praw swoich na drodze sądowej...

Luta nie pozwoliła mu już kończyć i wyjąwszy z ust papierosa zawołała z twarzą zaplonioną od gniewu:

– Jakiejże to własności pan się zrzekasz?... Dochodzenie praw na drodze sądowej? Owszem, bardzo prosimy! A to doskonale! Kupić psa od jakiegoś złodzieja i oddanie go właścicielowi uważać za łaskę!

Obie najstarsze siostry powstały teraz z kanapy, a za nimi uszykowały się niebawem trzy inne i ta niewieścia falanga wyraźnie sprawiała takie wrażenie, jak gdyby chodziło o wyparcie wspólnego nieprzyjaciela. As także wychylił głowę spod kanapy. Tylko jedna Morusieńka nie opuściła swego miejsca pod oknem, a w spokoju pełnych rysach dziewiczej twarzy przebijało niejaki pomieszenie; przynajmniej tak się wydawało panu Albinowi.

Wśród nieprzerwanego potoku słów wypadających z ust „anioła stróża rodziny” i „inteligencji” Zabrzeski nie miał możności przemówić ani słówka na swoją obronę. Najprzód Luta wytrajkotała wszystko, co tylko wiedziała o sądowej odpowiedzialności, przy czym nie omieszkała nadmienić poważnie o stosunkach swoich z Towarzystwem Przyjaciół Zwierząt. Potem zabrała głos Guta i na oczekaniu zacytowała przypadek kary sądowej, świeżo spadłej na jakiegoś winowajcę, który podpadł pod kodeks zwierzęcej kryminalistyki. Jednocześnie wszystkie pięć ławą zbliżały się coraz więcej do pana Albina, a on w pomieszeniu składał nieustannie ukłony i z kapeluszem w rękę krok za krokiem cofał się tyłem, przesyłając spojrzenia Morusieńce. Kiedy nareszcie uderzył piętą o drzwi przedpokoju, uważał za właściwe skłonić się z wielkim uszanowaniem i rzucić okiem w kierunku okna po raz ostatni.

Wyszedł, a za drzwiami jeszcze słyszał wielki gwar niewieści zmieszany teraz z tryumfalnym poszczekiwaniami Asa.

Dopiero po wyjściu Zabrzeskiego Morusieńka opuściła swe miejsce pod oknem. Można przypuszczać, że dlatego siedziała tam tak uparcie, ponieważ starsze siostry uważały ją za małąletnią mimo skończonych lat ośmnastu i przynajmniej w domu nie pozwalały jej nosić długiej sukienki. Niby kwiat z pączka wyglądała dziewczyna ze swego pensjonarskiego

ubrania, usiłując całą pełnią kształtów dziewiczych rozedrzeć ten wąski powszedni worek barwy ciemnoorzechowej. Ramiona, ściśnięte wąskimi rękawami, sprawiały zaczerwienienie i obrzęknięcie bardzo kształtnych rączek; piersi, zapięte pod szyję, zbyt widocznie wznosiły się i opadały, ale najbardziej ze wszystkiego raziła krótkość sukni pensjonarskiej, gdyż Morusienka ukończyła pensję przed dwoma laty, nadzwyczajnie rosła i rozwijała się fizycznie, a ciągle nosiła tę samą odzież. Otóż wobec osób obcych wstydziała się tego ubioru i ciągle siedziała w jednym miejscu. Zresztą, starsze siostry nazywały ją „smarkaczem”, nie pozwalały jej nigdy zabierać głosu przy gościach, a i bez gości nie powinna była wyjawiać swego zdania, gdyż to oznaczało – podług Luty i Guty – złe wychowanie. Nieraz, kiedy zaczęła mówić, starsze siostry spoglądały na nią surowo i niechętnie, a As jej się wtedy przypatrywał ze zdziwieniem.

Od niejakiemu czasu atoli Morusienka buntowała się przeciw despotyzmowi starszych sióstr, coraz częściej bowiem spoglądała w zwierciadło i ciemnoorzechowa sukienka stawała jej się coraz wstrętniejsza. Chciała ona koniecznie chodzić w długiej sukni nie tylko do kościoła, do Saskiego Ogrodu, ale i w domu.

Rzecz szczególna, skoro gość już odszedł, a panny pozostały same i robiły spostrzeżenia nad tymi odwiedzinami, milcząca dotąd Morusienka niespodziewanie odezwała się w te słowa:

– Jestem pewna, że on ma jakąś podstawę upominania się o Asa, skoro tu przyszedł!... Być może kupił psa od złodzieja, a kto wie, czy nie od papy?... Wyście się bardzo źle zachowywały z tym nieznajomym: jakieś cierpkie przycinki, wymówki!... Przez cały czas nie pozwoliłyście mu się wytłumaczyć. Co on sobie pomyśli?

Ta uwaga dziewczyny, wypowiedziana dosyć cichym, nieśmiałym głosem, wywołała straszliwy rejwach. Wszystkie razem otwały usta, łajały Morusienkę powtarzając nieustannie „smarkacz”. Nareszcie gdy ją już dobrze zgromiły, zaczęły nielitościwie szydzić, jakoby usiłowała zwrócić na siebie wszelkimi sposobami uwagę Zabrzskiego, co Guta, w uniesieniu nazwała „bezczelną kokieteryą”. Teraz piękne oczy dziewczyny napełniły się obfitymi łzami i wybuchło owo łkanie, które u płci pięknej stanowi cechę równie charakterystyczną jak i język.

Te krzyki, płacze sprowadziły tu ojca, który gdzieś poza kuchnią zajmował oddzielny pokój. Córki w jaskrawych barwach przedstawiły emerytowi całe zdarzenie odnoszące się do odzyskania wyżła, a przy tym oskarżyły „smarkacza” Morusienkę. Głównie przemawiała Luta, dzielnie ją popierała Guta, inne dorzuciły swoje. Starzec, jakkolwiek się bał swych córek i był u nich takim samym pantoflarzem jak niejeden mąż u swej żony, tym razem jednakże ujął się za „smarkaczem”, a potępił „anioła stróża rodziny” i „inteligencją”. Co więcej, ku nadzwyczajnemu zdziwieniu i zgorszeniu starszych córek, oświadczył, że istotnie on sam Asa sprzedał, że więc prawy właściciel musi go niezwłocznie odzyskać. Luta, Guta i Niuta powstały teraz na ojca wyrzucając mu samowolę, despotyzm i chciały go zakrzyczeć. Ale widać, że cierpliwość dobrodusznego staruszka wyczerpała się nareszcie, gdyż poczerwieniał z gniewu, tupnął nogą i zawołał:

– Hola, moje panny, na oszusta się wy kierować nie pozwolę!... Pies należy do tego, kto go ode mnie kupił, i basta!

To rzekł i wyszedł z pośpiechem, ponieważ wiedział dobrze, iż nad kobiecym uporem nie odnosi się tak łatwo zwycięstwa.

Luta natychmiast dostała spazmów z biciem serca; ratowały ją wszystkie siostry, nie wyłączając Morusienki, wśród nadzwyczajnych szlochów. As rozłożył się w kłębek na fotelu i z wielkim spokojem spoglądał na wszystko, co się działo. Już cały ten dzień był bardzo żalony.

Emeryt musiał jeszcze nazajutrz stoczyć z córkami zaciętą walkę i dopiero potem wzięwszy na sznurek wyżła zaprowadził go na Erywańską, ponieważ uważał sobie za obowiązek, ażeby osobiście przeprosić pana Albina.

Zabrzeski, któremu w tej chwili wywietrzały z głowy myślistwo i wyżeł, a za to czarne oczy Morusieńki nie dawały spokoju, przyjął starca z wyszukaną grzecnością i po kilkakroć powtórzył, że dozna „n i e w y s ł o w i o n e j” rozkoszy, jeżeli panny zechcą uważać Asa i nadal jako swego własnego psa”.

Atoli Swojewski – tak się zwał emeryt z Sewerynowa – ani słyszeć nie chciał o tym, ażeby wyżeł znowu powrócił do jego domu. Pan Albin rozmyślnie przeciągał rozmowę, prosił staruszkę siedzieć, częstował go cygarem mając ciągle na pamięci, że to jest rodzony ojciec pięknych czarnych oczu. Jakoż rozwiązał się język emerytowi i nastąpiły owe dobroduszne wylania, o które tak łatwo u ludzi gadatliwych i naiwnie myślących.

– Ja – mówił stary na wpół z uśmiechem – od trzydziestu lat przywykłem sypiać po obiedzie, a te moje dziewczyny rozpieściły psa, swawolą z nim... Ach, gdybyś pan wiedział, jak to jest przykro nie mieć na starość spokojnego kącika!

Zabrzeski więc nalegał grzecznie, ażeby jego As przynajmniej w godzinach przedobiednich służył pannom za rozrywkę, ale stary się na to nie chciał zgodzić i odszedł.

Mało który z mężczyzn nie wie, co to jest opętanie przez piękne oczy. Nie myślimy opisywać tego stanu duszy, ponieważ każdy człowiek odczuwa go po swojemu. Pan Albin nosił czarne, wielkie oczy w swoim mózgu i stamtąd patrzyły one nań nieustannie: widywał je w powietrzu, na niebie, na suficie, na swych białych jak śnieg mankietach, a nawet kiedy zamknął oczy. Polowanie, lekcje z wyżłem, wszystko to wywietrzało mu z głowy pod wpływem owych oczu.

As, wyciągnięty pod stołem, śledził nieraz ruchy swego pana, jak gdyby się obawiał, czy znowu jakie warowanie i aportowanie nie wejdzie na porządek dzienny. Widząc atoli, iż pan głęboko o czymś się zamyśla, pies polował na przelatujące muchy szczękając zębami. Czasem mu się tu sprzykrzyło, wyłaził wtedy spod stołu, przeciągał się, ziewał i w braku towarzystwa do zabawy wymyślił sobie igraszkę, która polegała na obracaniu się w kółko i usiłowaniu schwycenia w zęby własnego ogona.



## ROZDZIAŁ II

*Polowanie z wyżłem po ulicy. – Zatarg Asa z przekupką. – W której z trzech kocha się pan Albin? – Najserdeczniejsze kółko. – Szewc Kąskiewicz. – Żebrak Pyta. – Wyrok sądu i skutki jego. – Scena miłosna na ulicy. – Ryszard Lwie Serce. – Miłość także się sprzykrzy.*

O wiele więcej niż Zabrzski zajmował się teraz Asem służący, Franciszek, który za każdą psotę wymierzał wyżłowi karę, zwłaszcza w nieobecności pana, a oprócz tego nie skąpił mu ustnych nauk, zaprawionych całą gderliwością i żółcią starca niezadowolonego z życia. Pies bowiem skwapliwie uprzętał rogale, bułki, serdelki, wypijał mleko, śmietankę, a przy tym bardzo lubił gryźć różne przedmioty zaprawiając sobie młode zęby do przyszłych czynów. Franciszek sprawił sobie był raz nowe kalosze i strzegł ich jak oka w głowie, gdyż nawet w czasie zbyt wielkiego błota nie wychodził w nich na ulicę, aby nie straciły połysku. As dobrał się do owych kaloszy i pogryzł, porozrywał. Skargi, zanoszone do pana po każdym przestępstwie psa, pozostawały teraz bez żadnych skutków i Franciszek z goryczą powtarzał:

– Cóż tu dziwnego, że się taka bestia z każdym dniem bardziej uzuchwala?

Atoli pan Albin zapatrywał się obecnie na Asa z innego punktu widzenia, mianowicie też uważał on psa niejako za pośrednika, który go łączy z domem, gdzie przebywają czarne oczy. Istotnie jest to brutalne, gdy człowiek w epoce zakochania się bije psa, którego pieściła luba dziewczica. W miłości jest moralność *sui generis*<sup>3</sup>: współzawodnika można postrzelić, sprzymierzeńca się głaszcze.

Dumając tak, z głową potężnie zagwożdżoną czarnymi oczyma, Zabrzski stworzył nareszcie plan przynoszący mu zaszczyt jako początkującemu myśliwemu. Brał on codziennie Asa na łańcuszek i wychodził z nim jakoby na przechadzkę, żywiąc nadzieję, że wcześniej czy później musi nareszcie spotkać Morusieńkę. Stanowiło to przedsięwzięcie rodzaj polowania z wyżłem, ponieważ pies spostrzegłszy czy poczuwszy swoją niedawną jeszcze panią niezawodnie zapragnąłby ją powitać; pan Albin, naturalnie, nie stawiałby temu żadnych przeszkód i zyskałby sposobność zbliżenia się do swego ideału. Niektórzy zakochani puszczają się jeszcze na niedorzeczniejsze hazardy.

As częstokroć zupełnie niespodziewanie skoczył, szarpnął się jak szalony i wtedy gwałtownie zabiło serce pana Albina mniemającego, iż pies rwie się do którejś z sześciu panien Swojewskich. Niestety, po największej części powodem niepokoju wyżła bywał inny jakiś pies, spostrzeżony w oddaleniu!

– Przecież one muszą nieuchronnie z domu wychodzić! – mówił Zabrzski sam do siebie, obkładając ulice przyległe do Sewerynowa, więc stanowiska, na które musi zawsze wyjść zwierzyzna ruszona ze swej kotliny.

„Cierpliwość przewycięża wszystko!” – myślał pan Albin przypominając sobie, że tę maksymę zna z wzorów kaligraficznych.

Podczas tych przechadzek z Asem on sobie przypominał rozmaite rzeczy. Będzie temu cztery lata, zasadzał się w podobny sposób przy rogu Alei Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej na niejaką Wandzię, z którą się przypadkiem zaznajomił na stacji kolei

---

<sup>3</sup> *S u i g e n e r i s* (łac.) – swego rodzaju

Warszawsko – Wiedeńskiej przed samym odejściem wieczornego pociągu ku Granicy. Żegnała kogoś, podobno narzeczonego, ze łzami i upuściła chustkę do nosa; on był szczęśliwym znalazcą, odprowadził właścicielkę chustki do domu, a przy tym dowiedział się, że ma ojca, matkę, siostry i narzeczonego. Coś przez dwa tygodnie upatrywał Wandzi w tamtych okolicach, aż ją nareszcie spostrzegł z werandy cukierni Zawistowskiego i odnowił znajomość. Skończyło się na tym, że jedli na kolację raki, a rozczarowało go naczne sprawdzenie, że Wandzia nie miała ani ojca, ani matki, ani siostr, ani narzeczonego i że jej na imię było Zuzia. Ale teraz zupełnie co innego: jest ojciec, są siostry, kto wie – może i narzeczony... Och, nie, nie! Narzeczonego sobie wcale nie życzył.

Maksyma z wzorów kaligraficznych dobrze mówiła. Niekiedy w klasie pierwszej malec dowiadyuje się rzeczy pożytecznych w dojrzałym wieku męskim. Jednego dnia Zabrzski spostrzegł z daleka Morusieńkę, idącą do kościoła z Gutą i Niutą. Dodajemy tu nawiasem, że rodzina nazywała Niutę „gołąbkim”. Rzecz godna uwagi, iż „smarkacz” dziewczyna także spostrzegła Zabrzskiego i jakby od niechcienia przesłała mu spojrzenie zdające się mówić: „Byłam pewna, że cię tu spotkam”. – Przechodziły przez plac Kopernika; on był przy samym rogu Oboźnej i od razu puścił Asa ze smyczy. Oswobodzony wyżeł miał już atoli upatrzonogo psa, który troskliwie obwąchiwał rogi pomnika wielkiego astronoma i natychmiast poskoczył ku niemu sprawiając srogi zawód swemu panu. Dobry rzut oka może wiele rzeczy ogarnąć od jednego razu, resztę dopowie tak zwana domyślność serca. Wchodząc na balkon przed drzwiami kościoła Morusieńka tak właśnie rzuciła okiem i jak gdyby uśmiech zadowolenia przebiegł po jej ustach. Oby jej to wszystko nie zakłócało modlitwy!

Teraz trzeba było pojmać wyżła, który znudzony jednostajną, przymusową przechadzką, pragnął pohulać i wcale nie myślał wracać „do nogi”. Wezwany przez swego pana popatrzył nań zdziwionym wzrokiem, potem pobiegł na Nowy Świat i po drodze zawiązując stosunki ze spotkanymi psami, a mimo to nie pozwalając się dopędzić Zabrzskiemu, wpadł na Ordynackie i dostał się na Sewerynow. Znowu pies! Tych psów wszędzie pełno i wyżeł nie mógł się opędzić zawieraniu coraz to nowych stosunków. Człowiek człowieka mija obojętnie; psi altruizm nie pozwala na obojętność. Właśnie teraz w bramie stał jakiś psina, barwą przypominający pierniki, z bujną czupryną na łbie, z brodą, wąsami, bokobrodami. Spoglądał na ulicę z taką miną, jak gdyby sobie zadawał pytanie: „Czy oprócz wystraszenia pcheł z kudłów jest jeszcze co do zrobienia na tym świecie?” – Wtem nadbiegł As z całym zapałem psa, który dobrze używa życia. Fertnęły się wdzięcznie dwa psy około siebie, jak gdyby sobie wzajemnie składały grzeczny ukłon na powitanie. Psia ceremonia, widać, wymaga, ażeby głowa każdego z dwóch witających się była blisko miejsca, gdzie jest ogon drugiego.

W tejże bramie miała pewna przekupka swój sklepik, handlując z ościennymi domami. Na długim stole leżało świeżuteńkie pieczywo i stały brudne słoje z cukierkami, podobnymi do świeczek stearynowych w szafirowe i purpurowe pasy; przepadają za tą łakocią muchy, dzieci i niektóre kucharki, młodsze. Kiedy się dwa psy witały z sobą, przekupka w drugim końcu stołu zawierała bardzo ważne przymierze z kucharką, która się zaklinała, że bez względu na zakaz swej pani, nie gdzie indziej, tylko właśnie tu, w bramie, będzie kupowała chleb, bułki, sól, drzewo na podpałkę i tym podobne artykuły.

Dwie te niewiasty jeszcze się były nie porozumiały co do wszystkich punktów traktatu, a dwa psy zaledwie skosztowały rozkoszy obcowania, gdy delikatny węch Asa podrażniła woń świeżych kajzerek. Uczuł głód i może sobie pomyślał, że przyjaźń przyjaźnią, a o sobie nie trzeba nigdy zapominać, bo się wspiał na stół przednimi łapami i chwycił w zęby ciepłą jeszcze kajzerkę. Ale i najzręczniejszy pies nie zdoła ukraść tak zręcznie jak człowiek: As zwałił na ziemię sój ze słodyczami. Zgiełk tłuczonego szkła sprawił, że przekupka i kucharka rażno poskoczyły za wyżłem, który – nie głupi czekać – zmykał teraz do domu, gdzie mieszkał emeryt Swojewski z sześciu córkami. Żółty psina wypadł też z przekupką i kucharką przed bramę, udawał, że jest bardzo zły: szczekał groźnie, drapał ziemię wszystkimi czterema

nogami, coś jak gdyby się strasznie gorszył i odgrażał: „Dałbym ja tobie, żebyś nie był szczęśliwie uciekł!”

Zrobił się teraz przed bramą jarmark, gdyż około przekupki i kucharki zaczęły się zbierać dzieci, chłopaki zwane łobuzami, zatrzymywały się przechodzące młodsze. Naraz kucharka radośnie klasnęła w dłonie i zawołała: „Wiem, wiem!...” Po czym podała do wiadomości całego zgromadzenia, że ów bezecny pies, co narobił tyle szkody, pochodzi z tejże samej kamienicy, gdzie i ona mieszka, że nadto jest on własnością niejakich panien Swojewskich, sióstr, których jest tak dużo, iż nikt w kamienicy nie może się ich doliczyć.

Zgromadzenie uchwaliło teraz, ażeby panny Swojewskie natychmiast wynagrodziły przekupce szkodę przez psa zrządaną: „Niech nie wypuszczają na ulicę takiego szkodnika!” Jakoż pokrzywdzona przekupka niebawem osadziła „na chwileczkę” w swoim kramiku sprzymierzoną kucharkę, sama zaś w towarzystwie niektórych świadków podążyła do mieszkania emeryta powtarzając nieustannie:

– Ooo, znam ja te muńki! Za grosz u mnie nic nie kupią... Choćby mi nawet nie zapłaciły za szkodę, to im aby nawymyślam co się zmieści... Ma być na świecie chrześcijański handel!

Tymczasem Zabrzieski, o ile mógł, podążał za wyżłem i gdy wychodził z Ordynackiej na Dynasy, mignął mu się tylko w oczach As, skręcający na Sewerynów. Pan Albin nie miał już teraz najmniejszej wątpliwości, dokąd pies jego poszedł. Przystanął, ażeby się namyśleć, co należy przedsięwziąć. W każdym razie chciało mu się korzystać ze zdarzonej sposobności wejścia w bliższe stosunki z rodziną „czarnych oczu”. Najprzód miał zamiar czekać, dopóki nie ujrzy Morusieńki wracającej z kościoła, ale potem znowu przyszło mu do głowy, że byłoby może lepiej iść zaraz teraz i ująć sobie Lutę nadzwyczajną grzecnością, powiedzieć jej na przykład:

„Pani, racz mię w niewysłowionej swej dobroci uważać jedynie za strażnika i opiekuna Asa!... Niech mię pani zaszczyli swoim zaufaniem, a będę się uważał za prawdziwie szczęśliwego”.

Czyby się to jednak nie dało powiedzieć jeszcze lepiej, tak żeby kobietę za serce istotnie ująć?...

Bijąc się tak z myślami przybył na Sewerynów właśnie w chwili, kiedy przekupka ze świadkami i pretensjami wyruszyła do mieszkania emeryta.

Pozostała jako zastępczyni kucharka siedziała już przy kramiku w bramie i chrupiąc cukierek z rozbitego przez Asa słoja bardzo głośno rozmawiała o pannach Swojewskich, o wyżle, o szkodzie, którą poniosła przekupka. Ta przejrzysta rozmową zaciekawiła Zabrzieskiego, a zaledwie rzucił pytanie, już się dowiedział o sprawkach wyżła i o ich następstwach.

Los mu wybornie sprzyjał. Aby zostać bohaterem, dosyć było iść, zrobić siebie odpowiedzialnym za uczynki psa, wynagrodzić szkodę i uwolnić panny Swojewskie od natrętnej przekupki.

Potęzny pojedynek na języki odbywał się między Lutą a przekupką. Miejscem, gdzie się potykały, był przedpokój, ale odgłos walki wybiegał do sieni, rozlegał się w całym domu, nawet na ulicy. Świadkowie przybyli stali wprawdzie za drzwiami, słyszeli jednak dobrze przebieg rozprawy i bili przekupce brawo, ilekroć energiczniej dotknęła Lutę.

Z dumą zwycięzcy przeszedł między tą hołotą pan Albin i śmiało do drzwi zadzwonił. Na widok mężczyzny, kroczącego z wielką pewnością siebie, niektórzy świadkowie uważali za właściwe zemknąć, inni spoważniali. Kiedy mu drzwi otwarła Franusia, witał ją najuprzejmiejszym ukłonem; następnie, założywszy jedną rękę za klapę surduta, a w drugiej trzymając z wdziękiem kapelusz stanął w odległości trzech kroków przed rozindyczoną Lutą, skłonił się trzy razy z wielkim uszanowaniem, ale i godnością, i rzekł:

– Honor, obowiązek nakazały mi przybyć tutaj, ażeby odeprzeć brutalną napaść, którą szanowna pani znosi tak niesprawiedliwie, dając jedynie przez to dowód swojej anielskiej dobroci i nadludzkiej cierpliwości.

Powiedziawszy to zwrócił się teraz do przekupki i mówił tonem wielkiego pana:

– Na ile się ocenia szkoda zrobiona w kramie przez mojego wyżła?

Ta uroczyść w mowie, ruchach sprawiła, że przekupka straciła przytomność umysłu i zaczęła bojaźliwie jakoś bąkać;

– Szkoda... hm, szkoda niemała!... Wielki słój... buldegony!... Pewnie z rubla, a kajzerki tam i inne...

Pan Albin wy dobył trzy ruble i podał je przekupce, po czym sam otworzył drzwi mówiąc z przyciskiem:

– Proszę się zaraz wynosić!

Zupełnie stropiona baba wyszła, ale zaraz za drzwiami znowu szeroko rozpuściła gębę:

– Wiem ja, wiem – wołała – co znaczy taki przyjaciel, który za szkodę panieńskich psów płaci – ho, ho, ho!...

Zachowanie się Zabrzeskiego nie tylko ujęło, ale rozrzewniło Lutę, a najwięcej jej się podobała wyniosłość, z jaką pan Albin za drzwi wyprosił babę, która przed chwilą była jeszcze tak zuchwała. Toteż dziewczica, anioł stróż rodziny, ze łzami w oczach po trzykroć podawała rączkę swemu rycerzowi, który za każdym razem powtarzał:

– Uważam to sobie za niewysłowione szczęście, iż mi los pozwolił odebrać z ust pani podziękowanie... Właściwie ja to mam obowiązek być pani nieograniczenie wdzięcznym, ponieważ raczyłaś pani poczytać mi za zasługę to, co mi zrobić nakazywał honor i cześć, którą dla pani żywię.

Jakoś wkrótce potem trzy inne siostry powróciły z kościoła, a ich fizjonomie na widok Zabrzeskiego wyrażały zdziwienie, które u Morusieńki miało charakter zdziwienia przyjemnego. Naturalnie rycerskie zachowanie się pana Albina pozyskało trzy nowe wielbicielki. On zaś, zawsze skromny czy udający skromnego, grzecznie się tylko kłaniał i mówił, że jest „niewypowiedzianie szczęśliwy”.

Odtąd As należał do dwóch domów: zamieszkiwał stale na Erywańskiej, niestale na Sewerynowie, gdzie go już teraz znała robocza ludność tej dzielnicy nie z najlepszej strony.

Pies atoli tracił coraz więcej na wziętości u sześciu panien Swojewskich w miarę tego, jak jego pan w ich łaski się wdzierał i zyskiwał codziennie wyższe uznanie. W domu emeryta niejednokrotnie można było teraz słyszeć wyrażenie: „wyżeł pana Albina”. Zabrzeksi również tym więcej zapominał o Asie, im bardziej wzrastała jego miłość dla Morusieńki, w której z każdym dniem odkrywał nowe wdzięki, nowe zalety.

Dziwnie to niekiedy układają się sprawy naszego życia, gdy przerozmaite względy niewolą człowieka, ażeby do upragnionego celu nie dążył drogą prostą, lecz bocznymi ścieżkami.

Pan Albin chcąc sobie zapewnić możność widywania Morusieńki musiał się starać nieuchronnie o względy Luty i Guty, które były paniami domu. Sadził on się na okazywanie grzeczności obu tym pannom, okazując im względów daleko więcej aniżeli nawet Morusieńce. Wiedział czy przeczuwał, że byłyby one nadzwyczajnie niebezpieczne, gdyby się zwróciły przeciw niemu, i usiłował je sobie wszelkimi sposobami zjednać, ująć. To jego zachowywanie się wytworzyło bardzo osobliwą dwuznaczność: dwie starsze siostry, już dla tego samego, że starsze, poczęły sobie tłumaczyć zabiegi pana Albina każda na swą własną korzyść. Co więcej, Morusieńka, obdarzona bardzo przenikliwym wzrokiem i niepospolitą domyślnością serca, ona nawet miewała przelotne chwile wątpliwości. Niewdzięczna, nie umiała ocenić, że on przecież tylko dla niej, dla niej jednej, przymusza się do odgrywania roli niezmiernie uciążliwej!...

Dopóki sympatia panien Swojewskich zwracała się ku Asowi, w domu panowała harmonia i każda z sześciu sióstr nie budząc uczucia zazdrości w innych mogła sobie psa zjednywać.

Teraz nietrudno było dostrzec, że Luta i Guta prowadzą z sobą milczącą wojnę, gdyż każda z nich mniej więcej tak myślała:

„On by tylko mnie jedną kochał, gdyby nie siostra moja!...”

Zabrzeski otrzymał od panien Swojewskich zaproszenie, ażeby stale bywał u nich w soboty, ponieważ w dni te wieczorem „zbiera się zwykle kilka osób na herbatę – serdeczniejsze kółko”. Prócz tego, najprzód Luta, następnie Guta powiedziały mu poufnie i w sposób nadzwyczajnie znaczący, iż dla takich jak on gości „drzwi i serca domu stoją zawsze otworem”. Stary wieczorami ciągnął zwykle pasjansa, a córki dotychczas, nawet w soboty, nie odrywały go od tej czynności, ale teraz, ile razy pan Albin był na herbacie, Luta nagliła ojca do pokazania się gościowi, co podług jej zdania nadawało domowemu życiu charakter rodzinny. Guta nie dawała się pod tym względem prześcignąć starszej siostrze i również wyciągała ojca z jego izdebki mówiąc pieszczotliwym głosem:

– Tatuńciu, tatuńciu, trzebaż coś zrobić dla swoich córek! Nieobecność kochanego ojczulka wystrasza nam gości z domu!

Dziwiła emeryta tkliwość córek, które przedtem wprost przeciwnie z nim się zachowywały. Toteż kiedy pierwszy raz wystąpił na takim wieczorze z herbatą i zastał tutaj pana Albina, bardzo się zamyślił, co to ma za znaczenie. Nagle, jak gdyby mu się w głowie rozświeciło, spojrzął na Zabrzeskiego i zaraz potem na Morusieńkę, która spiekła raki; widocznie odgadywała, o czym ojciec myśli i dlaczego na nią spojrzął. Jest instynkt ojcowski, a nikt lepiej od córki nie zdoła sięgnąć głęboko w duszę ojca. Ze wszystkich córek swych Swojewski najbardziej kochał „smarkacza”. Prawdopodobny bieg myśli emeryta był taki: „Jeżeli ten młody człowiek przyszedł tutaj dla którejś z moich córek, mógł to uczynić jedynie z powodu najmłodszej”. Ha, może też staremu ostatni pasjans coś podpowiadał! Dostyc na tym, że pod wpływem jego spojrzenia Morusieńka spłonęła.

„Najserdeczniejsze kółko osób” bywających zwykle na sobotnich herbatkach u panien Swojewskich właściwie ograniczało się do liczby dwojga. Bywał tu najregularniej bratanek emeryta, student trzeciego kursu medycyny, zwany przez panny Zdobciem, ponieważ miał imię Zdobysław, i sąsiadka, pani Konstancja Garlewska, od dwudziestu pięciu lat już żyjąca w separacji z mężem.

Zdobcio Swojewski był to chłopiec wesoły, trzpiotowaty, powiadał, że w soboty zwykle nie jada obiadów, ponieważ wieczorem jest pewny wyżerki u swych siostruń. Chodził często do teatru, naśladował wybornie aktorów i czasami przez cały wieczór bawił panny używając zwrotów wyrywanych na chybił trafił z rozmaitych utworów scenicznych.

Pani Garlewska miała nerwowy tik w prawym policzku, a lewym znowu okiem ciągle mrugała, co chwila roniąc łzę z niego, i to jej nadawało fizjonomią osoby stale wzruszonej; mówiła przez nos tak niewyraźnie, że prócz nosowego bąkania żadnego dźwięku nie mogło ucho słuchacza dobrze rozróżnić. A jednak biada temu, kto się dostał na język pani Konstancji!

Zabrzeskiemu sobotnia herbata nie przypadła do smaku, gdyż Zdobcio wpadłszy na temat miłości bezładnie przytaczał oświadczenia i wyznania różnych kochanków ze znanych sobie sztuk teatralnych. Już to się zwracał do Morusieńki i patetycznie deklamował:

On, co znając kobiece finty i obroty,  
Igrał był z kokieterią, a żartował z cnoty;  
On, który zwykle bywał zanadto zuchwały,  
Czemuż przy tobie siedzi drżący i nieśmiały?

To znowu nachyliwszy się do Guty mówił:

– Słuchaj, Hortensjo, nie chcę ci prawić morałów, ale źle robisz igrając z podobnymi uczuciami. Powiadam ci jak przyjaciel, dotąd byłaś tylko lekkomyślną, ale będziesz nieszczęśliwą, jeśli się nie zatrzymasz.

Do Luty zaś stosował z jakiejś francuskiej komedii:

– Przeminięły już lata, w których się żenimy na ośle, pozostaje tylko zawrzeć małżeństwo z rozsądku, a niesłuchanie trudno znaleźć kobietę, którą by rozsądek zaślubić pozwolił.

Ten trzpiot nie chciał zapewne nikogo dotknąć, a ciągłym odzywaniem się w taki sposób narobił wiele przykrości. Pan Albin postanowił sobie unikać, o ile można, „najserdeczniejszego kółka”.

Codziennie około godziny jedenastej przyprowadzał teraz Zabrzski Asa na Sewerynów i przed miejscem zamieszkania córek emeryta oswoadzał psa z łańcuszka. O wpół do trzeciej punktualnie znowu się tu zjawiał, aby zabrać wyżła, którego niewidzialna ręka także punktualnie wypuszczała z domu. Czas był dlatego tak wyliczony, ażeby i panny mogły się z psem ubawić, i emeryt bez przeszkód odbył swą poobiednią drzemkę. Niech nikt jednak nie myśli, że właściciel psa za swoją uczynność nie odbierał żadnej nagrody! Zarówno kiedy przyprowadzał Asa, jako też gdy po niego przychodził, zawsze spotykał w oknie parę pięknych, czarnych oczu. Oprócz Morusieńki nikt w domu jakoś sobie nie zdawał jasno sprawy z tego, skąd się tu As bierze i gdzie się podziewa.

Dawniejsza też troskliwość o psa, dbałość wyziębla teraz. Panny Swojewskie prawie już nie zwracały nań uwagi, a pan Albin i Morusieńka pamiętali o nim o tyle tylko, ile im obojgu leżało na sercu porozumiewanie się oczyma przez okno. To zapomnienie przez ludzi otwarło swobodzie Asa bardzo obszerne pole. Biegał tu i owdzie wypowiadając wojnę wszystkim spotykanym kotom; ścigał zapalczywie kury samopas chodzące, a jeśli były zamknięte w kojcu, to stawał do takiego kojca jak do zwierzyny lub przy nim warował, dopóki go nie odpędzono; nazawiażywał wiele znajomości z licznymi psami ościennymi.

Ale od czasu pamiętnego zajścia z przekupką w bramie nasz wyżeł zwracał na się szczególną uwagę pewnego żebraka, który w tym odludnym ustroniu, chroniąc się zapewne przed bacznością policji, dni całe spędzał pod przeciwległym parkanem w zaułku, którądy się z Sewerynowa schodzi ku Obożnej. Wszyscy mieszkańcy znali Pytę, wiedzieli, że jest kaleką, i przeto litościwsze gospodynie, kucharki oddawały mu nieraz różne ochłapy spadłe ze stołu. W braku zajęcia Pyta z całym spokojem umysłu robił spostrzeżenia nad mieszkańcami Sewerynowa i nad przechodniami, którzy się tutaj pojawiali stale, jak na przykład Zabrzski. Historia zatargu Swojewskich z przekupką i zakończenie tej sprawy dały żebrakowi do myślenia.

– Gdyby mię ten niespokojny, przez wszystkich mych przyjaciół nielubiony pies pokąsał, musiałby mi ktoś za to zapłacić – mówił Pyta sam do siebie, i ile razy spostrzegł Asa, zawsze go drażnił, usiłował pobudzić do wściekłości.

Pies wprawdzie szczekał, dopadał, nigdy się jednak nie posunął tak daleko, żeby na żebraku spróbować swoich zębów. Tylko weszło to wnet w jego zwyczaj, że skoro wypadł przed dom, zawsze już naprzód pędził pod parkan i zapalczywie oszczekiwał owę kupę brudnych, zrudziałych i wypłowiatach łachmanów, w których się poruszało ciało ludzkie barwy może jeszcze szpetniejszej od łachmanów. Już ten, już ów zwracał uwagę na zapędy wyżła mówiąc:

– Co to za szelma pies, biednemu człowiekowi nie daje spokoju! Przekupka zaś nieraz na takie szczekanie stawała przed swoją bramą i wołała z daleka na cały głos:

– Pyto, a chwycieź za kamień, rozbijcie łeb temu łajdakowi! Będziecie mieli zasługę przed Panem Bogiem!

Wtedy żebrak odpowiadał jej płaczliwym i stękającym głosem:

– Moja pani, czy ja też to, nieszczęśliwy kaleka, mam siły, żeby się z miejsca dźwignąć albo kamieniem cisnąć?... Niech sobie tam szczeka na biednego, żeby jeno nie kąsał!

Raz na krzyk taki zrobiony przez szczekanie Asa i łajanie przekupki, wyszedł też przed dom z warsztatu swego szewc Kąskiewicz i jego żona, kobieta znana na Sewerynowie z tego, że męża odjadła i bardzo utyla. Za tym stadłem małżeńskim wysypało się czworo drobnych

dzieci – wszystko chciwe jakiego widowiska. Kąskiewicz widząc, co się dzieje, miał sobie za święty, chrześcijański obowiązek ukarać wyżła, który napada na bezbronno kalekę; podszedł przeto nieznacznie do Asa, a z tyłu trzymał potężną trzcinę. Tymczasem tak prędko, tak niezręcznie się zmierzył i uderzył, że psa chybił, a z wielkim rozmachem ugodził trzcina swoją otyłą małżonkę, która szła za nim nie postrzeżona i właśnie mu się nawinęła pod rękę. Szewcowa upadła na ziemię z ogromnym wrzaskiem i ciężarem swoim przygniotła pięcioletniego synka. Wrzask baby, płacz dziecka sprawiły, że wyżeł niezwłocznie pierzchnął. Od tego czasu Kąskiewicz stał się zawziętym wrogiem nie tylko Asa, lecz całej rodziny emeryta. Byli tacy, którzy na własne uszy słyszeli, jak po tym zdarzeniu pani szewcowa przy zamkniętych drzwiach ogromnie wytrząsała majstra w warsztacie i dlatego w niedzielę nie wychodził z domu ani do kościoła, ani nigdzie. Ten miał się za co na psa gniewać. Różnych takich i tym podobnych pretensyj do Asa dosyć urosło tam na Sewerynowie.

Musiał Pyta pomiarkować, że już był czas, aby go wyżeł nareszcie pokąsał, gdyż jednego dnia, kiedy As na niego napadł ze szczekaniem, dziad narobił ogromnego krzyku, lamentu: wrzeszczał wniebogłose, łez nie skąpiąc. Na taki nadzwyczajny hałas garną się ludzie zewsząd. Kucharki z zakasanyimi rękawami, młodsze, czeladź warsztatowa z głowami odkrytymi, w fartuchach i bez fartuchów, góral z wiązką łapek na myszy, to znowu taki, co handluje słomiankami, inny z pękiem baloników, jeszcze inny, co lody obnosi, Żydówka z koszykiem rzodkiewek, kościarka i szmaciarka – wszyscy pędzili do Pyty, który się darł jak opętany, pokazywał okrwawione łachmany, rany na nodze i rękach, ciężko oskarżając Asa *coram populo*<sup>4</sup>. Zgroza ogarnęła ten cały tłum, posypały się obelgi, przekleństwa wymierzone do psa; kobiety i młodzież ogarnął fanatyzm jednocześnie litości i zemsty; ogłaszano na nieobecnego wyżła wyrok śmierci; więcej umiarkowani, rozsądniejsi, doradzali żebrakowi oddanie sprawy do sądu.

– Z zabicia psa – mówili – nie będzie żadnego pożytku, a sąd oto przyzna niezawodnie wynagrodzenie i przynajmniej się taki nieborak odrobinę zapomoże.

– Ehe, którzy! – rzekł cicho na ucho Kąskiewiczowi ślusarz z Sewerynowa. – Pyta to ryba! Znam ja go!... Gardło dałbym, że on sobie sam tych ran narobił! Ciężko za takim świadczyć w sądzie!

– Co pan mówisz, panie Trzaskalski? – zapytał szewc z groźną powagą, jak by dotknięty w najdroższych swoich interesach. – A choćby też nawet i tak było, to diabli panu do tego! Niech korzysta, skoro ma rozum! W każdym procederze człowiek za korzyścią przecie goni!

– I to jest prawda, niech korzysta! Ma się rozumieć, niech korzysta – co mi tam do tego!

Upłynęło chyba z pół godziny, zanim się ten tłum począł rozchodzić.

W tym czasie, kiedy sprawa Pyty wchodziła na drogę sądową, Luta zaczęła się rozczarowywać do Zabrzskiego, a „smarkacza” podejrzewać i śledzić z chytrą włościwą zazdrosnej kobiecie. Czy jej czyste przecucie coś poszepnęło, czy może i wpadła na jakieś wyraźniejsze dane, dosyć że była na tropie potajemnych, więc tym samym zakazanych stosunków najmłodszej siostry z panem Albinem. Jako „anioł stróż rodziny”, a właściwie jako zawiedziona w uczuciach, Luta nie spuszczała z oczu „smarkacza”. Jednakże Morusieńka, choć młodsza od siostry, a może dlatego że młodsza, była jeszcze chytrzejsza i z całą przytomnością umysłu miała się na baczności.

Bardzo się musiał zdziwić Zabrzski, gdy przybywszy pewnego pięknego dnia na Sewerynow zamiast pięknych, czarnych oczu ujrzał w oknie złośliwie uśmiechnięte i zacięte usta Luty. Zmieszało go to cokolwiek, uklonił się jednak bardzo grzecznie, spuścił psa z łańcuszka i żeby się uwolnić od niemiłego wrażenia, poszedł na śniadanie do Lijewskiego. O

---

<sup>4</sup> *C o r a m p o p u l o* (łac.) – wobec ludu

wpół do trzeciej znowu przyszedł po psa i znowu w oknie stała Luta, zdająca się przemawiać: „Teraz już wszystko wiem, odgadłam!”

Nazajutrz pan Albin postanowił nie chodzić na Sewerynów, chociaż go to kosztowało bardzo wiele, i nie poszedł. Mimo to As już przywykł, zwłókł się, uciekł z domu i sam poszedł na Sewerynów, a następnie o oznaczonej godzinie wrócił na obiad do domu. Trzeciego dnia było zupełnie to samo. W podobny sposób jeszcze jeden dzień minął i potem już Zabrzieski nie mógł wytrzymać.

– Niech się dzieje, co chce, a muszę ją zobaczyć! – powiedział sobie, wziął psa na łańcuszek i poszedł.

Tym razem w oknie stała Morusieńka, tylko jakaś posepna, zamyślona. Jeszcze ją widział, kiedy przyszedł zabrać wyżła, i wydawało mu się wtedy, że jakiś znak dawała mu ręką.

Wrócił do domu, usiadł, pograżył głowę w obu dłoniach i myślał, a ciągle jedno tylko pytanie go oblegało: „Na czym się to wszystko skończy?” Ocknął się z zamyślenia i spostrzegł leżącego naprzeciwko Asa, który uważnymi oczyma wpatrywał się w swego pana, jak gdyby chciał odgadnąć jego myśli. „Szczęśliwy pies!” – mruknął pan Albin i znowu mu się narzuciło pytanie: „Na czym się to wszystko skończy?”

W duszy tego człowieka żyło tylko uczucie czy namiętność, nie pozwalająca na żadną logiczną działalność wyższego rzędu. Widnokrąg takiego duchowego stanu można porównać do widnokregu podróżnika w pustyni lub na morzu: piasek i piasek, woda i woda, kobieta i kobieta. Czyż już nic więcej nie ma na świecie? Owszem, jest jeszcze pytanie: „Kiedy i jak się to wszystko skończy?”

Prawa odwieczne działają i tak czy inaczej muszą się spełnić, a człowiek mniema, że to on działa, czuje, myśli... Ostatecznie, on jest tylko zadowolony lub niezadowolony; bieg wypadków pcha go w jednym albo drugim kierunku. I nikt a nikt nie jest tak mądry, aby posiadał klucz logiki szczęścia i nieszczęścia, aby konsekwentnie przewidział, ku jakiemu kresowi zmierza. Głupi ma nawet pod tym względem wyższość nad mądrym: głupiec nie tak często błądzi, za to mądry nigdy popełnionych błędów swoich nie oplakuje.

Nie będziemy tu opisywali przebiegu sprawy sądowej wytoczonej przeciw emerytowi o pokasanie przez Asa żebraka i kaleki Szymona Pytaja, zwanego pospolicie Pytą. Świadkowie byli wiarogodni począwszy od szewca Kąskiewiczza, a kończąc na przekupce z bramy, dowody też całkiem oczywiste. Ojca sześciu córek skazano wyrokiem sądowym na zapłacenie Pycie pewnej sumy pieniężnej i poniesienie kosztów procesu. Grzeczność, przyzwoitość towarzyska nie pozwalały na wprowadzenie w tę sprawę Zabrzieskiego, istotnego właściciela wyżła. Ale też stary narobił za to w domu piekła!... Zemdląła Luta, zemdląła Guta, zemdląła Niuta i o mało nie zemdląła Morusieńka, a ojciec wpadł w jakiś szal, biegał po pokoju, sapał wykrzykując:

– Dosyć mam tego psa! Już mi kością w gardle stanął! Słowo honoru daję, słowo honoru – w łeb mu strzelę, jeżeli się tylko pokaże w moim domu!... Słyszycie, mówię jasno, w łeb strzelę!...

Szczęściem Asa nie widział, gdyż Morusieńka nosiła już teraz długą suknię i siedząc na krzeselku zalewała się łzami, a nóżkami tak psa przygniotła, że się nie mógł ruszyć. Jakie to szczęście, że nie zemdlą!...

Nareszcie stary wybiegł do swojego pokoiku, gdzie wydobył jakiś bardzo stary, zardzewiały pistolet, który nabił równie starym prochem, starą kulą i nałożył aż zielony od starości kapiszon. Prawdopodobnie broń nie zagrażała najmniejszym niebezpieczeństwem, Swojewski jednak włożył pistolet w kieszeń surduta i tak uzbrojony, groźny wrócił do córek. Ten ojciec, zwykle malowany i pod pantoflem córek będący, naraz odzyskał energią, ukazał się w świetle strasznie surowej powagi. Naturalnie w czasie jego nieobecności chwilowej z pośpiechem wypchnięto za drzwi Asa. Kiedy teraz panny spostrzegły wystający z kieszeni ojca straszny oręż, nadzwyczajna trwoga ogarnęła ich dziewicze serca. Zemdlące powróciły



do przytomności i wszystkie padły na kolana błagając starego, żeby się rozbroił. Jak gdyby chciał się zemścić za deptaną przez nie powagę ojcowską, zachowywał ciągle bardzo groźną postawę, a od czasu do czasu macał ręką kolbę pistoletu, co przerażało córki. Pisk, łkanie, szloch niewieście – nic nie pomagało. Naraz Swojewski zwraca się do Morusieńki, wyciąga ku niej wskazujący palec i z wielkim naciskiem w te słowa przemawia:

– Tyś powinna wiedzieć, dlaczego ja tego psa zabić muszę!

I trzy razy powtórzył: „zabić muszę”. Morusieńka zakryła twarz rękoma i wybuchnęła płaczem podobnym do kwilenia dziecka. Słowa te wywarły na nią takie wrażenie, jak gdyby rozgniewanemu ojcu nie o samego psa chodziło, ale jeszcze i o coś innego.

Wtem z przedpokoju doleciał odgłos dzwonka. Porwały się panny, prędko otarły łzy z zaczerwienionych od płaczu oczu i spokojnie pousiadały w kątach. Ktoś przyszedł – i do przedpokoju na przyjęcie podążył sam ojciec. Była chwila oczekiwania, w której Morusieńka śmiertelnie pobladała.

„Jeżeli, dajmy na to, przypadkiem zadzwonił pan Albin i przyszedł z Asem?... Nie, nie, chwała Bogu!”

W przedpokoju dał się słyszeć wesoły głos Zdobcia. Naprzód witał stryja słowami z „Consilium facultatis”, później, śpiewając „Jeszcze raz, jeszcze raz...” z „Ptasznika z Tyrolu”, spieszył do panien, aby im oznajmić, że dzisiaj nie można dostać biletów na „Carmen”. Gniewna i poważna fizjonomia starego, wystraszone, zafrasowane miny panien – wszystko to zadziwiło Zdobcia. Zaczął przemawiać słowami Szumbalińskiego z „Posażnej jedynaczki”: „Jakiż konkurent o moje niebożątka się zgłosi?” A kiedy i to nikogo tu nie rozweselało, przysiadł się do Morusieńki i na ucho zapytał, co takiego zaszło. Okiem i ruchem ukazała mu pistolet w kieszeni ojca. „Ooo, źle!” – poszepnął Zdobcio, po czym zbliżył się do stryja, rzekomo całował go w rękę na pożegnanie, a jednocześnie wyciągnął z kieszeni pistolet. Spostrzegł to emeryt, zmarszczył się i położywszy rękę na ramieniu młodzieńca rzekł głosem bardzo poważnym, surowym:

– Mój kochany, nie zawsze można żartować!... Są rzeczy, które nie znoszą żartów...

– Ej, stryjek dziś taki surowy, kto to widział! – odrzekł Zdobcio.

– Tak jest, jestem surowy, bo takim być muszę, bo innym dziś być nie mogę, bo ojciec rodziny ma obowiązek być surowym, jeśli widzi, że dzieci mogą kiedyś płakać na jego dobroć, że... że... bo... bo...

Zaciął się stary, jakieś słowo nie mogło mu przejść przez gardło, odebrał pistolet z rąk Zdobcia i szybkim krokiem poszedł do swego pokoju.

Odetchnęły teraz panny Swojewskie, a Morusieńka mimowolnie zbliżyła się do okna i rzuciła okiem w nadziei, że ujrzy Zabrzeskiego. Nie było go już, widać zabrał wyżła i poszedł do domu. To lepiej, lepiej się tak stało! Oby jutro nie przyprowadzał Asa, póki nie przycichnie ta burza ojcowskiego gniewu!

– Żeby też o psa robić takie sceny w domu! – zawołała Guta przerywając milczenie.

– Ależ to nie o psa chodzi ojcu! – odpowiedziała Luta wzruszając ramionami i wskazując okiem Morusieńkę zwróconą ku oknu.

– I, co prawda, ojciec się zupełnie słusznie gniewa... Przecież to jasne jak słońce, że się smarkacz bałamuci.

Chociaż te słowa ostatnie powiedziano głosem cichym, Morusieńka je słyszała i spłonęła, jak by ją kto wrzątkiem oblał.

Najmłodsza siostra zrozumiała teraz, że ma w domu wszystkich przeciwko sobie. Przez całą noc nie spała i rozmyślała nad tym, co robić należy w takim położeniu. Źle jest, kiedy się kobieta zastanawia, myśli.

Wydawało się Morusieńce, że koniecznie powinna dać panu Albinowi jakiś znak, ażeby nie przychodził już z wyżłem na Sewerynow, i taki sobie plan ułożyła:

„Ponieważ wiem, o której on tu godzinie przychodzi, przeto wybiegnę kilka minut przedtem, a gdy go spotkam, powiem te tylko słowa: „Na miłość Boga, nie przyprowadzaj pan już do nas Asa, gdyż może być nieszczęście!” Tyle mu powiem i natychmiast wrócę do domu, bo wiem, że to nie jest przyzwyczajenie rozmawiać z mężczyzną na ulicy”.

Dziewczyna zapaliła się do swego przedsięwzięcia, uważała je za niezbedne, chwalebne i nazajutrz w oznaczonym czasie niepostrzeżenie wymknęła się z domu.

Jakoż niebawem na Krakowskim Przedmieściu przy samym rogu Oboźnej spotkała pana Albina z wyżłem. As się łąsił do niej, merdał jej ogonem, jego pan złożył ukłon nadzwyczajnie uprzejmy. Morusieńka otworzyła usta, chciała wypowiedzieć ostrzeżenie, ale przedtem się obejrzała niespokojnie i nagle szkarłat oblał twarz jej całą: na przeciwległym chodniku ujrzała Lutę, która ją bacznie śledziła. W najwyższym pomieszeniu, zupełnie nie wiedząc, co robi, z pośpiechem rzuciła się w ulicę Oboźną, ażeby tamtędy powrócić do domu. Zabrzęski, oczarowany wdziękami dziewczicy, którą przestrach jeszcze piękniejszą uczynił, pośpieszył za nią i kiedy już skręcała w odludną uliczkę wiodącą z Oboźnej na Sewerynow, przemówił w te słowa:

– Pozwól mi, pani, abym ci uczynił wyznanie, od którego życie moje zależy!

Strwożyło to dziewczynę jeszcze bardziej, gdyż była pewna, że Luta za nimi podąża. Doznała zawrotu głowy, czuła, że jej się ziemia spod nóg usuwa, wyteżyła wszystkie siły, ażeby przyspieszyć kroku, gdy się nagle potknęła, jęknęła „Ach!”... i upadła.

Powszechnie wiadomo, że zakochani umieją korzystać z każdego przypadku.

Lekkuchno i w okamgnieniu Zabrzęski postawił Morusieńkę na nogach, błagał ją jednocześnie, zaklinał, ażeby się go nie obawiała, i przy tej sposobności złożył niezmiernie gorący pocałunek na pięknej rączce bez rękawiczki. Wyrwała mu się jak ptaszek strwożony, biegła co tchu, a przed nią wyskakiwał, radośnie poszczekując, As, który skorzystał z chwili i razem z łańcuszkiem wymknął się swojemu panu.

Odebrawszy tyle niespodziewanych a silnych wrażeń przystanął teraz pan Albin jak człowiek, który nieuchronnie potrzebuje chwilki czasu, aby sobie powierzchownie zdać sprawę z tego, co tak nagle zaszło. Nie miał na to czasu, gdyż właśnie spostrzegł przechodzącą mimo Lutę. Chwycił się za kapelusz, zdjął go do ukłonu, ale ona miała fizjonomią sztywną, pogardliwą i przeszła, jak gdyby go wcale nie widziała, podążając za Morusieńką i Asem.

Ta niespodzianka najzupełniej stropiła Zabrzęskiego; nie jadł wcale śniadania, lecz poszedł prosto do domu na Erywańską. Usiadł i przebiegał myślą dzieje swojego uczucia. Wszystko poszło z Asa; marny pies może jednak w życiu człowieka odegrać znaczną rolę.

Rzecz dziwna, zakochani ludzie mają najwyższą skłonność do rozmyślań, a wcale nie są zdolni myśleć, oglądać myślą swojej własnej duszy. Dusza ta jest wprawdzie jak by cyrkiem czy teatrem, gdzie sobie najrozmaitsze uczucia urządzają przedstawienia, ale zupełnie brakuje widzów. „No i cóż dalej? Na czym się to wszystko skończy?”

Tymczasem na Sewerynowie było istne piekło. Dopiero teraz się wydało, że Luta to nieustannie podzegała starego, ażeby się uzbroił w ojcowską powagę i dał dobrą naukę „smarkaczowi”. Proces o pokasanie przez Asa Pyty dołał tylko oliwy do duszy emeryta, zaniepokojonego o najmłodszą z córek. Luta bowiem wyraźnie powiedziała ojcu, że Morusieńka jest bardzo zalotna, może łatwo zostać kokietką, pójść po drodze zgubnej dla siebie i rzucić „cień na całą rodzinę”. Czy to była zwyczajna złośliwość starej panny, gotowej każdemu dokuczyć, czy fortel, ażeby w taki sposób Zabrzęskiemu przeciąć drogę zabiegów względem „smarkacza”, a napędzić go ku sobie, czy nareszcie istotna troskliwość o nienaganne postępowanie i dobre imię najmłodszej siostry? Pytań tych nikt zapewne nie zdoła rozstrzygnąć stanowczo. Wszystkiego bowiem w pobudkach działania „anioła stróża rodziny” mogło być po odrobinie.

Po doznanej przygodzie ulicznej z panem Albinem Morusieńką przed drzwiami mieszkania odzyskała przytomność, nie wpuściła za sobą wyżła, tylko weszła sama, usiadła spokojnie i, czego dotąd nigdy nie robiła, zaczęła czytać książkę: „Żywoty znakomitych Polek”.

Wkrótce wpadła za nią Luta jak bomba, zatrzymała się chwilę i powiedziała z gorzkim uśmiechem:

– Pięknie, bardzo pięknie!...

Skinęła na Gutę i Niutę i wszystkie trzy poszły do ojca.

– Ojczy, jest źle, bardzo źle! – zawołała Luta wchodząc do pokoju.

Emeryt z przerażeniem spojrzął na najstarszą córkę i trwożliwym głosem spytał:

– Co się stało?

A ona zaraz zaczęła w najstraszniejszych barwach przedstawiać, że Morusieńka miała umówioną na ulicy schadzkę z Zabrzeskim, że się wraz z nim schroniła na odludną ulicę, gdzie słuchała jego miłosnych wyznań, że nareszcie upadła, a on ją podniósł i całował. Guta i Niuta dodawały niemało okropności temu opowiadaniu swoimi wykrzykami, ruchami rąk i twarzy.

– Niech ojciec radzi! Niech ojciec radzi! – wykrzykiwały na gwałt trzy stare panny.

Zdawało się, że starca opuściła dzisiaj owa energia i stanowczość, którą okazywał wczoraj jeszcze, uzbrojony w pistolet. Pobladał nadzwyczajnie, miał łzy w oczach, usta mu drgały, nogi się chwiały pod nim i wyrzekł tylko:

– Tak, tak, trzeba złemu zaradzić! Nieszczęście!

Swojewski miał w Warszawie przyjaciela z lat dawnych, kolegę biurowego, dziś jak i on emeryta, Ryszarda Bodzęckiego, którego koledzy przezwali byli niegdyś Ryszardem Lwie Serce. Nie lwie, ale prawe ludzkie serce posiadał ten człowiek, jeden z takich, co się to o nich mówi: „Można na nim polegać jak na Zawiszy!” Bodzęcki, przeszło siedemdziesięcioletni starzec, ostatki życia swojego poświęcał obecnie rozmyślaniom nad tym, jak ulepszyć ustawy w różnych towarzystwach dobroczynnych, ażeby wsparcia otrzymywali tylko rzeczywiście ubodzy ludzie, a spomiędzy wszystkich stowarzyszeń w Warszawie najwyżej stawiał Archikonfraternię Literacką, której był członkiem. Chudy, kościsty, zawsze wyprostowany, miał wzrok surowy, wyraz pociągłej zmarszczonej twarzy niezwykle ostry. Mimo starości nie był gadułą, lecz mówił zawsze krótko, zwięźle, wyraźnie.

Do niego to przybył Swojewski z ojcowskim bólem w sercu i bez żadnych ogródek wyznał otwarcie, co zaszło, a na zakończenie dodał ze wzruszeniem:

– Dajże mi radę, Ryszardzie, co mam przedsięwziąć!

Ryszard Lwie Serce uważnie wysłuchał całej przemowy kolegi, żądał wyjaśnienia co do niektórych szczegółów, po czym rzekł:

– Zawsze się działy takie rzeczy i zapewne dzać się będą; na to nie ma lekarstwa, żaden ojciec, żadna matka nie upilnuje! Swoją drogą, ty nie możesz tego brać lekko i owego zalotnika musimy do odpowiedzialności pociągnąć... Kto pannie naznacza schadzkę, oświadcza jej się i całuje ją przy wyznaniu miłosnym, ten się nieodwołalnie musi z nią ożenić!... No, a gdyby odmówił, powinieneś się z nim koniecznie strzelać jako obrońca honoru swojej córki.

Emeryt spuścił głowę usłyszawszy wyrok sprawiedliwego kolegi i odrzekł:

– Słusznie mówisz, nie ma żadnego innego wyjścia! Niech się żeni albo będzie miał ze mną do czynienia!... Cóż robić? Dla dobra rodziny trzeba się nawet dać zastrzelić, jeśli potrzeba.

Pan Ryszard okazał się bardzo uczynny i przyjął na siebie obowiązki pierwszych zagajeń w tej drażliwej sprawie o honor Morusieńki.

Zabrzeski ciągle był czegoś niespokojny, oczekujący, i choć już było po szóstej, nie jadł jeszcze śniadania. Nareszcie otrząsnął się z bezmyślnej zadumy i pomyślał, że bez względu na

wszystko człowiek koniecznie jeść musi. Przyzwał Franciszka i zapytał go, czy nie wie, co się dzieje z Asem. Służący odpowiedział:

– Trudno taką bestią pilnować na każdym kroku!

Franciszek skłamał, chciał bowiem ukarać wyżła za jakąś nową psotę i zamknął go w ciasnej komórce oczekując wyjścia z domu pana Albina.

Wtem ktoś zadzwonił; służący pośpieszył do drzwi i widząc jakiegoś gościa, który gotów pana dłużej jeszcze w domu zatrzymać, a tu aż ręka świerzbi, żeby psu „skórę wytatarować”, odrzekł:

– Nie ma pana w domu – i drzwi przybyłemu zamknął przed nosem.

Bodzęcki – on to był bowiem – dopiero nazajutrz rano porozumiał się z panem Albinem.

Rozmowa trwała bardzo krótko, a o jej treści najlepiej świadczyło to, że się Zabrzeski ożenił z Morusienką. Otóż i w taki sposób można się też ożenić.

Gdy już panna Swojewska została panią Zabrzeską, wnet cicha, spokojna dziewczyna zmieniła się na wielce ruchliwą i energiczną mężatkę, okazując nieustannie tkliwą miłość mężowi. I było to, co bywa zwykle: naprzód „dwie dusze w jednym ciele”, potem duszy płci męskiej robi się ciasno, a dusza żeńska trzyma ją obiema rękoma za poły.

Dawniej panu Albinowi ciągle się nastęczało pytanie: „Na czym się to wszystko skończy?” Obecnie, jeśli wpadł w zadumę, stawało przed nim pytanie: „Czy ja jestem szczęśliwy?” Sam sobie odpowiadał: „Zdaje się, że jestem”. Później wahał się, co sobie odpowiedzieć; jeszcze później odpowiedź brzmiała: „Zdaje się, że szczęścia nie ma na świecie”. Ona zyskała swobodę, on ją stracił. Uwolniła się od tyranii rodzinnej sióstr i została sama tyranką męża. Jako pannie było jej źle na Sewerynowie, a sądziła, że mężowi powinno być dobrze na Erywańskiej. Miłość ich, nie przeplatana żadnym innym uczuciem, nie przerywana obowiązkami, w które człowiek wkłada kawałek duszy, stawała się chlebem powszednim, a nie przysmakiem. Zabrzeski usiłował nieraz wydobyć się z domu, ale żona inaczej pojmowała święty małżeński związek. „Kocham cię i chcę być zawsze z tobą” – mawiała. Ten piękny klejnot zaczynał być kamieniem młyńskim u szyi.

Zmęczony, przesycony miłością pan Albin znowu zwrócił uwagę na Asa, gdyż zachciało mu się teraz polować. „Ach! wyrwać się na cały dzień z domu w pola, w lasy!” Odnalazł adres Benedykta Ochoty i postanowił osobiście odwiedzić wyżła na naukę.

– Bardzo dobrze, to i ja z tobą pojedę! – zawołała żona.

– Strzęszesz się, moja duszko, lepiej w domu zostać.

Na nic się nie zdały wszystkie przedstawienia i jednego dnia młoda para wsiadła na pociąg kolei, aby dojechać do stacji najbliższej od Kościejowej Wólki, po czym trzy mile jeszcze podróżowali końmi.

## ROZDZIAŁ III

*Sarmata i filozof. – Ajnemerowa, jej dzieci, Wiktusia. – Olfąs, psi mentor. – As się wykierował na łapikurę. – Gospodynie i wyrocznia. – Awans. – Kury Ajnemerowej. – Jasnowidząca. – Dziękowanie za służbę. – Rosół Sarmaty. – Kara i ucieczka. – Gdzie się Olfąs schronił?*

Wyobrażenia, poglądy pana Ochoty na cele wychowywania psów bardzo się podobały i Zabrzieskiemu, i jego małżonce; obojgu im się wydawało, że nie można było zostawić Asa w lepszych rękach. Zbójecka – tak się zwała rezydencja leśniczego – leżała w lesie odległym przeszło o pół mili od Kościejowej Wólki. Był tutaj duży dom drewniany, ozdobiony od frontu wielkim łbem dzika, obok – inny budynek, stanowiący stajnię, chlew, kurnik, drwalnię; po drugiej stronie przystawka, a wszystko to otoczone naokoło drewnianym parkanem z tarcic.

Sam pan Ochota, chłop – olbrzym, z długimi czernionymi wąsami, z brwiami sprawiającymi wrażenie ostu. Liczył z górą lat pięćdziesiąt i nosił przed sobą wypukłość, która przypominała kopkę siana lub kopiec graniczny. Mimo to okazywał dużo krewkości, energii, co przypisywał picciu na cześć piołunówki. W rozmowie bardzo często powtarzał:

– Ja, chwalić Boga, jestem sobie Sarmata!

Nie było to u niego pojęcie etnograficzne, ale pojęcie zucha, któremu pod każdym względem dopisują siły fizyczne; przez „Sarmatę” rozumiał więc Ochota uosobienie zdrowia i wytrzymałości. Drżeli przed nim okoliczni złodzieje leśni nazywając go „zbójem ze Zbójeckiej”, bo biada temu z nich, który się dostał w srogie łapy Sarmaty. Sarmatą nie był w takim znaczeniu słowa młodszy o kilka lat od Benedykta brat jego, Julek, łysy, żółty jak wosk na twarzy, niskiego wzrostu i chudziutki. Starszy brat nazywał młodszego „filozofem”.

Harmonia między tymi dwoma Ajaksami była doskonała: siła fizyczna uznawała inteligencją, a inteligencja żyła na koszt siły fizycznej, gdyż Julek, skończony próżniak, nic a nic nie robił w domu brata. Młodszy Ochota imponował swojemu otoczeniu nie tylko nadzwyczajnymi pomysłami, ale także i językiem, którego tutaj nikt po największej części nie rozumiał. O złodzieju mawiał; „psiakrew, komunista”. Smutnego człowieka nazywał mizantropem, kłamstwo – improwizacją, złość – irytacją, głupstwo – herezją. Przy tym mawiał niekiedy o ludziach „z niższym poznaniem”, dając do zrozumienia, że on sam jest „człowiekiem z poznaniem wyższym”. Tylko Julkowi dzięki pojawiały się na Zbójeckiej pytania świadczące o głębszej przenikliwości umysłu ludzkiego, jak na przykład: „Wierzyć czy nie wierzyć, że dusza po śmierci ciała błąka się i straszy?” Sarmata nigdy by się nie odważył na własną rękę coś stanowczego orzec pod tym względem, mówiąc:

– Do takich zamysłowatych rzeczy trzeba mieć głowę Julka! On filozof, on co innego, zna różne takie kawałki...

Trzeba wiedzieć, że pan Benedykt miewał dni takie, w których go napadało niezwykle pragnienie piołunówki; wtedy odosabniał się zupełnie w swojej izbie i pił dopóty, póki go „nie ominęło”, co trwało niekiedy trzy, cztery dni. Mawiano wówczas w domu, że „pan słabuje”. Gdy raz tak chorował, weszła do niego w nocy gospodyni, wiedzona zapewne troskliwością o zdrowie pana. Ochota widąc jej nie poznał, przestraszył się widma w bieli,

porwał wiszącą na ścianie dubeltówkę i wypalił do kobiety. Na szczęście w naboju był śrut kaczy; skończyło się na wybiciu zębów i zeszpeceniu twarzy gospodyni.

Ta gospodyni nazywała się Ajnemerowa, a dzierżyła na Zbójeckiej ster zarządu gospodarstwa domowego i każdej prawie nocy albo widziała, albo słyszała, że „coś chodzi”. Straszło tam na Zbójeckiej. Ajnemerowa pochodziła z Galicji i, jak podanie głosi, była wdową po strażniku roгатkowym – *Einnehmer*<sup>5</sup> – stąd poszło później jej nazwisko. Przed osiemnastu laty była podobno bardzo powabną niewiastą, przynajmniej sama tak twierdziła, ale obecnie ani śladu wdzięków: wysoka, chuda, rozczochrana wiedźma z twarzą cygańską, pokrytą bliznami.

Miała Ajnemerowa przy sobie dwoje dzieci: dwudziestoletniego syna Olfęsa (zapewne Alfonsa) i dwudziestoczteroletnią córkę Polusię. Olfęs, długi, cienki draęal, odznaczał się czubatą głową z rudymi włosami, dużym nosem jak by przełamanym w środku i skrzywionym w prawą stronę, ustami przypominającymi otwór słoika, z których wyglądały zęby, podobne do zajęczych. Powoli i ociężale chodził na długich a płaskich stopach, nieustannie poprawiając krótkie, lecz szerokie spodnie, które na jednym tylko ramieniu utrzymywał kawałek krajki.

Główną siłę roboczą w całym domu stanowiła Polusia, dziewczka rumiana, silna, zdrowa i pracowita. Oprócz tych wymienionych osób znajdowało się jeszcze na Zbójeckiej dziecko, pięcioletnia Wiktusia, o której pochodzeniu nikt nigdy nie mówił, choć przecie musiała mieć ojca i matkę.

Zabrzeski ułożył się o warunki i zostawił Asa w domu Ochoty, a pani Zabrzeska poleciła go szczególnej opiece Ajnemerowej, gdyż, jak mówiła, wyżłowi temu zawdzięczała swoje szczęście małżeńskie. Gospodyni na Zbójeckiej z miłym uśmiechem przyjęła zapewnienie młodej mężatki, że dobra opieka nad Asem będzie oddzielnie wynagrodzona.

Właściwie mówiąc Sarmata nie posiadał żadnego oryginalnego sposobu układania wyżłów, ale Julek każdemu mówił:

– Mój brat ma swoją własną metodę! Mój brat nie trzyma się niczyjej metody!

I stąd powstało, że ludzie mówili o metodzie pana Benedykta nie zdając sobie sprawy, co to jest metoda w ogóle i w szczególności. Nawiasowo nadmieniamy tutaj, że „filozof” i innych wyrazów nadużywał w podobny sposób: polityką nazywał grzeczność, krytyką – obmowę.

Ta metoda starszego Ochoty była bardzo prosta, brał on z sobą wyżła w pole, a powróciwszy do domu wołał Olfęsa i oddawał mu psa pod wyłączną opiekę:

– Tylko żeby mi dobrze „dociągał”, „wypychał” jak należy – rozumiesz, kondlu?...

Olfęs to więc był rzeczywistym pedagogiem, który wyuczał psy warować, aportować, szukać zguby, chodzić przy nodze itd. Jeżeli zaś zaszła potrzeba, on je także oduczał od różnych psom niedozwolonych nałogów. Gdy wyżeł włóczył nos po ziemi, nauczyciel zakładał mu widelki zniewalając do górnego wiatru. Innym razem należało psa wyprowadzać w pole na otoku i w koralach, aby go zmuszać do należytego dociągania po zwietrzniu zwierzyny. Uczeń Olfęsa musiał wybornie rozumieć znaczenie wyrazów: „są-tu, dalej, tiazad, fuj, szukaj, aport, zguba, lekko, pst”; nadto musiał pojmować rozmaite tony i sposoby poświstywania czy pogwizdywania.

Ciężką szkołę przechodził pies, którego chłopak ten wziął w swoje ręce! Ale on tylko oddawał psom to, co sam odbierał od ludzi.

Pierwsza Ajnemerowa bardzo nie lubiła syna i głośno wyjawiała zdanie;

– Wiem ja, wiem dobrze, co za ziółko jest ten obwieś, gotowy sprzedać rodzoną matkę!

Polusia też „żarła się zęb za zęb” z bratem i nienawidziła go równie jak matka.

– Na wilka jacy patrzy abo na innego jeszcze gorszego zwierza – mawiała.

---

<sup>5</sup> E i n n e h m e r (niem.) – poborca

Wiktusia, ile razy się oddaliła od domu, a spotkała gdzie na ustroniu Olfąsa, zawsze uciekała z przerażeniem, powiadając, że się „boi okrutnie, aby jej czego złego nie zrobił”. Panowie Benedykt i Julek uważali go też za istotę nie mającą ani żadnych moralnych uczuć, ani fizycznego czucia nawet, I wszystkie, jakie tylko są, obelżywe, wzgardliwe przezwiska stosowano tam na Zbójeckiej do Olfąsa. A ile razy on dostał od Sarmaty po grzbiecie harapnikiem, ile go nakopano nogami, wydarto za łeb, za uszy, nabito w gębę! Już matka, już siostra zносиły nań skargi, za co brał wały.

– Dostyc tego kondla zobaczyć, a już się bić chce, aż ręka świerzbił – odzywał się pan Benedykt, gdy Julek powiadał, że to jest „*in summo gradu*<sup>6</sup> figura antypatyczna”.

Łatwo zrozumieć, że Olfąs też nikogo nie kochał i, o ile mu tylko pozwalało bezpieczeństwo własnej skóry, na wszystkich wywierał swą nienawiść. Już to najmniejszej rzeczy nie można było zostawić bez zamknięcia, gdyż kradł on wszystko, co mu tylko pod rękę podpadło; pieniądze, kawałek chleba, mięsa, szmatę jaką, nóż, śrut, proch, kapiszony. Jeśli się przypadkiem dorwał do flaszki z gorzalką, wysącał ją do dna, a po każdej znaczniejszej kradzieży miał zwyczaj na krótszy lub dłuższy czas zmykać do lasu. Wraciał, odbierał srogą karę i przy sposobności znowu robił swoje, ale nigdy nie przyznał się do winy, choćby go do śmierci bito.

– Co by to był za charakter, żeby szelma chciał być uczciwym! Słowo honoru daję, bohater – mówił nieraz filozof.

Tym lepiej ćwiczył pan Benedykt chłopaka w nadziei zrobienia bohatera.

Ten brudny nędzarz, skrobiący się nieustannie w plecy, był postrachem psów, które brał pod swój dozór i władzę. Pod jego wpływem najgorętsze nawet wyżły stawały się uległymi flegmatykami, a powolne nabierały ognistego temperamentu. Tajemnicę owego wpływu stanowił przede wszystkim bat, następnie – rozmaite tortury, wymyślane przez Olfąsa w celach wykształcenia, a nie pozostawiające psu żadnego innego wyjścia, jak tylko bezwarunkową uległość. Może atoli i różne narzędzia męczarń nie wywarłyby pożądanego wpływu na niejedno zwierzę, gdyby nie sama indywidualność tego chłopaka, jakaś wola zacięcie niewzruszona, nieubłagana, dzikie i zimne okrucieństwo wyglądające z każdego jego ruchu i przerażające każdego psa nieopisaną trwogą. Miał on zwierzęcy instynkt w odgadywaniu przyczyn zwierzęcego uporu, a ludzką zmyślność w wynajdywaniu środków karnych. Ażeby zrozumieć to jego dzikie okrucieństwo, trzeba go było widzieć, gdy z gniazd ptasich nawybierał pełne kieszenie piskląt, potem spokojnie, z uśmiechem zadowolenia dusił w palcach jedno po drugim, piekł na patyczkach nad roznieconym w polu ogniem i zjadał. Gdy Olfąs spojrział w oczy psa swymi piwnymi oczyma, pies brał ogon pod siebie, kurczył się, przylegał na ziemi i kornie spełniał rozkazy – rzekłbyś – jeden drugiemu zajrzał głęboko w duszę. Wśród ludzi syn Ajnemerowej wyglądał jak idiota, nieczuły na wszelkie wrażenia będące skutkiem obcowania z bliźnimi. Widok i głos pana Benedykta zdawał się go paraliżować, odbierać mu przytomność umysłu. Zupełnie inną już istotą stawał on się na samotności albo mając do czynienia z psami. Biada wyżłowi, który nie chciał szukać zguby, aportować, iść w wodę, i doprowadził Olfąsa do niecierpliwości!

Ten psi mentor miał swój własny słownik na oznaczanie wyżłów, które posiadały jakieś niepożądane właściwości. Pies, wachający po ziemi, zwał się podług tego słownika „mysiarz”, jeżeli stawał do lada ptaszka, „skowroniarz”, gdy się rzucał w pogoń za wypchaną zwierzyną, był to „świniarz”. Do każdego z tych przezwisk Olfąs dodawał epitet zdobiący – „ścierwo”.

Bywały czasy, w których na pensjonacie u pana Benedykta kształciło się jednocześnie kilka wyżłów i wtedy Julek z dumą się odzywał, że jego brat jest „specjalistą mającym sławę

---

<sup>6</sup> *I n s u m m o g r a d u* (łac.) – w najwyższym stopniu

europijską”. Obecnie był tu tylko jeden As, zwany potocznie przez otoczenie „psem warszawskim”.

– Nie jest to bez a l e, jeżeli już Warszawa psy do nas przysłała! – mówił filozof wyprowadzając wniosek z faktu pojawienia się Asa na Zbójeckiej.

Ajnemerowa otaczała względami warszawskiego psa, gdyż – według obietnicy pani Zabrzeskiej – spodziewała się „wdzięczności”, jeżeli wyżeł po odbytej edukacji wróci do domu mądry, zdrowy i niechudy. Olfąs od razu spostrzegł, że matka tego psa nadzwyczajnie wyróżnia.

Swoją drogą As miał poza sobą bogatą przeszłość stosunków z płcią piękną i posiadał właściwe sobie sposoby wkradania się w serce niewieście. Wszystko to gotowało mu niełaskę pedagoga, tym bardziej że pies warszawski był jednocześnie „mysiarzem”, „skowroniarzem” i „świniarzem”, a oprócz tego pozyskał przydomek „ścierwa lizucha”. Im atoli dokuczliwszą była metoda Olfąsa, z tym większym sentymentem i zwracał się pies do Ajnemerowej, Polusi, nawet i Wiktusi. Przedtem, nim As przybył na Zbójecką, używał tutaj niewieścich względów Awans, rosły, łaciaty wyżeł z rasy, która obecnie zupełnie wyszła z mody, ale że pies ten był już bardzo stary i nie okazywał najmniejszej pochopności do nadskakiwania, więc teraz dano pierwszeństwo zręcznemu warszawiakowi. Kobiety niestałe są w swych uczuciach.

Częstokroć nawet kijem wypędzano teraz Awansa z izby, gdyż gospodyni twierdziła, że rozpuszcza on pchły nadzwyczajnej wielkości, które w nocy spać jej nie dają. Do tej hipotezy o pchłach skłoniło Ajnemerową głównie odezwanie się pana Benedykta, który publicznie zrobił raz Julkowi taki wyrzut:

– Chodzisz oto filozofować między baby, niczego ich nie nauczysz, a pchły tylko do mnie znosisz i ja potem w domu wysiedzieć nie mogę; pijawki tak nie dokuczają jak te bestie!

Na Zbójeckiej były aż trzy teorie co do powstawania owych pasożytów. Sarmata otwarcie utrzymywał, że pchły pochodzą z płci pięknej, a stają się wtedy dopiero dokuczliwe, kiedy przejdą na psa lub mężczyznę.

– Kobieta pcheł nic a nic nie czuje, choćby ją obsiadło największe mrowisko – powiadał Benedykt.

Zdaniem Ajnemerowej pchły pochodzą tylko z psów, rozchodzą się po świecie i są dokuczliwe tak dla mężczyzn, jak dla kobiet. Julek jako filozof chciał być oryginalny, więc się nie zgadzał na żadną z tych teorii, ale nie chciał też zbijać przekonania brata, a znowu praktyczne względy odżywiania nakazywały mu pozostawać w przymierzu z gospodynią i przeto twierdził:

– Pchły powstają głównie z trocin i paprochów siana, a mogą też powstawać z psów, z kobiet.

To pewna, że w tej części mieszkania, którą zajmowały Ajnemerowa, Polusia i Wiktusia, pchły były bardzo wielkie, bardzo dokuczliwe i niezmiernie liczne.

– Gryzą bestie jak kuny – mawiał starszy Ochota.

Za pośrednictwem Polusi do uszu Ajnemerowej dochodziły wieści, jakoby Olfąs podczas lekcji w polu tak katował Asa, aż się w Kościejowej Wólce ludzie litowali słysząc skomlenie wyżła. Opowiadano, że okrutny nauczyciel krępował Asa własnymi spodniami, wieszał go na gałęzi drzewa i strasznie ćwiczył batem. Skrępowany i za grzbiet zawieszony pies nie miał żadnego punktu oparcia, a jego oprawca bił, potem odpoczywał i znowu bił. Gospodyni niebawem zaniósł skargę do najwyższej instancji, ale Sarmata wysłuchawszy jej rzekł:

– Nie ma w tym nic złego, kiedy się bije takiego psa albo człowieka, co z posłuszeństwa będzie miał kawałek chleba: tylko na dobre mu to wyjdzie!

Żeby zaś słowem swoim nadać większą siłę, pan Benedykt przywołał Olfąsa, schwycił go swoją olbrzymią łapą za ucho, zakręcił silnie i spytał:

– A co, boli?

Chłopak ani pisnął, tylko zmrużył oczy, wyszczerzył zęby i skurczył się cały.



– Łajdaku, to ty musisz psa wieszać, kiedy go ukarać trzeba.

I z tymi słowy starszy Ochota, podbiwszy Olfąsą piętą jak piłkę, wyrzucił za drzwi.

Ajnemerowa zaś, Julek i Polusia radzili we troje, że „takie państwo z Warszawy pewnie nie potrzebuje psa do zajęcy, które przecie w mieście można łatwo na targu kupić, jeno więcej im chodzi o różne takie »polityczne« sztuki dla zabawy”.

Młodszy Ochota basował babom, gdyż mu było z tym dobrze: dogadzały mu we wszystkim. Obecnie nawet miał on ważny powód do schlebiania, gdyż pod jesień zabito na Zbójeckiej wieprza, a filozof przepadał za słodką kiszka z kaszą i rodzynkami. Sprawy tego porządku były w ręku Ajnemerowej, która mogła to robić w domu, co chciała, a niczym się łatwiej nie dała ująć jak pochlebstwem – i gdy ją kto pocałował w brudną rękę. Uśmiechała się wówczas bardzo wdzięcznie, okazywała skłonność do ustępstw.

Kary, które As otrzymywał z ręki swego mentora, uwieńczył przynajmniej dobry skutek, wyżeł bowiem okazywał nareszcie całkowitą uległość i roztropność w spełnianiu rozkazów Olfąsą. Mówmy wyraźnie. Chłopak wychodził z psem i podążał polami w kierunku ludnej, zamożnej wsi – Kościejowej Wólki. Stojąc na wzgórzu, z daleka śledził on bystrymi oczyma, co się naokoło tej wsi dzieje. Wyobraźmy sobie sielski krajobraz w pogodny dzień jesienny. Wzdłuż drogi ciągnie się długa wieś, w jasnym słońcu pięknie odbijają bielutkie ściany chat spoglądających na zielone błonie, po którym uwija się gromada różnobarwnego bydła rogatego, koni, owiec, gęsi, a na strumieniu tu i owdzie pluska się, nurkuje stadko białych i szarych kaczek. Na tyłach chat – złote rżyska, porozdzielane miedzami, ciągną się ku lasowi i to, co tutaj krajobrazowi dodaje wdzięku, ruchu: na rżyska powychodziły poza chaty gromadki kur ze swymi kogutami... Właśnie z całego krajobrazu tylko te kury obchodziły Olfąsą. To grzebiąc, to poszukując żeru, a nigdy się zbyt od chat nie oddalając, spokojne domowe ptaki chodziły sobie po rżysku. Skoro je As tylko zoczył, przykurczał się tak, że go zaledwie w bruździe można było spostrzec, podchodził chyłkiem, pełzał na brzuchu, nareszcie wyskakiwał nagle, chwycił upatrzoną kurę i w skok pędził z nią do swego mistrza, przyczajonego gdzie bądź za krzakiem tarniny. Polowanie kończyło się roznieczeniem ognia w boru, upieczeniem i zjedzeniem kury. Daleko łatwiejsze bywały łowy na kaczki, które z biegiem strumienia nieogłędnie precz poza wieś odpływały. Gęsi również nie stanowiły trudnej zdobyczy.

Spostrzegły to niebawem gospodynie z Kościejowej Wólki, że codziennie przepada gdzieś już kura, już gęś, już kaczka, ale wobec faktu takiego zachowywały się podobnie jak ludność starożytnej Grecji: zapytywały o przyczynę i radę wyroczni. Wyrocznią w Kościejowej Wólce była stara baba, niejaka Wypychowa, lekarka, wróżka, zażegnawaczka, której mądrość polegała głównie na tym, ażeby nic nie robić, a zawsze mieć się czym pożywić. Pytana o przyczynę znikania ze wsi drobiu, życzyła sobie, aby jej zostawiono siedem dni czasu do namysłu. Skoro ten przeciąg czasu upłynął i siedem nowych sztuk przepadło, gospodynie pośpieszyły do wróżki znowu z zapasami chleba, sera, jaj, kaszy, grochu i otrzymały odpowiedź mniej więcej taką, jaką Grekom dawano w Delfach.

– Ptak nie ptak, zwierzę nie zwierzę, może cosik gorszego jeszcze, a zawdy trza dawać baczenie od Zbójeckiej.

Przez takie powiedzenie wróżka ukazywała na położenie lasu jako prawdopodobne miejsce pobytu potwora, pobierającego haracz z Kościejowej Wólki. Rozumie się, pożeracz ptaków tylko w boru mógł przemieszkwać.

Tymczasem na Zbójeckiej warszawski pies, który zrazu był w takich wielkich łaskach u płci pięknej, zaczął coś stawać się istotą podejrzaną, a zaczęło się od małej rzeczy. Jednego dnia rano Ajnemerowa, Polusia, za nimi i Wiktusia poszły do krów, które noc przepędzały pod zamknięciem aż na dwie kłódki. Wchodzi do krowiarni pierwsza Ajnemerowa, krowy się na nią oglądają, porykują, a wtem spod żłobu wyłazi As, przeciąga się w najlepsze i ziewa.

– Dla Boga świętego, skądże się tu zaś wziął ten pies? – powiada gospodyni do córki.

– Miastowy taki, to pewnie kóli większej wygody i ciepła wlaźł między krowy – odrzekła Polusia.

– Czy ty, głupico, nie pamiętasz, żem go wczoraj wypędziła stąd przed zamknięciem krowiarni i wyszedł z nami?

– Juźci, prawda, mamusiu!... Gdzieżbym nie miała pamiętać?...

– Kiedy pamiętasz, to nie gadaj, że wlaźł... Z czegoż mu się ślepie tak świecą?...

Ajnemerowa żywiła niezłomne przekonanie, iż zły duch, ile razy mu się zachce niepokoić ludzi, wlaźi albo w czarnego kota, albo w czarnego psa. Niespodziewane pojawienie się w krowiarni wyła obudziło jej podejrzliwość, ale nie była pewna siebie, czy psa wypędziła z krowiarni na noc, czy nie. W takiej samej niepewności pozostawała także Polusia, jednak wolała matce przyświadczyć, niż się z nią spierać.

Nie można powiedzieć, że warszawski pies z wyżej przedstawionego powodu zasłużył sobie na prześladowanie ze strony kobiet; bynajmniej, tylko teraz pozostawiano go coraz wyłącziej opiece Olfąsa, od którego zależało wreszcie i karmienie wyła.

Głód, miłość, brak swobody – wieczne przyczyny cierpień życiowych. Zwykle wesoły, poszczekujący As zaczął posepnieć, spoglądać ponuro i pożądlivymi oczyma badać, czy gdzie nie leży jaki kawałek czegoś, mającego wartość. Ta jego mina, te różne zachcianki, pokusy utwierdzały gospodynię w podejrzeniach, odnoszących się do czarnych psów i kotów. Sama Ajnemerowa za nic w świecie nie wypędziłaby takiego psa ze swej izby, gdyż mógłby się potem zemścić, ale polecała to czynić istocie niewinnej, do anioła zbliżonej, nad którą zły nie ma jeszcze żadnej siły – Wiktusi. Dziecko spełniało wolę gospodyni bardzo skrupulatnie i z przyjemnością.

Nasz pies, zupełnie zaniedbany przez swego opiekuna, używany przezeń jedynie jako łapikura i nieraz surowo karany, a przy tym wypędzany gorliwie z kuchni i izby gospodyni byłby się targnął na własny ogon, gdyby wiedział, że go to nasyci. Okruchy i ochłapy, które pozostawały z ludzkiego stołu, już Wiktusia uprzętała bardzo starannie, a Awans, jakkolwiek pies stary i gnuśny, zawsze od początku obiadu był już przed drzwiami na stanowisku zabezpieczającym mu gruntowe kości i odpadki. Jako pies miejscowy, znający na wylot ordynek domu, czuł on, że prawo kości służy mu tak bezsprzecznie, iż najmniejszej kostki gotów był bronić do wyłamania sobie ostatniego zęba. Stanowczość, z jaką ów starzec zjadał twarde szczątki pańskiego obiadu, była tak wielka i miała w sobie tyle powagi, że As spojrział tylko i widział bezsporność praw Awansa. Cienko śpiewał!... Nieraz znalazł starą kość wybielałą, czaszkę końską lub baranią, brał. to w zęby, kładł się na ziemi i chrupał. Dobre i takie naiwne łudzenie samego siebie!

W takim położeniu rzeczy wyłowi pozostawały tylko tajne i bardzo ryzykowne drogi zaspokajania głodu, jak na przykład – upatrzeć chwilę dobrą, wpaść piorunem do kuchni, porwać tam bodaj z garnka flak jaki, i w nogi. Udawało się niekiedy, a w takim razie już Olfąs bezwarunkowo odbierał plagi, bo któż inny mógł ukraść tak zrećnie? Jemu było obojętne dostać wały raz więcej czy raz mniej w życiu. Innym razem mógł znowu As dostać harapnikiem za niego i rachunki się wyrównały. Jakoż nastąpiło to niebawem.

Nie udały się jednego dnia łowy w Kościejowej Wólce, baby bowiem spostrzegły wyła uchodzącego z gęsią ciężką, opierającą się psu resztkami życia; rzuciły się w pogoń i As musiał porzucić zdobycz, ażeby ująć z psią duszą. Widząc rabusia zmykającego ku Zbójeckiej gospodyni ogłaszały tryumf Wypychowej.

Urwało się łatwe i korzystne polowanie, a nawet obawa przejmowała Olfąsa, czy mieszkańcy z Kościejowej Wólki nie zwrócą się do pana Benedykta z żądaniem wynagrodzenia strat poniesionych w kurach, kaczkach i gęsiach. Oj, dostałby on wtedy za opiekę nad wyłem!...

Ale takiemu, który przywykł do smacznych kąsków, na samo ich wspomnienie idzie do ust ślinka. Któż by wrażenia takiego nie doznał na widok pięknych kur Ajnemerowej? Okazałe,

tluste, obiecywały one rozkosze zadowolenia najwybredniejszemu smakoszowi! Starszy Ochota spojrzawszy nieraz na te kury połknął ślinkę i zwracał się do gospodyni mówiąc:

– Zjadłbym talerz dobrego rosółu z kurzyny tylko żeby to było, jak ja lubię!... Esencjonalne – z pięć ziarek pieprzu, trochę bobkowego liścia, kawałeczek imbiru, a po wierzchu niech sobie pływa natka z pietruszki!

Jeżeli Ajnemerowa była w dobrym humorze, co filozof przez pochlebstwo nazywał „anielskim humorem”, odpowiadała:

– Cóż by zaś nie?... Toć wszystek drób jegomości! Niebawem gotował się taki rosół w oddzielnym garnuszku, a z całej kury nie mogło go być więcej, broń Boże, niż dwa talerze. Ale czasem baba miała muchy w nosie, chciała dokuczyć jegomości i wtedy ze złością odpowiadała:

– Ja kur nie stwarzam, jaj nie będę wysiadywała i tego, co zostawione na chowanie, nie myślę w brzuchy wkładać!

Wtedy pan Benedykt odchrząknął tak mocno, aż się w lesie rozległo, szedł do swojej izby i wypijał dwa kieliszki piolunówki, aby utwierdzić swój sarmatyzm.

Olfas spode łba spoglądał na wałęsające się koło domu kury i jak od zmory nie mógł się uwolnić od myśli ciągle mu podszeptującej: „Zjadłbym taką pieczoną kurę!” Teraz wystarczyło pokazać tylko Asowi palcem jedną z kur i iść sobie do lasu, a wyżeł resztę sam załatwiłby, gdyż brał kury tak cicho, lekko, zręcznie, bez najmniejszego hałasu... Chłopakowi chodziło jedynie o to, że brak kury w domu ściąganie nań podejrzenie; i otóż pytanie: ile batów można dostać za zjedzenie takiej kury, to jest, czy się opłaci?

Natura ciągnie wilka do lasu, przeto jednego dnia przepadła w gospodarstwie bardzo jajonośna, biała kura, jedna z tych kur ukochanych, jedynych na kwoki, zawsze nieodstępnie towarzyszących swemu kogutowi. Żałość ogromna! Trajkotała gospodyni, trajkotała Polusia, a filozof pykał fajeczkę, słuchał i od czasu do czasu postawił wniosek. Opinia wahała się tym razem co do prawdopodobnego winowajcy, gdyż Ajnemerowa mocno uderzała okoliczność, że zginęła kura ulubiona i biała, a w domu znajduje się pies czarny. Nie wypowiedziała ona głośno swej uwagi, jednakże z mniejszym naciskiem niż Polusia oskarżała Olfasa. Przed wieczorem atoli sądy zyskały bardzo ważną podstawę, ponieważ z nauki powrócił do domu tylko wyżeł, a jego nauczyciel już nieobecnością podkreślił swą winę. Do późnej nocy przeciągnęły się rozprawy o zuchwalstwie przestępstwa, a kobiety gorycz swojego, oburzenia w małej tylko części złagodziły nadzieją kary, którą Sarmata poprzysięgał wyrzucić na grzbiecie złoczyńcy w imię sprawiedliwości.

– Za taką kurę śmiało można oddać koguta i dwie inne kury! – mówiła Polusia do matki w chwili, kiedy już klęknęła do pacierza przed udaniem się na spoczynek nocny.

Ajnemerowa nic na to nie odpowiedziała, raz – że ją pod noc zawsze męczyła czkawka, następnie – że mimo wszystko nieustannie narzucał się jej umysłowi związek między zniknięciem z domu białej kury a obecnością w domu psa czarnego.

Nazajutrz od samego rana gospodyni zabrała się do nadziewania kielbas i kiszek; Julek uprzyjemniał jej to zajęcie opowiadaniem o krajach, gdzie się rodzą rodzynki, ryż, cynamon, pieprz i inne rzeczy potrzebne w kuchni; Wiktusia klęczała na ławce przy oknie, śliniła sobie palce i rysowała nimi różne figury po szybach. Naraz mała porwała się, przybiegła do Ajnemerowej i poczęła jej z zapalem opowiadać, iż widziała w tej chwili przez okno, jak czarny pies pochwyił w pysk czarną kurę, aż się z niej pióra posypały, i poszedł do boru.

Na wieść o tym zrywa się gospodyni od kielbas, kiszek, bierze w rękę garstkę kaszy, wybiega przed dom, nawołuje; „Tiu, tiu, tiu, tiu!” Odgłos ten sprowadził niebawem do jednego punktu wszystkie kury i teraz je dopiero Ajnemerowa przeliczyła wzrokiem parę razy. Istotnie, znowu brakowało jednej sztuki, i właśnie tej, którą Wiktusia wymieniła, czarnej kury. Wróciła, a stając przed filozofem z założonymi rękoma rzekła:

– Już tam jak mnie tknie co takiego, to choćby ludzie nie wiem co mówili, zawsze na moje wyjdzie!... Zaraz mówiłam wczoraj: Olfąs Olfąsem, wiadome rzeczy, że obwieś, rodzoną by matkę sprzedał, ale mi się nie podobał ten warszawski czarny pies!... I widzi pan, zem przeczula!...

Julek wprawdzie nie słyszał, żeby gospodyni mówiła wczoraj coś podobnego, jednakże nie myślał zaprzeczać. Założył sobie jedną nogę na kolanie drugiej, stuknął kilka razy fajeczką o obcas, wytrząsnął na podłogę popiół i nakładając świeżą porcję tytoniu rzekł;

– Ma się rozumieć! Bywają takie osoby jasnowidzące, które to i owo przewidzą, przepowiedzą.

– Mój panie – ciągnęła dalej Ajnemerowa – i nikt tego zaś nie widział, jeno Wiktusia, to małe dziecko, co jest bez najmniejszego grzechu... A wczoraj znowu nikt tego nie przewidział, jeno ja jedna... Cóż pan powiesz na to?

Gospodyni była teraz tak szczęśliwa z siebie, że w chwilowym zapomnieniu o stracie dwóch kur brudna jej twarz rozjaśniła się, wypogodziła, a oczy błyszczały.

– Jasnowidzenie, słowo uczciwości daję, jasnowidzenie! – rzekł Julek pragnąc w duszy, aby gospodyni zasiadła do roboty, ponieważ właśnie przypadła kolej nadziewania słodkich kiszek z rodzynkami.

Ona jednakże znajdowała się w tym duchowym stanie, w którym człowiek niezbędnie pragnie, aby go podziwiano, i wyprawiła Wiktusię w poselstwie do Sarmaty, żeby „koniecznie przyszedł, bo jest bardzo ważny interes”. Pan Benedykt oświadczył, że nie myśli przychodzić, bo się jeszcze nie pozbył pcheł, które wczoraj z sobą zabrał siedząc wieczorem między babami.

– Oho, jegomość zacznie pewnie od dziś słabować! – rzekła gospodyni, znacząco spoglądając na Julka. – Gdzież ma być dnia dzisiejszego sprawiedliwość jaka?

Potem się zwróciła do Wiktusi z pytaniem:

– Cóż jegomość robi?

– A chodzi se po pokoju i tak butami mocno wali w podłogę, aż człowieka strach zbiera!

– I nic ci więcej nie powiedział?

– Powiedział, a jeno: „Obetrzej sobie, smarkulo, tę świeczkę pod nosem, bo jak ja ci ją kiedy utnę, to ci będzie niezdrowo!” Straszniem się złąkła!...

Tak jest, Sarmata okrągłe dwa dni „słabował”, a tu jeszcze trzecia kura przepadła; Olfąs do domu nie powrócił i „było w domu urwanie głowy, sprawiedliwości zaś nie było żadnej”. Dopiero trzeciego dnia, około dziesiątej z rana, uchyliły się drzwi od izby gospodyni i dał się słyszeć basowy głos Benedykta Ochoty.

– Zjadłbym rosołu z kurzyny, tylko żeby był esencjo...

Jeszcze nie dokończył wyrazu, gdy Ajnemerowa rozwarła już gębę:

– Oho, kurzyny! A jakże, kurzyny!... W takim domu akurat być może kurzyna. Czy tu czuje kto jaką sprawiedliwość?... Tu nie tylko kurzyny, ale wszystkiego braknie niezadługo!...

Potokiem sypały się wyrazy, zdania nie dokończone, a od czasu do czasu brzęknął rzucony ze złością na ziemię nóż, pogrzebacz lub stuknął pchnięty nogą stółek. Sarmata ciągle wystawał pod drzwiami, słuchał podparłszy bok jedną ręką uzbrojoną w harapnik, a drugą pokręcał wąsy czernione. W tym położeniu zastała go w sieni Polusia, która postłuszała z krowiarni krzyk mamusi i pędziła, ciekawa, co się dzieje.

– Polusiu, co się tu takiego stało? – spytał dziewczyny pan Benedykt jak człowiek, który powrócił z jakiejś dalekiej podróży.

Tylko takiego pytania potrzeba było Polusi, żeby zaczęła wrzeszczeć na wyścigi z mamusią, aż nareszcie ogłuszony i zniecierpliwiony Sarmata tupnął nogą, uderzył przy tym harapnikiem w podłogę i krzyknął strasznym głosem:

– Cicho, do kroćset tysięcy!

I natychmiast obie kobiety umilkły, tylko Wiktusia, przestraszona w izbie głosem pana Benedykta, spadła z ławki na ziemię. Wiedziano, iż gdy się jegomość tak niecierpliwi, klnie, tupie, to chociaż już wyszedł z izby, ale jeszcze „słabuje” i broń Boże mu się sprzeciwić.

Teraz Sarmata uchylił znowu drzwi i piorunującym głosem huknął: „Rosolu!” Potem odwrócił się do wystraszonej Polusi z tymi słowy:

– Gadaj mi porządnie wszystko, co się tu stało!

Dziewczyna opowiedziała, że warszawski czarny pies kury z domu w bór wynosi, że Olfas jeszcze nie wrócił, że ona musi Kasztana poić, czyścić, karmić, że mamusia przy takiej robocie około zabitego wieprzka ma tyle utrapień, a tu w domu nie ma żadnej sprawiedliwości.

Pan Benedykt usiadł teraz w ganku, oparł oba łokcie na poręczy ławy, wyciągnął przed siebie grube jak kłody nogi w długich butach i myślał o czymś chrząkając co chwila.

Nareszcie wstał, poszedł do swojej izby, nalał sobie lampkę piołunówki, wypił, zdjął znad łóżka róg myśliwski, wyszedł z nim na ganek i zaczął trąbić potężnie. Głos rogu poleciał w bór rozlegając się echem. Starszy Ochota zawsze tak trąbił, ile razy chciał zwołać borowych, czyli strażników leśnych, aby im ogłosić jakąś wolę swoje, i pierwszy z nich, który posłyszał to trąbienie, miał obowiązek na swoim własnym rogu z kolei otrębywać hasło dalej. Potem schodzili się wszyscy na Zbójeckiej i odbierali rozkazy. Skończywszy tę czynność leśniczy przez jakiś czas nasłuchiwał w kierunku boru. Wkrótce też bliżej i dalej dawały się słyszeć odpowiedzi na rogach, co było znakiem, że służba leśna znajduje się na stanowiskach i słyszy wezwanie swego zwierzchnika.

Sarmata znowu usiadł oczekując zapewne na rosół z kurzyny, a może i na przybycie borowych. Wtem z izby gospodyni wyszła na ganek jakby procesja: na czele postępowała Ajnemerowa z surową, ale i pełną godności fizjonomią; druga z rzędu – Polusia, miała twarz czerwoną jak burak, a na twarzy jakby desenie na marmurze, brudne esy floresy od łez rozmazanych; nareszcie – Wiktusia, nie uczesana, nie umyta i z palcami w ustach.

– Dziękuję jegomości za ośmnaście lat służby! – mówiła gospodyni głosem drżącym, nie zniżając się do żadnego ukłonu.

Gdy to powiedziała, wystąpiła zaraz Polusia, która sapiąc ogromnie i łkając złożyła głośny pocałunek na olbrzymiej łapie leśniczego, a jednocześnie Wiktusia cmoknęła go w wystawione kolano, zostawiając na nim ślad taki, jakby sobie nos otarła.

– Co, co, co, co? – spytał pan Benedykt niby człowiek, który się nagle ze snu ocknął.

– Po cóż tu mamy zawadzać? Jegomość sobie znajdzie lepszą i wierniejszą gospodynię... Dziękuję jegomości za służbę swoje i za wszystko, za wszystko...

Głos Ajnemerowej słabł, wzruszenie ją dławilo, nareszcie się zacięła i z ust jej dało się tylko słyszeć jakby chlipnięcie łyżki płynu. Musiało to być bardzo wzruszające, skoro Polusia w tej chwili zatkała sobie usta fartuchem i wybuchnęła rozgłośnym łkaniem, a za nią beknęła wniebogłoso Wiktusia. Lament był tak wielki, że mu zawtórował raz, drugi i trzeci indyk na podwórzu, a nawet Awans, leżący z dala od ganku i zwykle wrażliwy tylko na szcęk łyżek, nożów, widelców, wzniosł teraz z leżyska głowę, aby zobaczyć, co się dzieje w ganku. Filozof, który od rana wyszedł do lasu, gdzie sobie ścinał szakłaki na cybuszki, właśnie teraz wrócił podczas owej sceny płaczu; obiecywał sobie kiskę z rodzynkami, a tu zastał łzy, płacze, czułości. Starszy Ochota spojrzał na brata wzrokiem wymownym, mającym znaczyć: „Zlitujże się, uspokój te kobiety, wybaw mię z kłopotu!” Dla Julka sprawy takie nie były nowością, gdyż dziękowanie za służbę powtarzało się parę razy corocznie. Zaraz też wziął Ajnemerowa pod rękę i prowadził ją do izby mówiąc:

– Kto widział, żeby taka kobieta, którą tu wszyscy adorują, okazywała słaby charakter?

Gospodyni ogromnie to lubiła, gdy ją filozof otaczał taką tkliwością, i nabierała wtedy chęci do otwierania mu swojego serca w mocnym przekonaniu, że nie ma na świecie nic ciekawszego i godniejszego uwagi nad jej własne uczucia. Izba gospodyni była pełna

korzennej woni: pieprzu, majeranku, kolendru, imbiru, bobkowych liści, przypominając wchodzącemu tutaj świeżo nadziane kielbasy, kiszki, marynujące się szynki, nogi, głowizny, boczki itd. Toteż Julek oblizał się przy wejściu w progi owe jako człowiek pewny nagrody za swoje szlachetne usiłowania. Ale oto Ajnemerowa poskoczyła nagle, załamała boleśnie rękę, potem stanęła jak skamieniała Niobe i zawołała z przerażeniem:

– Mój Boże, mój Boże!... Tyle pracy przepadło!

Przybiegli do niej Julek, Polusia i Wiktusia przeczuwając coś bardzo złego. Gospodyni stała nad nieckami, które widocznie jakaś siła zwała na ziemię z ławy pod piecem. Obok niecek poniewierały się w śmieciach trzy kiszki brutalnie rozszarpane, a zresztą wszystko, co było na tych nieckach, przepadło bez śladu w tym czasie oczywiście, kiedy na ganku trzy kobiety usiłowały wzruszyć Sarmatę wybuchami żalu. Z wyrzutem spojrzął filozof na gospodynię, jak gdyby chciał powiedzieć: „Oj, ty, niedobra kobieto! Potrzebaż ci było wyprawiać te bezpożyteczne komedie, ażeby mi narazić na tak ciężką stratę?” Polusia zrobiła uwagę, że drzwi izby były na wpół uchylone i ktoś wszedł przez sień od tyłu domu. Straty były nadzwyczajne: nie licząc kiszek przepadł wieniec świeżo dziś rano nadzianych kielbas. No, a gdzież winowajca? Gdyby był w domu Olfas, to Ajnemerowa sama rzuciłaby się nań, oberwałaby mu „kudły” ze łba, drapałaby go teraz, choćby nawet nie był on sprawcą tego dzieła, byle nasycić uczucie zemsty za zmarnowanie pracy. Tymczasem Olfas gdzieś przepadł, i to nie wiadomo z jakiego powodu, gdyż czarny warszawski pies przecież kury podchodził. Może ten sam pies dobrał się do kielbas? Jest to bardzo prawdopodobne... O tych kielbasach i kiszkach nie można mówić jegomości. – „Wyprawiacie mi beki – powiedziałby – a w domu żadnego dozoru nie ma!” – Niezawodnie nakłębły przy tym strasznie. Co prawda, miałby za co.

Takie mniej więcej myśli przewinęły się w głowie gospodyni, aż nareszcie rzekła:

– Mówcie sobie, państwo, co chcecie, a ja zawsze powiadam, że są na świecie rzeczy różne takie... Ja tam jestem prosta kobieta, ale pamiętam dobrze, jak nieboszczka moja matka zawsze powiadała: „Lepiej we wszystko wierzyć niż w nic!”

– Eeee, tak znowu mówić nie można! – zawołał z goryczą w głosie filozof, któremu zawiedzione nadzieje dodawały teraz bodźca opozycji, a gospodyni poczęła go już drażnić jako pozioma inteligencja.

– Tylko ludzie z niższym poznaniem mogą wierzyć w głupie gusa i zabobony – mówił z naciskiem i z fizjonomią człowieka o coś obrażonego – ale kto ma wyższe pojęcie, ten sobie nic nie robi z ciemnego pospólstwa.

Takie powiedzenie Julka wychodziło na to: „Mało sobie robię z twoich przekonań, ponieważ mi nie możesz dać kiszki z rodzynkami!”

I gospodyni odczuła dosyć dotkliwie lekceważenie. Byłoby może już przyszło do jakiego poważniejszego zatargu, gdyby nie okoliczność, że rosół z kurzyny właśnie się uwarzył i Polusia rozłożyła serwetę na kawałku stołu, po czym poszła prosić na rosół pana Benedykta. Sarmata już był rozpoczął jakieś narady z dwoma przybyłymi borowymi, ale że za nic w świecie nie wzięłby do ust zimnego rosółu, przeto zostawił u drzwi podwładnych, wpadł do swej izby, palnął znowu kubek piołunówki i przyszedł do Ajnemerowej na rosół. Własną ręką wygarnął z garnka całą jego parującą zawartość na białą salaterkę, gdy druga taka salaterka pełna z czubem sypkich kartofli należała również do uczyty. Nie był to rosół w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale – kurze mięso ze swoim ekstraktem i z kartoflami. Gospodyni powiadała, że lubi patrzeć, jak jegomość się posila. Rzeczywiście, jeżeli cudzy apetyt może widzowi sprawiać zadowolenie, to Sarmata dawał wyborne widowisko.

Podczas tego Ajnemerowa i Polusia krzątały się ciągle, przechodząc z izby do spiżarni, do kuchenki, co im nie przeszkadzało wieść bardzo ożywionego sporu o to, którego miesiąca i dnia wylęgło się w tym roku pierwsze gąsię. Wiktusia siedząc w kącie towarzyszyła wzrokiem każdej łyżce pochłanianej przez pana Benedykta; to samo czynił Awans, który

przysiadł na ogonie i tylnych łapach, a frontem wyprostował się do swego pana. Julek pykał fajeczkę, spoglądając przed siebie z miną człowieka, którego oblegają ważne zadania. Ze szmerów, rozlegających się tu w izbie, można było rozróżnić namiętne chlupanie Sarmaty i nieustanne kłapanie pantofli Ajnemerowej, całkowicie przyklapanych na piętach.

Nagle Awans zwrócił głowę ku drzwiom od sieni i wydał z siebie przeciągłe warczenie. Wszyscy mimowolnie spojrzeli w tym kierunku i z niemałym zdziwieniem spostrzeżono czarnego psa warszawskiego. Oparty przednimi łapami na progu izby, z nastawionymi uszami, z podniesionym ogonem As spoglądał ruchliwymi oczyma po obecnych w izbie, jak gdyby chciał zbadać, co też za wrażenie sprawi jego pojawienie się tutaj. Czarny bez odmiany, cały lśniący, miał pies w tej chwili coś istotnie demonicznego w sobie. Jego bezczelna śmiałość wystąpienia wobec ludzi, którzy go oskarżali o ciężkie przestępstwa, nadzwyczajnie uderzyła gospodynię i jej córkę. Z ust obu kobiet wyrwał się jednocześnie okrzyk: „Ooo!” Stały i patrzyły.

– Aha, to łapikura! – rzekł pan Benedykt, właśnie doskonale teraz usposobiony do nienawiści wszelkich istot, okazujących skłonność dzielenia się z nim kurzyną. Wyżeł miarkował coś niedobrego, gdyż parę razy spojrzął poza siebie, jak gdyby w obawie, aby mu odwrotu nie zagrodzono. Starszy Ochota zrozumiał skrupuły Asa i rzekł półgłosem do obecnych:

– Róbcie tak, jak byście go wcale nie widzieli!

Z tymi słowy rzucił na ziemię kostkę z nogi kury. Zrobił się zgiełk, gdyż do kości oba psy poskoczyły gwałtownie, ale As był zręczniejszy, z pyska już wyrwał przeciwnikowi zdobycz i natychmiast z nią uszedł na ganek.

– Wstydz się, Awans!... Durniu stary, nie daj sobie kości odbierać! – przemawiał Sarmata, a stary pies, uszczęśliwiony, że pan nareszcie do niego mówi, merdał obciętym ogonem i grzecznie się zszastał.

Za chwilę wyżeł czarny znowu się zjawił na progu, a pan Benedykt znowu rzucił między psy kostkę. Tym razem Awans chwycił już przeciwnika za kark i rozpoczęła się zażarta psia walka, w czasie której jegomość rozkazał Polusi wybiec i drzwi od sieni pozamykać. Wnet potem Sarmata miał już Asa uwiązanego na harapniku, jak na smyczy, a ciągle powtarzał:

– Trzeba go będzie teraz od kur odzwyczaić raz na zawsze!

I dopiero głosem stanowczym, gniewnym wydał Polusi rozkaz, ażeby mu natychmiast przyniosła kurę. Już się byli zeszli wszyscy borowi i każdy z ciekawością oczekiwał widowiska oduczania wyżła od polowania na kury domowe. Ta powszechna ciekawość pobudzała też instynkt srogości starszego Ochoty, który, niezależnie od wszystkiego, chciał nadto przekonać i Ajnemerową, że nie jest prawdą jej twierdzenie, jakoby „żadnej sprawiedliwości w domu nie było”. Kiedy nareszcie przyniesioną kurę przymocowano Asowi na szyi pod samym pyskiem, wtedy polecił pan Benedykt jednemu z borowych trzymać psa, uwiązanego na harapniku za kółko od obróżki, drugiego zaś Uzbroił w inny harapnik i kazał mu bić wyżła, co się zmieści, powtarzając: „A wara od kur, a wara!”

Rozległy się odgłosy strasznej chłosty i żalose skomlenie psa, zmieszane ze skrzeczeniem szamotającej się kury.

– Bij lepiej, nie żałuj bata!... Pięćdziesiąt musi dostać! – krzyknął od ganku leśniczy.

Oprawca pomnożył uśiłowania, lepiej dołożył ręki. Wyżeł zawył, szarpnął się strasznie, podskoczył; bat znowu świsnął, dojmował jak rozpalone żelazo. Pies dobył ostatnich sił, rzucił się rozpaczliwie i tym razem uśiłowanie nie było bezskuteczne. Cóż się stało? Kółko obróżki pękło wskutek szarpnięcia, czy się też może urwało, a borowy trzymający oburącz Asa na harapniku, upadł na wznak i aż się nogami nakrył. Wyzwolony pies, z kurą u szyi, buchnął teraz całym pędem w bramę i tyle go już tylko widziano.

Na trzeci dzień po tym wypadł odpust w parafii i Polusia powróciwszy z kościoła opowiadała matce, że różni okoliczni ludzie widzieli czarnego psa z kaczką czy czymś innym

w pysku, jak pędził na złamanie karku ku Skierniewicom. Gdyby się zaś ktoś popytał był ludzi z okolic Grodziska i precz ku Warszawie, dowiedziałby się, że tenże pies przebiegał i tamtędy poprzez pola, pastwiska. Trudno opowiedzieć, jakich przygód doświadczał As w ciągu swojej podróży, ale to pewna, że na drugi dzień po ucieczce ze Zbójeckiej był już przed wieczorem na Sewerynowie, gdzie go spostrzegł pierwszy Kąskiewicz i pokazując ludziom palcem wołał:

– Ooo, patrzcie państwo, znowu komuś coś ukradł!... Ciekawe rzeczy, z czym on tak zmyka?

Przed drzwiami mieszkania emeryta stanął nareszcie zdrożony ogromnie pies pątnik, a kiedy skrobnął kilka razy po drzwiach łapą, otworzyła mu Luta. Nie było tu już teraz dla Asa tych pieszczoł, co niegdyś; panny powitały go dosyć obojętnie, gdyż wyjście za mąż najmłodszej Morusieńki powarzyło im humory, a wyżeł brał w tym wszystkim przecież niemały udział. Dziwiły się tylko nadzwyczajnie, widząc pod szyją psa przywiązany sznurkiem do obrózki kawałek jakiegoś mięsa, kura bowiem nie miała ani łba i szyi, ani nóg i skrzydeł, ani pierza – wszystko się starło, zniszczyło podczas podróży, tylko sznurek wpił się jakoś w resztki ciała i jako tako je utrzymywał.

– Że też ci Zabrzescy tak nie dbają o psa swojego! – rzekła Guta.

– Któż tam ma w domu o co dbać?... Morusieńka? Ten smarkacz nigdy gospodynią być nie może! – powiedziała Luta.

– Co prawda, to Albin się ogromnie złapał! – wtrąciła Niuta.

– Ba, przecież on się nie myślał żenić, nie o nią się starał!... Ja wszystko zrobiłam! – odrzekła Luta wzdychając, jak przystało na anioła stróża rodziny. – Ale tam szczęścia domowego nie będzie.

Gdy one tak rozmawiały, wyżeł chwiejnym krokiem wlaź pod kanapę i przez dwadzieścia cztery godziny nikt go stamtąd wypędzić nie zdołał.

A cóż się stało z Olfąsem? Pan Benedykt polecił borowym, ażeby nań urządzili obławę w lesie, ale go nadaremnie szukano w boru, gdyż on dzień spędzał w sianie, zakopany pod strzechą krowiarni, a w nocy na żer wychodził i kradł, co mu pod rękę wpadło. Wkrótce też po ucieczce Asa skradziono z komina na Zbójeckiej wędzące się schaby i pięć czy sześć najgrubszych kielbas. Los zrządził, że i tym razem Wiktusia, „dziecko niewinne, prawie anioł”, wykryła schronienie Olfąsa, a stało się to w sposób następujący: dziecko, zwyczajnie jak dziecko, łąziło tu i owdzie po podwórku zbierając już to kogucie piórka, już kamyki do zabawy; otóż, pewnego dnia po południu zajęta taką czynnością Wiktusia, wałęsająca się pod ścianami krowiarni, usłyszała stłumiony kaszel, który pochodził jak by ze strzechy. Przestraszona doniosła o tym Ajnemerowej, a ta znowu panu Benedyktowi. Winowajcę pojmano i wymierzono mu karę bardzo srogą, a może za srogą.

Olfąs nie tylko się nie poprawił, ale nawet raz, spotkawszy Polusię na samotności, zapowiedział jej i poprzysiągł, że jeśli jeszcze kiedy słówko piśnie podwodząc u matki lub jegomości na niego, to się będzie musiała pożegnać z życiem...

– Strzeż się, psiaduszo, bo ja takiego ścierwoskiego życia dłużej nie ścierpię.



## ROZDZIAŁ IV

*Mąż chce uciec od szczęścia. – Polowanie. – Deska zbawienia. – Żony są łatwowierne. – Stronnictwo żony i stronnictwo męża. – Przechadzka w Łazienkach. – W czasie deszczu na Patelni. – Nieprzyjaciele mężów i nieprzyjaciółki żon. – Zatarg małżeński. – Ogród Zoologiczny podług Franciszka. – Rurkiewicz i pan Iwiński. – Zwierzęta i bard dzikich. – Zgon Rurkiewicza.*

Ostatecznie znalazł się As na Erywańskiej, gdzie obecnie zaszły rozmaite zmiany: rozszerzono mieszkanie, powiększono służbę.

– Tylko jedna kobieta przybyła do domu, a roboty ma człowiek dziesięć razy więcej! – mówił Franciszek, który też ujrawszy wyżła powitał go splunięciem i tymi słowy: „Jeszcze ciebie tylko brakowało!” Pies zdawał się od dawna dobrze pojmować, że ani marzyć nie można o jakichś zażyłszych stosunkach z tym służącym, starym dziwakiem; nigdy też nie dokładał najmniejszych usiłowań, nie poświęcił jednego merdnięcia ogonem, aby sobie zjednać Franciszka.

Za to pani Zabrzaska powitała Asa pieszczotami, pozwoliła mu lizać swą rączkę, leżeć u nóg swoich, dawała mu cukru. Świeżo przyjęta do usług dziewczyna, Różia, widząc, że do serca pani przez psa trafić można, tak przywiązała Asa do swej spódniczki, iż dzielił on czas między nią a panią i dzięki tym względom prowadził życie dostatnie. Pan Albin znajdował się w tym okresie małżeńskim, w którym mąż od czasu do czasu powiada sobie: „Trzeba nieuchronnie choć na jakie dwie godziny codziennie uciec od tego domowego szczęścia”. – Atoli skrępowany, oprzędzony złotą i jedwabną siatką miłości używał tego spokojnego domowego życia, co to herbata, obiad, przechadzka, teatr, nawet czytanie kuriera – wszystko wspólnie z małżonką. Już był na drodze stanowczego porozumienia się w tym przedmiocie z żoną, miał zamiar powiedzieć jej, że musi, powinien żyć poza domem także, gdy go powstrzymała okoliczność nieprzewidziana. Morusienka czuła jakieś bóle głowy, mdłości, nerwowy niepokój – i wezwany lekarz oświadczył, że wszyscy w domu powinni okazywać bezwarunkową uległość względem pani Zabrzaskiej: „Broń Boże w czymś jej się sprzeciwić, krępować wolę, narzucać przekonania!” Należało się więc zastosować do przepisów lekarza i o jakichś planach mężowskiej niezawisłości nie było mowy.

Mijały dni, tygodnie, Morusienka ciągle niedomagała; mówiła do męża: „mój złoty”, a on do niej: „mój aniołku” i żyli tak, przytuleni jedno do drugiego, nie mając nawet o czym rozmawiać z sobą. Jeżeli mu bardzo zapachniało powietrze, wtedy się odzywał:

– Byłoby zdrowo dla Asa, żeby się trochę przewietrzył!

– Wyborna myśl! – odpowiadała żona, ubierała się czym prędzej i wychodzili na wspólną przechadzkę.

„Czy ja już nigdy sam na świat nie wyjdę?” – stawiał sobie w duszy pytanie pan Albin, a żonie zwracał głośno uwagę:

– Mój aniołku, może byś dziś w domu została? Przymrozek, wiatr zimny!

– Owszem, mój złoty, lekarz powiada, że dla mnie zawsze jest bardzo zdrowo chodzić.

– To monotonne życie przerywało się niekiedy odwiedzinami sióstr z Sewerynowa, z którymi stosunki pani Zabrzaskiej były bardzo dyplomatyczne. Jako mężatka, pani swego domu, uważała się ona poniekąd za wyższą istotę, czego jej siostry nie mogły przebaczyć. Daleko szczyżej żyła Morusienka z panią Konstancją Garlewską, ową rozwódką, sąsiadką Swojewskich, co to należała do „najsierdeczniejszego kółka osób”, bywających na sobotnich

herbatkach. Garlewska, była mężatka, miała wpływ na Zabrzezką i udzielała jej niejednej „zdrowej” rady, dotyczącej postępowania z mężem. Emeryt nadzwyczajnie rzadko odwiedzał córkę mężatkę, gdyż miał przekonanie, że to małżeństwo skojarzył tylko wymową swoją Ryszard Lwie Serce.

Miały się tak rzeczy, kiedy ze Zbójeckiej przybył tutaj Julek. Pan Benedykt polecił mu najprzód list wystylizować i wykaligrafować, a następnie z listem tym jechać do Warszawy.

– Wiem – mówił – że ani za twoje pióro, ani za gębę między ludźmi się nie powstydzę. Łam sobie głowę, mędrkuj, filozofuj, a pieniądze mi wymolestuj i przywieź!

Treść listu opiewała przede wszystkim trudności, z jakimi musiała walczyć „powszechnie uznana metoda” starszego Ochoty, zanim się pies włożył i przywykł do „najlepszego systematu”. Następowало w liście szczere wyznanie: „Nie jestem ja z tych materialistów, którzy tylko o kieszeni myślą”, ale wyliczone koszty nauki, utrzymania Asa i wynagrodzenia szkód przezeń zrzędzonych stanowiły taką mniej więcej sumę, jaką płacą rodzice za syna w którymś z droższych warszawskich zakładów wychowawczych.

Pocieszał się pan Albin, że mając teraz wytresowanego w dobrej szkole wyżła znajdzie zawsze już pretekst do wyrwania się z domu w pole, zwłaszcza że Sarmata napominał w swym liście, ażeby As „pola nie zależał”. Prawda, iż teraz była zima, ale przecież taki wytrzymały w domu mąż nie zważa na żadną porę roku i może z wyżłem zawsze polować. Jakoż pewnego dnia, ubrany po myśliwsku, stanął przed swą połowicą i rzekł:

– Mój aniołku, nie ma rady, koniecznie muszę dziś z Asem zapolować, gdyż się boję, aby pola nie zależał!

I nie dając żonie przyjść do słowa okrywał ją tysięcznymi pocałunkami, a potem prędko wyszedł.

– Przecież, przecież nareszcie! – mówił oddychając całą piersią.

Ale doszedł tylko do Łazienek i zawrócił do miasta. On, taki znudzony życiem przed ożenieniem się, uczył w sobie teraz niezmierną ochoczość. Nie wiemy tego, gdzie i jak się bawił, skoro jednakże z polowania wrócił dopiero nad ranem, to się musiał bardzo dobrze bawić.

Gdyby wszyscy mężowie byli zupełnie szczerzy i wyznawali przed żonami to, co robią w ich nieobecności, nie doczekałoby ani jedno stadło małżeńskie srebrnego wesela. Gdyby wszystkie żony zdołały utrzymać swych mężów w zależności od siebie, już w kilka pokoleń rodzaj ludzki posiadałby wyłącznie kobiece zalety, wady i kobiecą logikę. Świadomie czy nieświadomie pan Albin pracował nad tym, aby się doczekać srebrnego wesela, a jednocześnie przechować w rodzaju ludzkim męskie zalety, wady i męską logikę. Coraz częściej wychodził z Asem na polowanie i często gęsto przynosił nawet do domu zajacą, którego, jak powiadała, własnoręcznie zastrzelił. Żona narzekała na te wycieczki, miewała często z tego powodu łzy w oczach, omdlenia; ale on był tak tkliwy, „mój aniołku” z ust mu prawie nie schodziło, a przy tym dowiódł jasno jak na dłoni, że to nieuchronnie, nieodwołalnie dla jego zdrowia potrzebne. Chociaż więc pani Konstancja Garlewska, osoba znacznie wyrozumialsza dla mężczyzn niż dla kobiet, wyraziła się wątpliwie o polowaniach, które po skończonym karnawale trwają jeszcze i w poście, Morusieńka jednak odpowiadała:

– O nie! Może inni mężowie są tacy, ja swego Albina jestem zupełnie pewna!...

Jednego razu mocno się zachwiało stanowisko myśliwego, a to z powodu kucharki, która uparcie dowodziła, że zastrzelony wczoraj przez pana zajac nie żył już co najmniej od dwóch tygodni i bezwarunkowo na stół go podawać nie można. Logika męska jest, jak wiadomo, wyższa od żeńskiej: kto się nie zająknie, nie zarumieni, mówi głosem pewnym siebie, postawione zarzuty zbija z lekceważeniem i żartami, ten z pewnością mówi prawdę. Zabrzezki ostatecznie przekonał i teraz żonę na swoją korzyść, bo „cóż taka głupia kucharka może wiedzieć o polowaniu?”

Kobiety siedzą w domu i nie mają o tym pojęcia, że w każdym a każdym miesiącu roku można polować na jakąś zwierzynę: to kuropatwy, to kaczkę, słonki, gęsi, kurki wodne, przepiórki itd. Jeżeli nie wolno strzelać do samiczek, strzela się do samców. Swoją drogą zaś kuny, łasice, wydry, dzikie koty płci obojczy strzelać można zawsze. Przykrzyło mu się życie, gdy był kawalerem; nudził się w domu przy żonie, kiedy się ożenił; teraz ciągle polował, polował i wcale mu się nie sprzykrzyło.

– Bardzo jestem zadowolony z Asa, nieporównany pies w polu! – mawiał pan Albin.

– Mój złoty, weź mię kiedy ze sobą na polowanie! – nalegała żona.

– Jak się ociepli, mój aniołku! – odpowiadał Zabrzęski.

Ociepiło się, nadeszła wiosna i mąż z dnia na dzień zwlekał:

– Jutro, mój aniołku, jutro!

Dobrze teraz Asowi było w domu. U pani zawsze był w wielkich łaskach; nieraz mówiła nawet do męża:

– Żebyś mi przynajmniej Asa zostawiał! Samej jednej tak nudno...

– Czekaj, aniołku, i o tym pomyślałem! Psa ci zostawię, a będę polował z naganką.

Różia też, im lepiej poznawała wyżła, tym więcej go lubiła, nazywała „swoim Asiuńkiem, przylepką”. Kucharka, chociaż gderliwa i swarliwa niewiasta, obdarzała jednak psa swymi względami, ponieważ codziennie dwa, trzy razy ją odwiedzał, a łąsił się, a nadszakiwał, a przymilał na wszelkie psie sposoby.

– Jak takiego gałgana nie lubić, kiedy czysty cukierek?

Dla pana Albina był on znowu nieodzowny, gdyż z jego pomocą można było uciekać od szczęścia małżeńskiego i stopniowo włożyć kochającą żonę do obchodzenia się bez męża. Później tak przywykła, że sobie uważała za niemałe szczęście, jeżeli jej w domu choć pies pozostawał. Jeszcze później Zabrzęski wcale nawet nie udawał, że wychodzi na polowanie, a ona i tak nic nie mówiła. Tylko pani Garlewska coraz częściej bywała i coraz dłużej przesiadywała obznajmiając Morusieńkę z ludźmi i ze wszystkim, co ludzie w Warszawie robią. Na tej też podstawie społecznych stosunków obie kobiety połączyły się związkami serdecznej przyjaźni i były „na ty” ze sobą. As i Garlewską zupełnie sobie zjednał.

Ze starego porządku rzeczy w niegdyś kawalerskim domu przy ulicy Erywańskiej pozostał jedyny Franciszek, który rozmyślając nad zaprowadzonymi zmianami doszedł do przekonania, że wszystko to, co jest, od psa się zaczęło. Okazywał on Asowi jawnie swą nieprzyjaźń, tym bardziej iż w taki sposób dokuczał jednocześnie Rózi, kucharce i pani, co mu sprawiało pewne zadowolenie. Stary sługa niekiedy głośno wybuchał złością w zatargu swym bądź z młodszą, bądź z kucharką.

– Inaczej bywało w tym domu dawniej! Człowieka uważali tutaj, a teraz jeno pies, pies, pies. Jak mi kiedy cierpliwości świętej zbraknie, to pójdę do pana i powiem: albo ja, albo pies!

Potem szedł do przedpokoju lub siadał gdzie w kącie i pomrukiwał:

– On chyba tego nie widzi, co się w domu dzieje... Trzy baby, jak obory jedna w drugą, o psie tylko myślą, żeby mu było dobrze. Bo czy one by tu były, żeby nie pies? Wszystko się zaczęło od tej bestii, od psa, i na psie idzie! Ja przecież doskonale pamiętam, kiedy się na placu Ewangelickim na wznak przewalił i od razu sobie powiedziałem: „O, narobi ten pies bigosu”. Może nie narobił? Zaraz się potem pan musiał ożenić... No, a teraz znowu musi z domu uciekać. Do czegoż to dojdzie? Kłótnie, swary, kwasy, płacze, choroby, nieład, nieporządek – Jezus Maria! Czy nam tutaj źle we dwóch było? Żył sobie uczciwie, opływał we wszystko jak pączek w maśle, ale mu się na gwałt psa zachciało i ma teraz! Na polowanie niby chodził, dobre mi polowanie!... Toć ja ją znam, tę kuropatwę – Wandzię czy tam Zuzię – ooo, mądra szelma!... Całe polowanie odbywa się u niej na Wspólnej, a teraz, kiedy się na świecie ociepiło, to – w Marcelinie. Już z drugim zawrotem do niej przyłgnał; taka nie popuści... Spotkałem ich kiedyś oboje, jak wsiadali do dorożki, i on się bardzo wystraszył,

woła mię zaraz do siebie: „Franciszku – powiada – tylko w domu ani mru-mru o tym, żeś mię tu spotkał!” A cóż mnie do tego? Czym ja to kobieta, żebym miał zaraz wypaplać wszystko, co widzę albo co myślę?

Morusieńka parę razy go wyłajała za złe obchodzenie się z Asem; wysłuchał i nic nie odpowiedział, a wnet potem, jak doniosła Rózia, trzciniową trzepaczką od mebli znowu obił wyżła.

– Bardzo cię proszę, mój mężu – mówiła Zabrzaska, która od niejakiego czasu przestała nazywać męża „swoim złotym” – skarć też Franciszka, zapowiedz mu, żeby mię słuchał i nie ważył się bić Asa.

Pan Albin przyzwał do siebie starego i napomniał dosyć surowo:

– Ty sobie tu, widzę, za dużo pozwalasz! Psa bić nie wolno, skoro pani zabrania.

– Ja go też tak wytlukłem, żeby pani nie słyszała, a nie moja wina, że ta Rózia, jeszcze od psa gorsza, zaraz donosi. Czy mnie, proszę pana, nawet psa uderzyć nie wolno?

Między kawalerskim służącym a jego panem istniały liczne węzły; oni się dobrze rozumieli wzajemnie. Zabrzaski mógł gromkim głosem i z rzekomą złością łajać Franciszka, który śmiał się z tego w duszy, a nawet sobie myślał: „Nic nie szkodzi, niechby mi czasem uczciwie naklął, żeby te baby widziały, że między nami nie ma żadnej zmywy”.

Gdy znowu Franciszek stawiał się hardo, pan Albin wiedział bardzo dobrze, że to nie jest rzeczywista hardość, tylko szczere zaufanie w dobre serce pana.

„One sobie mogą na mnie skarżyć, donosić, a ja i tak, ile razy wypadnie, zawsze psu skórę zepsuję” – myślał w duszy nieugięty Franciszek.

W domu więc przy ulicy Erywańskiej stronnictwo żony skupiło się około Asa, a z nim do walki śmiało występował jedyny stronnik męża, stary służący. Jeżeli przypadkiem Franciszek wszedł cicho do pokoju, a pies warknął podejrzewając, że ktoś obcy się skrada, to za warknięcie takie wcześniej czy później był kij w robocie.

– On, łajdak, powinien znać ludzi swoich, co nie od dzisiaj są w tym domu!

Było to w połowie czerwca. Po wielce nieznośnych dziennych skwarach ludność Warszawy z nadzwyczajnym upragnieniem poszukiwała wieczorami orzeźwiającego wytchnienia pod gołym niebem. Wszystkie ogrody i ogródki, Aleje Ujazdowskie, park w Łazienkach, Saska Kępa roiły się wtedy od ludzi. Jednego takiego wieczoru również i Zabrzaska używała świeżego powietrza razem z prawie nieodstępną już teraz przyjaciółką swoją, Garlewską; As znajdował się także w ich towarzystwie. Miły chłód Łazienkowskiego parku sprawiał, iż się jakoś nie chciało opuszczać tej ustroni, chociaż już jedenasta godzina wybiła i w oddaleniu dawał się słyszeć niekiedy przeciągły huk grzmotu. Bardzo ożywiona pani Konstancja opowiadała właśnie zajmującą, bogatą w zdarzenia historią swego pożycia z mężem i od czasu do czasu przeplatała to opowiadanie wykrzykiem:

– Ach, moja droga, gdybym po raz wtóry wyszła za mąż, wiedziałabym już teraz, co mam robić.

– Daj mi radę, której, jak widzisz, bardzo potrzebuję! – rzekła cichym głosem towarzyszka.

– To by ci się na nic nie przydało, gdyż koniecznie potrzeba samej takie rzeczy przeżyć...

– I ty, Kociu, mając dowody, że on cię zdradzał, byłaś obojętną?

– Gdzie tam! Wyrabiałam najstraszniejsze sceny zazdrości, jemu swoją drogą, a jej swoją. Popiełam największe na świecie głupstwo, jakie tylko być może!

– Jak to głupstwo? Więc mężowi wolno bezkarnie być niewiernym?

– Daję ci słowo honoru, że wszyscy mężowie bez wyjątku są to skończone łajdaki! Jeżeli więc wszyscy są jednakowi, nie ma powodu wymagać, ażeby jeden był od nich odmienny.

– Na czymże się skończyło?

– Niestety, postawiłam na swoim! Rozłączyłam go z Heleną, z którą stosunek jego wcale nie był dla mnie niebezpieczny; moglibyśmy byli dotąd wcale się nie rozwodzić... Porzucił

Helene, ponieważ mu się także sprzykrzyła, a wkrótce potem poznał Lucynę i ze mną się dla niej dopiero rozwiódł.

– Okropność! Jednakże mój Albin nigdy się tego nie dopuści!

– Ech, moja Morusieńko, za żadnego z nich nie ręczę! Ja ci tylko powiadam, że trzeba koniecznie samej takie rzeczy przeżyć, żeby potem mieć rozum... Dzisiaj, ponieważ, mocno żałuję, że go nie słuchała, kiedy mówił: „Żono, nie rób bez potrzeby scen i awantur, które do niczego nie prowadzą!”

– Chybabym już była podła, nie miała żadnego temperamentu!

– Trzeba koniecznie samej wszystko przeżyć, żeby potem mieć rozum... Czy ty myślisz, że mi teraz lepiej na świecie przez to, że miała temperament? On także nie siedzi na różach!

Tak rozmawiając obie kobiety już zasiadały na ławkach, już znowu chodziły. Wtem powiał chłodny wiatr i bliski grzmot głośno się rozległ. Było to hasło dla wszystkich do tłumnego opuszczania Łazienek. O znalezieniu w takim razie wolnej dorożki ani myśleć i znaczna większość tych spóźnionych musiała pieszo wracać do miasta, a w ich liczbie dwie przyjaciółki, zmuszone nieustannie niepokoić się o wyżła, który w ciemności łatwo kogo innego mógł wziąć za swoją panią. W pobliżu tak zwanej „Patelni” zaskoczył je nagły deszcz, spadający w grubych kroplach i przeplatany błyskawicami, których Morusieńka nadzwyczajnie się obawiała. Jak kto mógł, wdzierał się teraz na ową Patelnię i usiłował pod werandą schronić głowę przed grożącą ulewą. Jacyś dwaj nadzwyczajnie usłużni młodzieńcy nie tylko znaleźli miejsce dla Zabrzskiej i Garlewskiej, ale niebawem postarali się dla nich i o krzeselka.

– To są nieprzyjaciele mężów! – szepnęła na ucho swej towarzyszce pani Konstancja.

Morusieńka rzuciła okiem i spostrzegła, że jeden z tych dwóch włożywszy w oko szkiełko bardzo pilnie jej się przygląda.

Ile razy się zbierze takie przypadkowe towarzystwo uchodzących przed deszczem, można wtedy być świadkiem najrozmaitszych scen i do woli się nasłuchać półsłówek, dwuznaczników, dowcipów, które najczęściej jaki student wesoły puszcza w obieg pobudzając obecnych do śmiechu. Tak też było i tutaj: deszcz lał jak z cebra, a zgromadzenie pod werandą aż wargi gryzło, aby nie wybuchnąć śmiechem z powodu komiczno – filozoficznych uwag jakiegoś żartownisia na temat deszczu, kuracji wodnej Kneippa i znowu – błyskawic, elektryczności w knajpie.

Naraz wśród strumieni deszczu, przyćmiewających blask latarń na Patelni, ukazały się dwie kobiece postaci pod parasolami, z których woda obficie ściekała. Żwawo wbiegły one pod werandę, zwinęły parasole i jedna z nich, bardzo przystojna, nawet piękna, roztargnionym okiem, jakby od niechcienia, obrzuciła zgromadzenie. Przez chwilę panowało milczenie, każdy z obecnych zdawał się robić spostrzeżenia nad przybyłymi, a Garlewska poszepnęła na ucho Zabrzskiej:

– Przypatrz się, jak nieprzyjaciółki żon wyglądają!

Morusieńka spojrzała w kierunku dwóch nieznanym i tylko przypadkiem spotkała się ze wzrokiem tej, która była piękniejsza. Szybko odwróciła głowę i cichym głosem odrzekła towarzyszce:

– Ta wspaniała blondyna istotnie groźnie wygląda jako nieprzyjaciółka...

Powiedziawszy to Zabrzaska uczuła w sobie jakąś nieprzepartą chęć czy ciekawość, aby się lepiej przyjrzeć owej niebezpiecznej piękności i znowu zwróciła ku niej oczy. Właśnie teraz As zbliżał się do tej kobiety, przystanął, coś jak gdyby węszył, potem skoczył radośnie, oparł się na niej przednimi łapami, szczeknął parę razy uszczęśliwiony, co zwykle czynił, gdy spotkał poufałego przyjaciela – człowieka, łąsił się, radował bez miary i końca.

– O As, As, mój dobry piesek!... Co ty tu robisz? – mówiła piękna kobieta usiłując powstrzymać wybuch psiej radości, a jednocześnie znowu potoczyła okiem po zgromadzonych, jak gdyby szukała kogoś jeszcze.

Wszyscy z zajęciem przyglądali się temu widowisku, najgłówniej zaś Morusieńka, która nie mogła zrozumieć zrazu, skąd taka poufała znajomość Asa z nie znaną jej kobietą. Z niepokojem odwróciła głowę do Garlewskiej i rzekła:

– Kociu, czyś ty widziała?

– Ba, przyglądam się przecież z nadzwyczajną ciekawością!

– I cóż na to mówisz? – zapytała Zabrzaska głosem drżącym, a serce jej silnie biło i twarz zbladła.

– Da się to objaśnić, moja droga, bardzo łatwo! Przypomnij sobie tylko codzienne polowania swego męża – to jest właśnie zwierzyna... Ja ci zaraz mówiłam, że taki mąż, który codziennie poluje, w karnawale i w poście... Ale, moja Morusieńko, koniecznie trzeba samej przeżyć wszystko, żeby potem mieć rozum. Oni wszyscy tacy!

Zabrzaskiej uderzyła krew do głowy, uczuła, że na krzeselku mało dla niej miejsca; złość, zazdrość, obraza, upokorzenie, wstyd, zawód gorzki – wszystko to były uczucia, z którymi kobieta nie może się pomieścić na tak małej przestrzeni jak krzeselko. Porwała się też z wielką nagłością, jakkolwiek jeszcze deszcz lał na dobre, i rzekła: „Pójdźmy!” Ruch ten widocznie nie uszedł uwagi Asa, który się ciągle jeszcze z lubością pocierał o suknię spotkanej przyjaciółki, a teraz stanął przy swej prawej pani chcąc jakoby zaznaczyć, że można na świecie mieć różne stosunki, jednakże ten domowy stosunek jest główny z wielu względów.

– A szkoda, że odchodzimy! – powiada Garlewska klapiąc się po wodzie na Patelni. – Słyszałam, jak ci dwaj młodzieńcy, którzy obok nas stali, zaczęli właśnie rozmawiać o panu Albinie i tej pannie Wandzi... To by ci się było przydało, Morusieńko.

Ale Zabrzaska nic nie odrzekła, pędziła pospiesznie tak, iż przyjaciółka z trudem za nią podążała. Jakoś szczęśliwie nawinęła się wreszcie dorożka. „Wolna?” „Wo – olna!” Chciał i As wsiąść, cóż kiedy go Morusieńka zepchnęła parasolką; musiał biec przed końmi, ze szczekaniem rwąc im się do pysków.

– Najprzód – na Sewerynow, potem – na Erywańską.

– Dwa kursa i po północy – rubelka panny dadzą? – pytał dorożkarz nie ruszając z miejsca, dopóki nie usłyszał zapewnienia:

– Jedź!

Pani Konstancja wysiadła na Sewerynowie, jej przyjaciółka – na Erywańskiej, gdzie służba i oświetlone mieszkanie oczekiwały na panią.

Morusieńka, nie zrzuciwszy z siebie przemoczonego okrycia, nie zdjawszy nawet kapelusza z głowy, wbiegła do pokoju, padła na sofę i siedziała jak martwa, bez ruchu; tylko z silnie zarumienionej twarzy i błyszczących oczu zdał się ogień tryskać. U nóg jej podług swego zwyczaju As się ułożył w kłębek. Różia chciała panią rozebrać, gdyż w takich „sflażonych sukniach można się jeszcze choroby nabawić”, ale usłyszała rozkaz krótki:

– Wypędź stąd psa, zamknij drzwi i idź spać!

Niełatwo to wypędzić z pokoju rozpieszzonego wyżła; służąca musiała go ciągnąć za kark, za uszy.

– No, no, musiało się stać coś bardzo osobliwego, skoro już tego gagatka za drzwi wyrzucają! Dawno to trzeba było zrobić... Ciekawym, co też takiego ten bestyjnik przeszkrobał? A może gdzie na wizycie wstydu pani narobił, porwał co ze stołu – a co tam dla niego znaczy?

Takie uwagi robił Franciszek, a przy tym rozgrzał samowar, bo „skoro pani na deszczu przemokła, to się powinna napić gorącej herbaty”. Ale samowar sapał na stole, a stary sługa nie śmiał ani wejść do pokoju, ani do drzwi zapukać i zaprosić panią na herbatę. Usiadł przeto w przedpokoju i rozmyślając, dlaczego As popadł w niełaski, zasnął w najlepsze. Śniło mu się, że pani Zabrzaska płakała rzewnymi łzami, rozpaczała nadzwyczajnie, ponieważ wyżeł oszpecił nieczystością i poplamiał jej najpiękniejszą suknię.

Pan Albin wrócił tej nocy do domu przed drugą, wcześniej niż zwykle. Kiedy otworzył drzwi po cichu kluczem od zatrasku i spostrzegł Franciszka drzemiącego, trącił go w ramię zapytując:

– Dlaczego jeszcze nie śpisz i lamp w domu nie zgasisz?

Stary najprzód ziewnął, następnie potarł ręką czoło, jak gdyby chciał zebrać myśli, i rzekł:

– Coś się tu stało, tylko nie wiem, co takiego... Nastawiłem samowar, ale pani tam sama siedzi... Gniewy na psa jakieś... Sam się pan pewnie najlepiej dowie.

Zabrzeski niezwłocznie pospieszył do żony i zastał ją siedzącą nieruchomo na sofie jak posąg, w kapeluszu, w okryciu, z którego ociekająca woda utworzyła kałużę na posadzce.

– Mój aniołku, co się stało? Czyś chora? – zapytał mąż z troskliwością.

W odpowiedzi na to zachnęła się Morusieńka i trzepocąc obiema rękoma wołała zmienionym, piskliwym głosem:

– Nie, nie! Proszę się do mnie nie zbliżać!... Ja nie chcę!...

Teraz Franciszek niby też to uprzętał ze stołu zastawę do herbaty, a coraz zbliżał się ku drzwiom pokoju pani, nadstawiał ucha, ażeby z jakichś posłyszanych wyrazów rozwiązać sobie trapiącą jego umysł zagadkę, o co mianowicie rozgniewała się dziś pani Zabrzaska na wyżła. As też widać zwietrzył powrót pana do domu i pragnął zaznaczyć swoją przychylność, gotowość o każdej porze do usług, gdyż wyszedł właśnie z ciemnego korytarzyka oddzielającego kuchnię od jadalnej izby, stanął pod drzwiami, poza którymi dawały się słyszeć odgłosy małżeńskiej rozmowy, i podsłuchiwał, podobnie jak jego nieprzyjaciel Franciszek. Stary tym razem psa nie odpędzał, ażeby przypadkiem nie zdradzić własnego podsłuchiwania. Rozmowa obojga małżonków toczyła się żywo, niekiedy tylko przerywało ją owo niewieście kwilenie, które świadczy zawsze o głębokim żalu, choćby z bardzo błahej przyczyny, a zdolne jest skruszyć nawet najtwardsze męskie serce.

Psa bardzo zajmowało to, że za drzwiami słyszał często wymawiane swoje nazwisko „As”. Franciszkowi znowu mocno zależało na tym, ażeby pochwycić przyczynowy związek pomiędzy psem, a gniewem i żalem pani. Imię „Wanda, Wandzia” i wyrazy: „podczas deszczu, na Patelni, witał ją, mój wstyd wobec ludzi” itd. były dostateczne dla bogatego w doświadczenie umysłu, ażeby wyprowadzić stąd wniosek:

– Dobryś, to ten szelma, widzę, wszystko przed panią zdradził!... Tu nigdy przy nim nie będzie spokoju!

Potem w pokoju pani Zabrzeskiej przycichła rozmowa, a rozlegały się tylko odgłosy płaczu, szlochania, co tak znudziło Asa, że się nareszcie położył pod drzwiami i ziewnąwszy parę razy zaczął drzemać. Służący też popatrzył chwilę na demonicznego psa, który już tyle nieszczęść na dom sprowadził, pokiwał głową i poszedł spać do swej izdebki w ciemnym korytarzyku. Jednakże zaszłe wypadki tak rozbudziły władzę myślenia u Franciszka, iż długo, długo nie mógł zasnąć, ponieważ rozważał nie tylko to, co się stało, ale także – co może nastąpić w przyszłości. Słyszał wyraźnie, jak już z rana pan Albin wychodził z pokoju żony, przy progu potknął się na Asie, o mało nie upadł i zaklął. Pies, zapewne polectany obcasem, wydał przeraźliwy skowyt i spod drzwi pokoju pani przeniósł się w korytarzyk, gdzie z jaki kwadrans czasu dreptał, kichał, ziewał, aż sobie nareszcie znalazł legowisko.

Myśli o psie stały się prawdopodobnie powodem, iż Franciszek wspomniął o Ogrodzie Zoologicznym, gdzie mu kiedyś ofiarowano posadę, której nie przyjął: „on by miał zwierzęta obsługiwać?”... Poleciał jednakże na to stanowisko swego przyjaciela od serca, Błażeja Rurkiewicza, człowieka nie mającego szlachetnych przesądów na tym punkcie, u kogo się służy. Rurkiewicz głośno wyznawał zasadę: „Mnie się u nikogo służyć nie chce, ale skoro potrzebuję kawałka chleba, mogę się zgodzić do Lucypera, byle płacił”. Taki mógł iść na służbę do Ogrodu Zoologicznego, „zupełnie inny człowiek”. – „A gdyby też tak Asa oddać Błażejowi?... On by go dobrze schował!... Wrzuciłby go do klatki na żer lwom czy innym okrutnym bestiom i koniec... Uwolniłoby się dom od takiego gałgana, ostatniego szelmy,

szkodnika... Prawdę powiedziawszy, od czasu jak się pan ożenił, nikt w tym domu nie myśli o domu... Może ona – pani?... Phi!” – W tym punkcie swych rozmyślań Franciszek usnął i zaczął tak potężnie chrapać, że As wstał, przeszedł do jadalnego pokoju, stamtąd do salonu, gdzie włożył na aksamitną kanapę i dopiero się wygodnie rozciągnął.

Morusieńka też nie spała i w zgorączkowanej przez silne wrażenia, przez bezsenność głowie powstała myśl opuszczenia na zawsze mężowskiego domu. „Jestem tu przecież zupełnie niepotrzebna!” – mówiła sobie w duszy i raniuteńko, kiedy jeszcze wszyscy spali, cicho wymknęła się z domu. Rzadko kiedy atoli człowiek może mieć bezwarunkową pewność, że za parę godzin, za godzinę, nie będzie żałował swego postanowienia i nie nada swym myślom innego kierunku. Gdy się Zabrzaska znalazła na Mazowieckiej, już ją poczęło trzeźwić pierwsze pytanie: „Dokąd pójdę?” Trzęsła się na same myśl zamieszkania znowu z siostrami – brr!... „Czyż mogę mieszkać sama, oddzielnie, nic a nic nie posiadając?” – Szła dalej przez ulicę Berga i myślała: „Jestem jego żoną, on moim mężem, nie ulega to żadnej wątpliwości. Czyż mąż i żona mają być zawsze gruchającymi gołąbkami?” Wyszła na Krakowskie Przedmieście i zwróciła się ku Saskiemu placowi. „Jeżeli to prawda, co Kocia mówi, że wszyscy są tacy, że innych mężów nie ma?... Wczoraj ja mu tylko dokuczałam, on mię ciągle przepraszał i nie dałam mu się przeprosić.” Otwarto właśnie Saski Ogród; weszła tam, ciągle prowadziła sama z sobą rozmowę w myśli, ochłodziła, wytrzeźwiała i powiedziała sobie nareszcie: „Los nas połączył, gdyż tylko los łączy ludzi; musimy żyć wspólnie! Nie będę mu się narzucała, ale go też i nie porzucę... Jedno drugiemu musi, widać, wiele wybacząć”.

Około dziewiątej z rana już wróciła na Erywańską, rzuciła się mężowi na szyję i ona pierwsza zaczęła go przepraszać.

Może w godzinę po wyjściu z domu pani Zabrzaskiej wstał Franciszek, aby porobić w domu porządki. Nie widząc w korytarzu Asa od razu powziął podejrzenie, że ten gałgan i nicpoń pewnie się gdzie po meblach rozwał. Przechodząc mimo stary spostrzegł drzwi od pokoju pani na oścież otwarte, a przez okno, od wczoraj nie zamknięte, wiało świeże poranne powietrze. Wszystko to bardzo go zdziwiło. Nie miał on prawa wchodzić do pokoju Zabrzaskiej, gdy go nie wzywano, ale taką pustkę z daleka odczuwał tam, że wsunął głowę i zajrzał. Franciszek mniej zwracał uwagi na nieobecność pani, na nie tkniętą pościel, a głównie uderzyła go w oczy nie zaschła jeszcze kałuża przy sofie, powstała wskutek spływania wody deszczowej z okrycia Morusieńki. Ten nieporządek przypisał on niezwłocznie Asowi, chwycił się obiema rękoma za głowę i rzekł poważnie:

„Jakież porządek może kiedy być w takim domu?”

Atoli nadzwyczajne już jego zgorzenie jeszcze bardziej wzrosło, kiedy wszedłszy z kolei rzeczy do salonu zastał tutaj na aksamitnej kanapie, barwy zielonej, wyżła leżącego sobie wygodnie na prawym boku, z nogami przed siebie wyciągniętymi. As, jak tylko posłyszał, że ktoś wchodzi, podniósł dosyć leniwie głowę i spojrział. Widok zawziętego nieprzyjaciela zjadliwie spoglądającego i zaciskającego obie pięści musiał być dla rozspanego psa bardzo nieprzyjemny, gdyż zawstydzony w okamgnieniu zsunął się ze wspaniałego posłania i wpakował się głęboko pod kanapę.

Teraz Franciszek pomyślał: „Pani nie ma w domu, młodsza – daleko i śpi jeszcze... Dziś albo nigdy trzeba zrobić koniec z tym gałganem!” Spojrział na zegarek, punkt szósta. „Dobrze!” Zamknął drzwi od salonu, poszedł do swojej izdebki. Niezadługo powrócił niosąc worek i kłębek grubego szpagatu. Pies uchodził, krył się – wszystko na próżno! Ze skrępowanymi nogami, ze związanym pyskiem, drżący na całym ciele wyżeł niebawem znalazł się w worku.

Wkrótce potem przed Ogród Zoologiczny zajechała jednokonna dorożka, a z niej wysiadł służący pana Albina i trzymając oburącz worek, w którym więziony pies wił się gwałtownie, kręcił – poszedł szukać przyjaciela swego, Błażeja Rurkiewicza.



Musimy tu jeszcze wyjaśnić, z jakiego punktu widzenia zapatrywał się Franciszek na Ogród Zoologiczny. Podług niego była to karna kolonia zwierząt, które w różnych miejscach i czasach dopuściły się rozmaitych przestępstw względem ludzi, a przeto, jako istoty zbrodnicze, musiały pokutować w tym więzieniu. On by wyśmiał takiego, wyszydził, który by mu opowiadał o jakichś innych celach więzienia zwierząt za żelaznymi kratami. Podobnie jak oprawca łowi psy i przetrzymuje je gdzieś tam, w Czarnym Dworze, tak samo inni oprawcy łowią tym bardziej szkodliwe lisy, kuny, wilki, lwy i inne.

„A jeśli takiemu popadnie w ręce zając, sarna, kuropatwa czy dziki gołąb, to też chwyci. Bo skoro się raz zbestwił na tamtych srogich dzikusach, nie przepuści już potem żadnemu niewiniątku... Nie ma się zaś czemu dziwić, że różne próżniaki i półgłówki chodzą toto oglądać. Cóż im tam zabraniać, skoro płacą?”

Na samym wstępie do Ogrodu Zoologicznego stropił Franciszka widok Murzyna, stary bowiem wziął go za małpę, która „uciekła z klatki i mogłaby wypłatać jakiego psikusa”. Rurkiewicz, chłop ogromny, w fartuchu długim, z miotłą osadzoną na potężnym drągu, powitał przyjaciela szczerym podaniem ręki, ale z fizjonomią zdającą się przemawiać: „Bardzo mało mam czasu, żeby się tobą zajmować!” Spojrzał na worek, w którym się widocznie coś żywego ruszało, i spytał żartobliwie:

– Przyniosłeś nam lwa czy tygrysa?

– Ej, nie... Macie tu psa, ale takiego gałgana, że obstoi za trzy wilki!... Bestia – szkodnik skończony i koniecznie by go trzeba rozumu nauczyć!

Stary był pewny, że wymienione przezeń przymioty podnoszą stopień kwalifikacji Asa do Ogrodu Zoologicznego.

– No, a nie narobi on nam tu aby szkody, nie zeżre jakiego niedźwiedzia albo słonia? – mówił Błażej z żartobliwym uśmiechem, ukazując dwa rzędy silnych, zdrowych zębów, których by mu wilki mogły pozazdrościć. Potem widząc, że Franciszek aż się poci, ponieważ nie może utrzymać ładunku, Rurkiewicz chwycił worek olbrzymią łapą, podniósł, zarzucił go sobie na plecy i rzekł:

– Niechże tam będzie i pies!... Dzikie zwierzęta nam zdychają, może się swojskie będą chowały. Bóg ci zapłać, Franku, i za psa! Napisze mu się na klatce „wilk” albo „z Afryki” – i będzie!

To rzekłszy Rurkiewicz pożegnał przyjaciela i między zwierzęta skierował kroki, od których się ziemia trzęsła. Kiedy przechodził mimo oddziału klatek z wilkami, zatrzymał się przed jedną z opróżnionych, wysypał Asa z worka i przyzwał pomocnika swego, Józka, może ośmnastoletniego chłopaka, któremu polecił umieścić wyżła w próżnej klatce.

– Tu się psa nie powinno wsadzać – rzekł Józek – przecież tu na klatce stoi napis: *lupus*!

– A oprócz *lupus* nie ma jeszcze innego napisu?

– Jest – *canis*!

– No, widzisz, ośle, ja czytać nie umiem, a i tak wiem, że *canis lupus* znaczy po niemiecku pies i wilk...<sup>7</sup> Skoro zatem wilk zdechł, mógł się pies zostać!

– Słusznie pan Rurkiewicz mówi! – odrzekł Józek.

Chłopak miał już ponieść Asa do wilczej klatki, kiedy nadszedł pan Iwiński, jeden z głównych opiekunów Ogrodu Zoologicznego, człowiek bardzo wymowny i niezmiernie dbały o los zwierząt. Jemu to powierzono, że tak powiemy, moralną stronę utrzymania zwierząt w tym zakładzie. Widząc wyżła, skrepowanego jak baran na rzeź, Iwiński zbliżył się czym prędzej i założywszy w tył ręce z miną pedagoga poważnie zapytał:

– Józek, co ty wyrabiasz?

---

<sup>7</sup> L u p u s (łac.) – wilk; c a n i s (łac.) – pies; c a n i s l u p u s – łacińska, naukowa nazwa gatunku: wilk

– Pan Rurkiewicz, proszę pana, kazał mi tego psa wsadzić do wilczej klatki... Zaraz mówiłem, że skoro *lupus*, to...

– Mój kochany, nie o klatkę chodzi; pies może być w wilczej klatce, bo raz, że to jest jedna i ta sama rodzina, a po wtóre, każdy ma oczy i choć napis jest *lupus*, nikt psa za wilka nie weźmie. Zresztą gdyby nawet wziął, cóż to wielkiego?... Ale kto śmie tak strasznie, nielitościwie pastwić się nad tym psem? Kto mi tu skrępował zwierzę, z którym wyłącznie obcować trzeba z jak największą łagodnością, dobrocią?... Pytam, kto?

– Nie wiem tego! Jakiś znajomy pana Rurkiewicza przyniósł psa w worku i...

– Rurkiewicza?... W worku? Aha! Gdzie jest Rurkiewicz? Zawołać tu Rurkiewicza!

I wnet potem Błażej ze swoją miotłą w ręku stanął przed zwierzchnikiem, który gładząc przysiwiałą brodę tak przemawiał:

– Mój Rurkiewicz, od dawna już dochodzą mię słuchy, że ty bardzo niewłaściwie postępujesz sobie ze zwierzętami!

– Czy panu o tego psa chodzi? Świeżuteńki transport i nie moja wina, że go tak powiązali! Podobno dobry kanarek!

– Widzisz, widzisz! zaraz jakieś podejrzenia względem zwierzęcia, fanatyzm, chęć prześladowania.

– Gdzież tam, proszę pana! Ile razy koło tego bestyjstwa przechodzę, to o mało czapki nie zdejmuję...

– Nie o to chodzi, mój Rurkiewicz. Czapki możesz zupełnie nie zdejmować; tylko widzisz, zasady religii, moralności koniecznie wymagają od człowieka, żeby był dobry dla zwierząt... Józek, nie odchodź, słuchaj, co ja tu mówię, bo się o tym skądinąd nie dowiesz! – zawołał pan Iwiński spostrzegłszy, że chłopak zabiera psa i chce odejść. Teraz zwierzchnik zwrócił się do Józka i zapytał:

– Czy zwierzę ma taki rozum jak człowiek?

– Takiego akurat nie ma, proszę pana; one mają jeno „jękstek” – odpowiedział chłopak, który był bardzo pojętny, prawie na pamięć umiał niektóre przemowy Iwińskiego i władza nadzorcza Ogrodu Zoologicznego duże nadzieje w nim pokładała.

– Człowiek zatem – ciągnął dalej zwierzchnik wpatrując się w skrępowanego dotąd Asa – jest istotą rozumną i jako taki powinien okazywać dla zwierząt litość, wyrozumiałość, względność. Moralna wyższość człowieka wystąpić powinna w całej okazałości przy jego obcowaniu ze zwierzętami – rozumiecie?... Tylko tym sposobem mamy obowiązek panować nad żywą przyrodą królestwa zwierzęcego, nie zaś przez tyraniją i okrucieństwo...

Tu się zastanowił pan Iwiński, a Błażej chciał widocznie skorzystać z takiego zawieszenia mowy i już się odwrócił, aby odejść.

– Rurkiewicz, dokąd idziesz? – rzekł zwierzchnik z surową powagą.

– Spieszę się do niedźwiedzi, bo czegoś okrutnie porykają!

– Zatrzymaj się tutaj, słuchaj, co mówię! Niedźwiedzie z pewnością więcej zyskają na twoim uszlachetnieniu, niż żebyś je jak najlepiej nakarmił – rozumiesz?...

– Ooo, proszę pana, te dwa hamany tam w jamie okrutnie są źerte! Całe szczęście, że samiec i samica, boby, jak amen w pacierzu, zeżarły jeden drugiego.

Powiedziawszy to Błażej poskrobał się w głowę i obiema rękoma wsparty na dragu miotły słuchał dalszej przemowy, która tak brzmiała:

– Nie tylko sami macie obowiązek postępować zgodnie z zasadami religii i moralności, ale także sumiennie czuwać, ażeby ci, którzy tu z miasta przychodzą, nie dręczyli zwierząt, nie drażnili. Przekonacie się, zobaczycie potem, że zwierzęta, gdy się z nimi szlachetnie obcuje, nie są tak bardzo złe, jak się to niejednemu na oko wydaje...

Zapewne długo jeszcze byłby tak przemawiał pan Iwiński, gdyby nie to, iż spostrzegł przed klatką z małpami Murzyna, który nabrawszy w usta wody pryskał nią w oczy pawianowi i doprowadził go do wściekłości. Ta okoliczność przyspieszyła wyzwolenie

Rurkiewiczza, Józka, a i biednego Asa, który się już teraz nie mógł ruszać. Błażej ze złośliwym uśmiechem na ustach pospieszył spełniać swe obowiązki i gdy przechodził około klatek, gdzie były lwy, tygrysy, pantery, lamparty, spoznał i głośno się odezwał;

– Kizie, kizie, moje niewiniątka, psiedusze, jakie toto wszystko grzeczne!... Pan Iwiński nakazuje, żeby z wami postępować podług religii, to się znaczy, żebyście, huncwoty, regularnie pościły w piątek i sobotę!

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa wspaniała tygrys bengalski ryknął potężnie i zaczął biegać po klatce, co było hasłem ruchu, niepokoju po innych klatkach wielkich kotów.

Nieznośnie próżniacze życie prowadził teraz As w wilczej klatce. On, taki energiczny, ruchliwy, wylegiwał się całymi dniami drzemając lub bezmyślnie wodząc oczyma po snujących się przed klatką ludziach. Może tam i bywali jacy jego znajomi, ale w Ogrodzie Zoologicznym, gdzie jest tyle zwierzęcych znakomitości, mało kto na pospolitego psa zwraca uwagę. Bardzo rzadko kiedy jakaś litościwa osoba wrzuciła mu przez szczeble kawałek chleba albo piernika. Za sąsiadów miał on po jednej stronie wilczycę, którą zabrano od dzieci, po drugiej – pięć młodych lisek, rodzeństwo wydarte rodzicom. Nikt z ludzi nie pomyśli, aby takie zwierzęta drapieżne, karmiące się mięsem, mogły być smutne. Litość idzie w parze z użytecznością.

Bywały i w Ogrodzie Zoologicznym dni wesołe, naturalnie, że tylko dla ludzi wesołe; zwierzętom, tym jedynym istotom potrzebującym tu rozweselenia, nikt nie mógł ani też nie myślał wyprawić zabawy. Sprowadzano niekiedy huczną muzykę, przy której dźwiękach tłumy z miasta używały rozrywki. W niektóre dni świąteczne urządzano tam nawet dla dzieci zabawy z tańcami. Dobrzy rodzice chcąc sprawić przyjemność grzecznym Maniusiom i Jasiom wiedli je wtedy na muzykę. „Niech sobie dzieci potańczą!” Ostatnimi bowiem czasy robi się wiele, bardzo wiele, aby te nasze piękne kwiatki wydały owoce.

Ponuro zachowywały się zwierzęta słysząc odgłosy trąb i zgiełkliwe krzyki ludzkiego szczęścia. Tygrysy w niespokojnych susach tam i nazad przebywały szczupłą przestrzeń swego więzienia, a niekiedy uderzały o kratę z taką siłą, że się trzęsła cała klatka. Lwy, chociaż to przecie nie lwy pustyni, waliły się ogonami po bokach i rykiem dawały znać biesiadnikom, że w bliskości szczęścia istnieje niedola. Zasapany niedźwiedź kiwał się z mrukiem i kręcił, jak gdyby usiłował uniknąć tego huku, brzęku, hałasu.

Innym razem zjawił się w Ogrodzie Zoologicznym cudzoziemiec, przedsiębiorca wystawiający za biletami na pokaz ludzi na wpół dzikich. Wtedy tłum gości wzrastał, ponieważ powszechnie twierdzono, że uczyć się pogładowo etnografii jednocześnie z zoologią jest bardzo użyteczne. Cywilizowanym bliźnim dzicy bliźni przedstawiali się bardzo malowniczo, zwłaszcza w oświetleniu sztucznych ogni. Puchacz rozpościerał wówczas skrzydła, powiewał nimi jak skrzydłami wiatraka i pohukiwał smętnie: „pu-u-hu-u”. Hiena brała ogon pod siebie, jeżyła włosy na grzbiecie, odzywała się wyciem podobnym do śmiechu; tak podobno wyje na wolności, gdy ją zaleci woń trupa. Wilk kilkakrotnie przysiadł na ogonie, wznosił pysk w górę i wyc zaczął, ale wyc umiał tylko w niebo pokryte gwiazdami – i urywał...

Wtem wystąpił z gromady dzikich jakiś ich bard, miał w ręku drewno o dwóch strunach, usiadł na ziemi, położył swą lirę na podolku, zagrał i zaśpiewał. W jego pieśni było coś z mruku niedźwiedzia, coś z hukania puchacza, ze śmiechu hieny, wycia wilka i ryku lwa. Pieśń ta poleciała między klatki i wydało się teraz zwierzętom dzikim, że ktoś odgadł wszystkie ich smutki, cierpienia, że im opowiada to, co one czują: słyszane dźwięki nie były dla nich obce. Nawet dogorywający już szakal porwał się z miejsca, gdzie leżał, i suchym, chrapliwym głosem szczeknął kilka razy, a lew potężnie zagrzmiał, jak by w pustyni. Kiedy dziki artysta posłyszał ów ryk króla pustyni, ogień zaświecił mu w oczach, głos jego nabrał siły: natura przemawia prosto i dwaj niewolnicy cywilizacji od razu się porozumieli.

Ogród Zoologiczny przedstawiał na małą skalę to, co przedstawia cała kula ziemską: podbój przyrody przez człowieka. Filozof, artysta może doznawać smutnych wrażeń widząc, że swobodny człowiek dręczy zwierzę zamknięte, a przeto zawsze i bezwarunkowo zmuszone ulec. Okratowane klatki potężnych olbrzymów nie usposabiają szlachetnego serca do wesołości. Obecne wymagania moralności i dobrego smaku budzą pewną odrazę, gdy się słyszy w tym miejscu niedoli ostatniej wybuchy szalonego śmiechu rodziców i dzieci. Ale cóż robić?... I to jest widać prawem nieubłaganym, że – biada zwyciężonym!

As, który dotychczas obcował tylko z ludźmi albo z psami przez ludzi włożonymi w różne nałogi cenne dla człowieka, począł tutaj odczuwać, iż posiada na świecie bliźnich. Słyszał nieustannie w nocy smutne wycia, ponure ryki zwierząt stęsknionych przez niewolę, chorych albo i umierających. Przepęniało go to taką jakąś goryczą, że i u niego wycie zaczynało stanowić potrzebę psiej duszy. Kiedy noc nadchodziła, a rozległy się na przerozmaite głosy zwierzęce skargi, jęki, okrzyki, ogarniał go wtedy dziwny smutek niewoląc do wtórowania wyciem temu lamentowi. I stróża, który miał obowiązek baczyć na zwierzęta w porze nocnej, zdejmowała również jakaś nieopisana trwoga i żal, jak gdyby mu się zdarzyło oczekiwać na wielkie nieszczęście. Tu As wyc się nauczył na całe życie.

Gdzie się toczy walka, tam i zwycięzcy nieraz podatek krwi płacą. Rurkiewicz, mimo napominań pana Iwińskiego, wcale się nie odznaczał łagodnością w stosunkach ze zwierzętami; był on dla nich o tyle tylko wyrozumiały i względny, o ile się ich obawiał. Szczególniej też nie robił sobie żadnej ceremonii z parą niedźwiedzi pomieszczonych w obmurowanym naokoło dole, mającym wyobrażać jakoby jaskinię.

Robiąc tam „porządki” nie przedsięwziął częstokroć potrzebnych środków ostrożności, ale nadmiernie ufny w swą siłę, w razie niezadowolenia którego z dwojga zwierząt odwracał swą miotłę, aby drągiem „zamalować misia w zęby”. Bywało różnie: czasami niedźwiedzie miały skłonność do uległości, a Błażej był w bardzo złym humorze; innym razem znowu – wprost przeciwnie. Pewnym jest jednak, że osadzona na grubym i długim drągu miotła trwogą przejmowała jedne zwierzęta, inne pobudzała do gniewu. Aż nareszcie jednego dnia rano tak się złożyły okoliczności, że Rurkiewicz był z czegoś bardzo niezadowolony, a niedźwiedzie też chodziły dokoła słupa białego w samym środku dołu i ze złością porykiwały: „e-eee e-eee!”.

Ponieważ żadna strona nie była skłonna do ustępstw, przeto zatarg wnet wybuchnął i pierwsza niedźwiedzica „oberwała drągiem między ślepie tak, że pewnie zobaczyła wszystkie gwiazdy na niebie”. Tymczasem niedźwiedź przycupnął rudą masę swego cielska pod murem, przyłożył gruby łeb do prawej łapy i z otwartym pyskiem, błyskając białymi kłami boczył się, złowrogo spoglądał małymi oczkami na zajście swej połowicy ze stróżem. Nagle, jak gdyby się w nim ocknęło uczucie solidarności czy też odezwała się jakaś osobista uraza, poskoczył szybko na czterech łapach ku Błażejowi, który równie szybko zrejterował. Bądź że czasu zabrakło, bądź z powodu zapomnienia, Rurkiewicz nie zawarł za sobą drzwi oddzielających go od zwierząt i – zanim zdołał przybrać obronną postawę – miś oskalpował mu całkowicie czaszkę i zadał niebezpieczne rany na ciele. Niedźwiedzica ze swej strony pochwyciła w zęby miotłę, uszła z nią do klatki i tam poszarpała, pogryzła na wióry, na trzaski.

Biedny Błażej wnet potem wyzionął ducha w szpitalu, zwiększając liczbę ofiar walki człowieka z przyrodą. Ale i ta jedna chwila tryumfu, raczej krwawego odwetu zwierząt w Ogródzie Zoologicznym, na złe im tylko wyszła, ponieważ oprawcę Rurkiewicza rozstrzelano. Wyrok może i nie był sprawiedliwy; jednakże któż by bronił życia zwierzęcia, które wydarło życie człowiekowi?

## ROZDZIAŁ V

*Podczas obiadu w Mączynie. – Trzy życzenia Miecia. – Kawa, ciastka i egzamin. – Co znaczy pies w lwiej klatce? – Szewc i jego parasol. – Miecio staje po stronie Asowego stronnictwa. – Trzecie życzenie. – Na ulicy i w hotelu. – Na dworcu kolei Terespolskiej. – Konduktor, który godzi przepisy z wymaganiami podróży.*

Bardzo spokojnie przechodziło życie mieszkańcom dworu w Mączynie: zawsze jedni i ci sami ludzie, zawsze jedne i te same ich czynności, spełniane podług zegara. Dwa razy dziennie w oznaczonych godzinach schodzili się wszyscy do stołowego pokoju, aby dopełnić obrzędu, zwanego obiadem i kolacją. Przez chwilę czasu oczekiwano tu, dopóki nie usiadła pierwsza hrabina, a potem każdy zajmował swoje uprzywilejowane stanowisko za stołem. Jedną tylko panną Maria lubiła się opóźniać.

Zwykle przy zupie panowało stanowcze milczenie. Siedem osób trzymając w rękach jak najpoprawniej łyżki dosyć gorliwie zajmowało się przelewaniem płynnego pokarmu z talerzy w organizmy. Po stronie stołu od drzwi wchodowych znajdował się dział damski: hrabina, panna Maria i jej uczennica, panna Zofia, panna Henryka, cudzoziemka, niegdyś bona, a obecnie stały gość domowy. W dziale męskim, po przeciwnej stronie stołu: hrabia, pan Tomasz – nauczyciel i uczeń jego – pan Karol. Było to właśnie po zupie w sobotę, a jakoś mniej więcej w połowie czerwca. Kornel, stary służący, który od pięćdziesięciu lat obsługiwał dom w Mączynie, zbliżył się uroczyście do stołu i na tacy podał list hrabinie. Rzuciła tylko okiem, poznała widać pismo, gdyż z radością zawołała: „Od Miecia!” Trzeba zaś wiedzieć, że Miecio był to młodszy syn, którego w zeszłym roku oddano na naukę do Warszawy jako trzecioklasistę. Hrabina z niecierpliwością rozdarła kopertę i w miarę tego, jak list odczytywała, fizjonomia jej wyrażała coraz wyższy stopień uszcześliwienia.

– Chwała Bogu! – rzekła nareszcie rozpromieniona. – Egzaminy poszły mu doskonale, wszystkie trójki i czwórki, pocziwy mój chłopiec!... Promocja do czwartej klasy pewna! Chwała Bogu, chwała Bogu!

I z tymi słowy podała hrabiemu list do odczytania.

– A mnie to głównie cieszy, że Miecio wyjeżdżając z domu pod słowem honoru przyrzekł mi być pilnym i dotrzymał słowa – powiedział hrabia.

Jeszcze się obiad nie skończył, a matka już powzięła postanowienie, ażeby jechać do Warszawy i zrobić synowi przyjemną niespodziankę.

– Teraz już po egzaminach, ma dosyć wolnego czasu – mówiła – mogę się z nim codziennie widywać. Skoro się tak dobrze spisał, trzeba mu to przecież wynagrodzić... Dziś jadę do Warszawy i sama przywiozę Miecia na wakacje.

Hrabina była osobą stanowczą, przeto tego samego dnia około siódmej wieczorem czwórka karych powiozła ją do stacji kolei żelaznej, a nazajutrz o godzinie trzeciej po południu Miecio już był u mamy w Hotelu Europejskim. Zawsze wesoły, rumiany, okrągły blondyn z niebieskimi oczyma ucieszył się nadzwyczajnie z owej macierzyńskiej niespodzianki! Ponieważ chodziło o to, aby chłopcu zrobić jeszcze większą przyjemność na zakończenie roku szkolnego, przeto matka rzekła:

– Mój synu, dzień dzisiejszy jest twój, wybierz sobie jakąś przyjemność, rozrywkę... Może teatr?

– Proszę mamy – odrzekł Miecio z uśmiechem zadowolenia, ale i z rozważą – czy ja sobie mam wybrać tylko jedną przyjemność?

– Wybierz dwie, trzy nawet, byleby przyjemności godziwe, dozwolone.

– Och, proszę mamuni, ogromnie dozwolone!... Na przykład, chciałbym teraz napić się kawy i zjeść tyle ciastek, ile mi się podoba. Potem poszedłbym do Ogrodu Zoologicznego, bo słyszałem, że tam są bardzo piękne lwy... A co się tyczy tej trzeciej przyjemności, niech mi mama pozwoli, żebym się namyślił.

Prawie jak gdyby na skinienie czarodziejkiej różdżki pierwszemu życzeniu Miecicia stało się zadosyć. Niebawem ukazały się na stole: cała porcja kawy i może z tuzin ciastek od Lursa. Miękkie briosze, twarde makaroniki i ulubione przez młodzież szkolną papatacze szybko zniknęły z tacy, a w krótkich przerwach Miecicio z miną bohatera, który odbył zwycięską kampanię, opowiadał matce swoje egzaminowe przygody.

– Z arytmetyki – mówił – ogromnie się bałem reguły łańcuchowej, tymczasem wyciągnąłem piętnaste pytanie z algebry – prawidło na znaki w mnożeniu – od razu mu bez namysłu powiadam: *plus przez plus – plus, minus przez minus – także plus*, a reszta wszystko *minus*. Wziął i napisał mi czwórę.

Po tym opowiadaniu powrócił do swej kawy i ciastek, z których teraz już tylko dwa zostały na tacy.

– Najpierwszy był egzamin z łaciny – mówił znowu – kazał mi objaśnić zdanie: *Homo magna habet instrumenta ad obtinendam adipiscendamque sapientiam...*<sup>8</sup> Ściąć się nie mogłem, gdyż *gerundium* i *gerundivum* umiem najlepiej. Powiedział mi „dobrze” i zapisali tróję.

Skończywszy opowiadanie Miecicio spojrzął na pozostałe dwa ciastka, a oczy jego zdawały się tę myśl wyrażać: „Cóż te samotniki mają sobie tak leżeć? Przecież one należą do towarzystwa tamtych, których byt przeciąłem zębami”... Jeszcze chwilkę odpoczął, potem westchnął i wyciągnął rękę ku ciastkom.

– Synu, żeby ci te ciastka nie zaszkodziły! – rzekła hrabina.

– Gdzież tam, mamuniu! Ja po egzaminach mam ogromny apetyt.

Przyszła kolej na spełnienie drugiego życzenia Miecicia, który uszczęśliwiony tym, co już osiągnął, rozmyślał teraz nad postawieniem trzeciego swego życzenia i postawił pytanie:

– A czyby mi mamunia kupiła ostrogi, gdybym prosił?

– Kupiłabym, synu, ale co ci po ostrogach? W szkole nie możesz przecież ostróg nosić, a w domu dostaniesz wierzchowca dopiero, kiedy przejdiesz z klasy piątej do szóstej.

Miecicio pomyślał sobie, że tymczasem mógłby nosić ostrogi w kieszeni; jednakże zrzekł się ostróg i już nie nalegał rozmyślając, jakie by tu inne postawić życzenie. Ogromnie pragnął mieć wasy i wiedział, że wasy wtedy rosną, kiedy się je goli... Cóż, kiedy jakoś nie śmiało prosić mamy o brzytwy! Zresztą i scyzorykiem można się ogolić.

Mimo utrudzenia hrabina pojechała z synem do zwierzyńca, aby lwy oglądać. W Ogrodzie Zoologicznym zaszły niejakie zmiany. Ponieważ zdechł lew, a z prowincji przysłano w podarunku aż cztery wilki, przeto z polecenia zarządu Józek przeniósł Asa do lwiej klatki, z napisem *felis leo*<sup>9</sup>. Trudno wyjaśnić, dlaczego wyżeł okazywał obecnie weselsze już usposobienie. Może z powodu znaczniejszej obszerności lwiej klatki, może dlatego, że za sąsiadkę o ścianę miał lwicę, a może też i zżył się już tak ze swoją niewolą, iż ją począł uważać jako całkiem normalny tryb zwierzęco – psiego żywota. Jakkolwiek ciągle jeszcze

---

<sup>8</sup> H o m o m a g n a (łac.) – człowiek ma rozliczne sposoby do osiągnięcia i nabycia mądrości

<sup>9</sup> F e l i s – kot; l e o – lew; f e l i s l e o – łacińska, naukowa nazwa gatunku: lew

jakieś tęskne marzenia zdradzał nocnym wyciem, jednak w dzień zasiadał częstokroć na ogonie, podnosił w górę uszy jak za swoich dobrych czasów i w tej postawie zwracał na się uwagę rozmaitych zwolenników zwierząt.

Przy niedzieli tłumy ludzi przybywały do Bagateli – tak się zwie miejscowość, gdzie był Ogród Zoologiczny przed niedawnymi czasy. Każdy gość, wiedzący z zoologii tyle, że łacińska nazwa *leo* znaczy lew, zatrzymywał się przed klatką Asa, wodził mimowolnie oczyma to po napisie, to po wyżle i niejeden odchodził wzruszając ramionami. Bardziej atoli filozoficzne umysły, ludzie tacy, którzy wszędzie widzą myśl jakąś, a choć nie widzą, to jej szukają, różni myśliciele łamali i suszyli sobie głowy pytaniem: „Co znaczy pies w lwiej klatce. Byłaby to jakaś przenośnia?” Na próżno byś takiemu tłumaczył, iż rzeczy tak należy brać, jak są. Jeden nawet za stalszych bywalców w zwierzyńcu wykładał to w następujący sposób:

– Widzicie, państwo, ten oto pies jest mlecznym bratem lwów, ponieważ mamką była wyżlica, jego rodzona matka.

Taka odpowiedź na pytanie najzupełniej zadowalniała niektórych i szli sobie dalej, unosząc przekonanie, że stanowi ona dostateczną przyczynę pobytu Asa w lwiej klatce.

Właśnie tej samej niedzieli przed kratą Asowej klatki znalazł się także szewc z Sewerynowa, Kąskiewicz, który tutaj przybył z żoną, dwoma synkami i córeczką. Pan majster, ubrany odświętnie, parasolem pokazywał malcom dzikie zwierzęta powtarzając od czasu do czasu:

– Przypatrzcie się, bo wam się to kiedy przyda!

Okazała małżonka żuła pierniki, ziewała i mówiła:

– Nie ma nic godnego widzenia! Lepsza zabawa na Saskiej K i e m p i e, a tu ani się p o h u ż d a ć, ani karuzeli!...

Kąskiewicza uderzył widok Asa; parę razy poprawił sobie na głowie cylinder, jak gdyby w ten sposób chciał w swym mózgu wzbudzić dawniejsze wspomnienia. Im dłużej się zaś psu przyglądał, tym lepiej ożywiały się obrazy, drzemiące w mózgu gdzieś pod progiem świadomości. Naraz zwrócił się żywo do żony, która właśnie oceniała okiem ubranie jednej znajomej z Aleksandrii, i rzekł głośno:

– Magdalena, widzisz ty, to przecie pies Swojewskich, ten As szelma, co pokąsał Pytę i com cię raz przez niego, łajdaka, dzielił kijem!... Pamiętasz, Magdalena, tyś się wtedy przewaliła?...

Gdy te ostatnie słowa mówił, wykonał ręką ruch ku twarzy, widocznie w tej chwili zaswędziało go policzek, na który onego czasu pani Kąskiewiczowa tłusciuchną swoją rączką przyłożyła małżonkowi kilka dotkliwych kataplazmów.

Szewc postanowił zemścić się teraz i wsunawszy między kraty parasol począł nim szturchać wyżla. As zachował się tak, jak by wiedział, że przebywa w lwiej klatce: chwycił zębami silnie za parasol, wydarł go Kąskiewiczowi z ręki, wciągnął wewnątrz i szarpał na kawałki. Z tego powodu zrobiło się przed klatką w oka mgnieniu ogromne zbiegowisko. Jedni stanęli po stronie Asa i wykrzykiwali:

– Dobrze pies zrobił! Po co go drażnić?

Inni trzymali znowu z szewcem, a oburzali się na psa:

– Jak to może być, żeby człowiekowi, który tu wszedł kupiwszy bilet za swoje własne pieniądze, nie było wolno nawet psa trącić!

Bóg wie, na czym by się ów spór skończył, gdyby nie to, że nadszedł pan Iwiński i od razu wziął grzecznie pana majstra na bok, aby mu powiedzieć kazanie o występku dręczenia zwierząt. Kąskiewiczowa nieustannie się odgrażała, że już nigdy noga jej nie postanie w tym zakładzie i „dziesiątemu jeszcze powie, żeby też nie bywał, skoro się tu nie umiejają obchodzić z kundmanami”.

Oburzenie jej tym bardziej jeszcze wzrosło, gdy Józek wszedłszy do klatki od tyłu wyniósł stamtąd resztki parasola, pogięte pręty odebrane Asowi, i rzekł wręczając je pani majstrowej:

– To ci pies ze zdrowymi zębami jak lampart!

Pan Iwiński nie mógł dojść do porozumienia z Kąskiewiczem: nadaremnie pokazywał mu tablicę opiewającą, że religia, moralność i pedagogika zabraniają pastwienia się nad zwierzętami. Szewc odpowiadał:

– Święta prawda, ale to jest pies z Sewerynowa, nazywa się As i nie może należeć do takiego interesu, gdzie się pieniądze płacą za oglądanie... Ja także swoje własne psy chowałem i biłem, skoro tylko mi się spodobało!

Obaj zacierzewieni wrócili przed klatkę, gdzie stronnictwo Asa zrobiło manifestacją wołając: „Zuch As! Brawo As! ... Brawo!”

Słyszając ciągle wymawiane swoje nazwisko wyżeł merdał dziękczynnie ogonem, a wszystko to, razem wzięte, zwiększało gorycz rodziny Kąskiewiczów, W oczach pana majstra As, którego imię rozlegało się dzisiaj po całym Ogródzie Zoologicznym, wyglądał zupełnie tak jak ów pudel, co to z niego powstał Mefistofeles.

Kiedy się w zwierzyńcu na Bagateli rozgrywały powyżej opisane wypadki, przebywała tam podówczas także hrabina z Mączyna i syn jej, Miecio. Matka – rozumie się – unikała burzliwego zbiegowiska, usuwała się od ścisku ludzi przed klatką z wyżeł, za to syn brał czynny udział w wypadkach. Jak tylko zrozumiał, o co chodzi, rzucił się od razu z zapalem trzynastoletniego młodzieńca na stronę Asowego stronnictwa, bił bez upamiętania huczne oklaski wyżełowi. Chcąc w dalszym ciągu jak najwyraźniej zaznaczyć swoje sympatie, Miecio wrzucił psu za kratę dwa wieńce obwarzanków i duży kawałek piernika. Była to chwila, w której doprowadzona do ostateczności Kąskiewiczowa wybuchnęła strasznym gniewem na męża, ponieważ ją „od wczoraj namawiał na te zwierzęta”. Ruchy, które wykonywała, miały w sobie coś tak groźnego, że pan majster położył uszy po sobie i drapnął ze stanowiska, ażeby go przypadkiem wobec ludzi nie spotkało to, czego na pewno mógł się spodziewać w ognisku rodzinnym i w cztery oczy. Inni ludzie zaczęli się też rozchodzić, gdyż pies jako pies nie zajmował ich bynajmniej. Nareszcie przed klatką pozostał jeden tylko Miecio, który teraz dopiero wchodził z Asem w poufalsze stosunki: wsuwał rękę za kratę, głaskał psa po łbie, po pysku, a pies jego rękę lizał. Wśród takich okoliczności zrodziło się w duszy chłopca pragnienie, dające się wyrazić tymi słowy; „Przecież mam prawo żądać jeszcze od mamy, aby się spełniło moje trzecie, ostatnie życzenie... Otóż gorąco pragnę posiadać tego Asa”.

Istotnie, taki towarzysz na wakacje – prawdziwa rozkosz. Co prawda w Mączynie były psy, ale jakieś poważne, powolne, bez temperamentu.

Hrabina, istna ofiara uczuć matki, obszedłszy po kilka razy wokoło ogród zbliżyła się nareszcie do syna zamyślonego przed klatką i rzekła:

– Mieciu, czas na nas wracać do domu!

W odpowiedzi na to wezwanie Miecio przedstawił swoje trzecie życzenie; ona mu zaś odrzekła:

– Życzenie twoje, synu, jest niemożliwe do spełnienia, gdyż Ogród Zoologiczny nie jest rynkiem na psy!...

Miecio spuścił teraz nos na kwintę i milczał, ale i hrabina wyglądała coś tak, jak gdyby ją trapiło niezaspokojone życzenie syna. Sumienie dobrej matki zdawało się jej czynić wyrzuty; „On zrobił wszystko, co do niego należało, uczył się dobrze, złożył egzaminy, promocją ma pewną – a ja?... Za to, że dotrzymał ojcu słowa, że przeniósł tyle trudów, kupiłam mu tylko kawy, kilka ciastek i przywiozłam go tu do zwierzyńca. Moja odmowa musi być dla niego bardzo przykra, żal mi chłopca! Właściwie mówiąc, nie wymaga on nic nadzwyczajnego, chce mieć psa. Każdy chłopiec lubi psy – rzecz wiadoma”.



Ona także lubiła konie i psy, a szczególnie też konie kare, psy czarne. As, pies piękny, rasowy i czarny bez odmiany, bardzo jej się podobał. „Dlaczegożby się nie miał bardzo podobać Mieciowi?”

Matka i syn milcząc znaleźli się przy bramie Ogrodu Zoologicznego i tu hrabina niespodziewanie zwróciła się do odźwiernego z tym zapytaniem:

– Czy można w zwierzyńcu kupić jedno ze zwierząt?

– Och, proszę pani, my, broń Boże, zwierząt nie sprzedajemy, my je tylko chowamy, żeby się państwo miało czemu przypatrywać! Zresztą – dodał wahając się – ja sam dobrze nie wiem... Może powiedzą w kancelarii.

Miecio natychmiast spostrzegł, że jego papiery idą znowu w górę, przeto wypogodził w okamgnieniu gorzko – kwaśną fizjonomią, rozejrzał się jednym rzutem oka, spostrzegł napis „wchód do kancelarii zarządu” i podskoczywszy naprzód ze skwapliwością zawołał:

– Proszę mamuni, tędy, tędy się idzie!

W biurze zarządu porozumiawszy się, o co chodzi, sekretarz wziął z półki wielką księgę, w której każde zwierzę zaciągnięte pod odpowiednim numerem miało swój opis – szukał, rozważał, wreszcie z wielką powagą oznajmił, że w tej sprawie dopiero nazajutrz po południu można uzyskać odpowiedź. Bodaj czy ta niepewność nie była dla chłopca gorszą jeszcze niż stanowcza odmowa.

Mniejsza o warunki, pod jakimi Asa uwolniono z Ogrodu Zoologicznego, dosyć na tym, że pies wypuszczony z zamknięcia uczuł w sobie nadzwyczajną ochotę do życia: opanował go istny szal biegania, wyskakiwania, rzucania się na wszystkie strony, wesołego oszczekiwania swojej swobody. Ponieważ zaś przepisy szkolne wymagały, ażeby Miecio jeszcze przez cały tydzień uczęszczał do szkoły i tylko przed wieczorem parę godzin mógł bawić u matki, przeto hrabina miała na głowie ogromnie ciężkie zadanie utrzymania w korbach wyższej energii. Już samo przewiezienie psa w dorożce ze zwierzyńca do hotelu stanowiło trud niemały. As szarpał się nieustannie, usiłował wyskoczyć na ulicę, a przytrzymywany na sznurku, już to zasiadał obok swej pani, już to się wspinał na jej kolana i hałaśliwie szczekał. W dodatku nieszczęście chciało, że w przejeździe koło placu Zielonego posłyszał dźwięki katarynki; przypomniało mu to, widać, muzykę z czasu pobytu w Ogrodzie Zoologicznym, gdyż natychmiast ją żałośnie wtórować, na wpół szczekając, na wpół wyjąc. Ludzie postawali na ulicy, z podziwem przyglądali się temu osobliwemu psu, który to wył, to poszczekiwał w dorożce – rzecz prawdziwie rzadko słyszana i widziana. Niektórzy mieli na ustach uśmiech złośliwego zadowolenia, radzi oczywiście z tego, że jakiś bliźni ma z niespokojnym wyłłem tyle utrapienia. Człowiek nie mający odwagi cywilnej, aby stawić czoło i lekceważyć opinią ulicznych gapiów, byłby się niezawodnie wyrzekł Asa, wyrzuciłby go z dorożki. Hrabinę krzepiła myśl, iż to robi dla syna. Toteż gdy przed wieczorem Miecio przybył do matki, obcowanie z wesołym i niezmiernie zręcznym Asem sprawiło mu tyle rozkoszy, iż rozpromieniony zawołał w uniesieniu:

– Ach, mammo, jakże jestem szczęśliwy!

Ponieważ rzeczywiście był szczęśliwym, wynagrodziło to najzupełniej trudy i kłopoty matki. Chłopiec, który był u kresu rocznego kursu szkolnego, odbył egzamina, miał pewność promocji, spokojnych wakacyj i ten pies, co się właśnie wydostał z okratowanej klatki, stanowili jak najzupełniej dobraną parę. Brakowało tu tylko artysty, ażeby uchwycił tę chwilę szczęścia i pędzłem ją odtworzył. Któż inny mógłby się pokusić, aby rzetelnie zrozumieć niewinne i proste uczucie?

Najniespodziewaniej atoli wśród owej uciechy, gdy As szalał, a Miecio śmiał się do rozpuku, przybywa telegram wzywający hrabinę do niezwłocznego powrotu. Sprawilo to takie wrażenie, jak gdyby w dzień pogodny czarna chmura nagle zaćmiła słońce. Nie ma rady, trzeba koniecznie wracać do Mączyna, zabrać Asa, a Miecicia jeszcze na sześć dni zostawić w Warszawie!

– Żeby mi to mamunia zostawiła Asa! – odezwał się chłopiec smętnym głosem.

– Nie, synu, nie! Co by na to powiedział pan profesor, pani profesorowa, gdybyś im psa do domu przyprowadził?...

Powiedziawszy to matka żegna syna udając przed nim, że ma twarde, męskie serce, zabiera wyżła i spieszy do powozu, aby podążyć na dworzec Kolei Terespolskiej. Ciągnięty na sznurku As się opiera i nieustannie wymienia spojrzenia z towarzyszem, który w krótkim czasie złożył dowody, że jest bardzo a bardzo przyjemny. Osadzony teraz w zamkniętym powozie nasz wyżeł wyglądał tylko oknem, a przesuwające się przed jego oczyma przedmioty prawdopodobnie sprawiały mu rozrywkę, gdyż był jakiś spokojny. Ale już na dworcu kolei wywoływał oburzenie, ponieważ się zrywał na widok każdego nowo przybyłego pasażera i bardzo hałaśliwie czekał. Najgłośniej gniewało i oburzało to szczekanie jakiegoś garbusa, który mniemał, że pies spostrzega jego garby na przodzie i na grzbiecie, wyróżnia go wśród innych, a swoim szczekaniem zwraca nań uwagę całego zgromadzenia. Jakaś znowu bardzo szczupła i blada pani za każdym odezwaniem się Asa zatykała sobie rękoma uszy, przytulała do kolan troje drobnych dzieciaków, ubolewając nieustannie:

– Kto widział wprowadzać takiego złego psa tam, gdzie są dzieci i kobiety?

Małe spoglądały wystraszonymi oczyma na buńczucznego wyżła, a jedno, może trzyletnie bobo, z którego ubrania nikt by nie poznał, syn czy córka, zwracało się kilkakrotnie do matki z zapytaniem:

– Mamusiu, czy ten pies zjada dzieci?

W sali, gdzie się gromadziła znaczna ilość ludzi, wyżeł sprawiał wrażenie jakiegoś nadzwyczajnego pasażera, co sobie może wiele pozwalać. Gdy się raz wyrwał z rąk swojej pani unosząc długi sznurek, nie można już było mieć nadziei, ażeby go utrzymać w jakichkolwiek korbach posłuszeństwa. Szczególniejszą uwagę zwracał on na posługaczów znoszących tutaj walizy i przeróżne pakunki. Istotnie, bardzo osobliwie wygląda człowiek obciążony jak muł i zdaje się nieraz, jak gdyby masa rozmaitych rzeczy sama przez się wykonywała ruchy dowolne. Właśnie jeden z takich wszedł na salę, niosąc walizę na plecach, inną na ramieniu, jakiś tłumok na głowie, a na piersiach i po obu bokach wisały pakunki z parasolem, laskami, paskami spięte poduszki skórzane, kołdry, okrycia letnie itd. Ta postać tak uderzyła Asa, iż z namiętym szczekaniem rzucił się w susach na ową masę rupieci. Natarcie psa zachwiało równowagę piramidy ugniatającej człowieka i wszystko to z łoskotem poczęło się walić na ziemię. Jakież było zdziwienie Asa, gdy wśród zwalisk tej góry ujrzał stojącego zwyczajnego człowieka, któremu czoło świeciło się kroplami potu, w oczach błyszczały iskry gniewu, z ust zionęły przekleństwa, a nogi wyrażały pochopność do kopnięcia. Przekonawszy się naocznie, że kuferek, skrzynki, pudła i paczki nie poruszają się same, wyżeł co tchu zrejterował, a zmęczony wybrykami wskoczył na aksamitną kanapę, gdzie nareszcie postanowił wytchnąć, i legł tam z wywieszonym językiem. Wnet go atoli spostrzegł odzwierny, baczny strażnik porządku na sali, i żwawo sunął, aby psa spędzić z kanapy.

– A pójdziesz ty stąd!

As w odpowiedzi na to wezwanie warknął tak srogo, wyszczerzył takie straszne zęby, że sługa kolejowy zaraz się cofnął, machnął ręką i tylko z daleka wymrukiwał przepis:

– Tutaj nie wolno psom rozkładać się po kanapach!...

Nareszcie posługacz, mający pod dozorem rzeczy hrabiny, kupił bilet dla pasażera – psa, umieścił Asa zgodnie z wymaganiami przepisów i pociąg ruszył ku wielkiemu zadowoleniu hrabiny, ogromnie udęczonej tą psią swawolą. Jednakże już na samym początku podróży – nowe nieprzewidywane utrapienie. Szczelnie zamknięty teraz wyżeł musiał sobie widać przypomnieć niedawny pobyt w zwierzyńcu, zdjęła go nadzwyczajna żałość, którą też zaczął wyrażać jękami wycia i skowytu. Do samego Brześcia rozmaici pasażerowie nieustannie nalegali na konduktora, domagali się koniecznie, ażeby „coś zrobił” z psem, który jednych

oburzał, innych przerażał, jeszcze innych rozrzewniał i budził w ich duszach strach przesądny: „Podróż, rozpoczęta wśród psiego wycia, z pewnością nie skończy się pomyślnie”. Ze wszystkich stron dawały się słyszeć głosy:

– Panie konduktorze, panie konduktorze! Na miłość Boga, trzeba coś z tym psem zrobić...

Uszy puchną!...

Byli i tacy, którzy bez ogródki wykrzykiwali:

– Ja płacę i nie chcę słuchać psiego wycia!

Konduktor biegał jak oparzony, wysłuchiwał z jednakową cierpliwością skarg i okrzyków oburzenia, a nie wiedział, co właściwie ma począć. Ponieważ pies miał bilet, przeto służyło mu prawo podróży koleją, no, a wycia trudno mu było zabronić. Owszem, przewodnik pociągu stukał kilka razy do psiego przedziału, wykrzykując groźnie:

– Ej, ty tam, bestio, siedź mi cicho, nie trap ludzi!

Nic to jednak nie skutkowało. Dopiero na stacji w Brześciu błysnęła konduktorowi w głowie szczęśliwa myśl, pozwalająca pogodzić przepisy służby z wymaganiami podróżnych. Znalazł się dla hrabiny zupełnie oddzielny przedział w pierwszej klasie i tam też As mógł mieć teraz pomieszczenie. Wprawdzie przepis brzmi wyraźnie, że do przedziałów ludzkich na żaden sposób nie wolno psów wprowadzać, ale konduktor wyjątkowo w tym jednym tylko razie postanowił sobie być krótkowidzącym stróżem prawa.

– Niech pani każe psu położyć się pod kanapę – mówił – a ja udam, że nic nie widzę! Może już raz będzie święty spokój.

Wszyscy byli zadowoleni nie wyjmując Asa; najglówniej zaś radował się służbisty konduktor, który sam przed sobą udawał, iż psa nie widzi!

Wśród takich to przygód dobiła się nareszcie hrabina do Mączyna, gdzie As wszystkim bardzo się zrazu podobał. Służba oglądała go z ciekawością powtarzając coś przez cały tydzień:

– To jest pies z Warszawy, nie taki jak te nasze brysie!

## ROZDZIAŁ VI

*Pałac a miasteczko. – Psy-przybłądy i Apolinary. – Trzy sfinksy. – Lucja. – Florentyna. – Wybryki Asa. – Pani Pelagia. – Romans wśród kwiatów. – Zabawa w guwernantkę. – Koń Karpowicz. – Wyżeł traci opiekunkę. – Zatarg Asa z Lucją. – Przygoda Francuzki. – Co robić, będąc głodnym? – Łój i kapota. – As traci przyjaciela Pała. – Sprawa o sarninę. – Uwagi o prześladowaniu zwierząt. – Wędrówka Asa do miasteczka i zajście z psami.*

Mączyn jest to miasteczko nad Ikwą, wślawioną przez lutnię Słowackiego. Składa się Mączyn z dwóch części, rozdzielonych przez rzekę: na lewym brzegu, wśród wyniosłych drzew parku, znajduje się biały pałac, na prawym – właściwe miasteczko, skromniuchne, obnażone, na którego rynku z daleka już widać krowy, psy, trzodę chlewną i drób rozmaity. Grobla z mostem obie te części łączy, ale tylko w czasie suszy i mrozu; najczęściej ogromne błoto, rodzaj gęstego garusu, na prawo i na lewo ścieka do Ikwy, a pieszy wędrowiec musi się poważnie zastanowić, nim przedsięwzięcie przepławę z jednej strony rzeki na drugą. Stwardniałe błoto grobli odznacza się nadzwyczajną przylegalnością, a ma zawsze taką głębokość, że ściga z nóg buty, choćby nawet były z cholewami za kolana.

Sama Ikwa posiada wszystkie właściwości rzeki pierwotnej, w pełnym znaczeniu tego słowa: wodę bystrą, głęboką, choć bezbrzeżnie rozlaną, obfitość ryb i raków. Fale te poruszają koła wielkiego młyna w Mączynie, unoszą wiosną na swym grzbiecie drzewo ku morzu, a mogą też posłużyć za grób dla zrozpaczonego lub pijanego.

Ludność, ażeby się skomunikować z pałacem, używa głównie własnych nóg; mieszkańcy pałacu w porze błotnej przebywają tę przestrzeń przy pomocy koni lub czółnem. Tak się ma przeto dwór do miasteczka, jak jazda i marynarka do piechoty. Jeszcze trafniej byłoby powiedzieć: życie miasteczka schodzi podług Starego Testamentu, a w pałacu – podług Nowego.

Znamy już po części mieszkańców pałacu w tym składzie, jak zasiadają do stołu, innych uwydatni nam dalszy ciąg opowiadania. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że do pałacu, oprócz jego własnego budynku, należą oficyny, różne domki w ogrodzie, oranżeria i tak zwany „tempel”, to jest letni pałacyk, sprawiający na widzu wrażenie świątyni. Również tutaj zaliczyć wypada fabrykę, szereg większych i mniejszych domów, szop, gdzie sapie i świszcze machina parowa, jęczą młoty kowali, warczą, zgrzytają rozmaite koła zębate i nie zębate, a wszystkie te dźwięki zlewają się w jakąś dziwną melodię, którą pozwalamy sobie nazwać marsylianką przemysłu. Wypala się tutaj cegła, wyrabiają odlewy żelazne, śruby, dziury w żelazie itd.

Przy takim dworze pełno jest żywych stworzeń, o których można powiedzieć na pewno to jedno: „jedzą”. Ów dobry dwór stanowi jakoby misę, co do niej z większymi lub mniejszymi prawami zasiada gromada głodnych i bez skrupułu bierze posiłek. Zwyczajnie, jak to bywa przy pełnej misce, czasem syty próżniak odjada głodnego pracownika, a nieraz nawet sam gospodarz tylko ślinkę łyka, taką myślą pocieszając się jedynie: „Ha, przynajmniej inni zaspokoili głód za moim stołem!”

Żyje tutaj mnóstwo proletariatu począwszy od much i myszy, a kończąc na ludziach. W tę stronę zwracają się pożądlive oczy żebraków, próżniaczych włóczęgów i złodziejów zarówno

ze świata ludzkiego, jak zwierzęcego, a każdy taki ma w duszy myśl utajoną: „Gdzież się pożywię, jeżeli nie w tej oto spiżarni?...”

Po każdym jarmarku, odpuszcie zjawiają się przy kuchni dworskiej jakieś psy nowe, zbiedzone, które z całą obłudą pokornie unizonych nędzarzy ofiarują swoje rzekome usługi ludziom, a psom dworskim – przyjaźń. I zawsze tam coś kapnie. Niekiedy przybędą tego rodzaju, *canis novus*<sup>10</sup>, zρέcznie umie podbić sobie serca, zawładnąć umysłami otoczenia i z czasem zajmuje wcale poczesne stanowisko gwoli zazdrości różnych domowników. Atoli najczęściej ciąży na biedaku piętno niewiadomego pochodzenia: ludzie kopiąc go pogardliwie nogą wyrzucają za drzwi, psy zębami psują mu wełnę, nikt nie chce przypuścić do misy i nędzarz, aby istnieć, musi się uciekać do sposobów surowo przez prawo wzbronionych.

Wreszcie nadchodzi taka chwila, kiedy w okolicy zjawia się pies wściekły albo się nawet nie zjawia, tylko ludzie opowiadają, że się gdzieś zjawił, że biega i kaleczy. Ludzie przy dworze zwracają wtedy baczną uwagę na psy – przybłędy jako materiał nadzwyczajnie podatny do wścieklizny. Apolinary, służyący pałacowy, ponieważ służył niegdyś w wojsku austriackim, więc bierze na siebie w takich razach obowiązek obrony dworu nie tylko od psów rzeczywiście wściekłych, ale i mogących się wścieknąć, podejrzanych o zamiar wścieklizny. Przybłędy mają minki pokorniutkie, skromne, aż do poniżenia wszelkiej psiej godności, że jednak z powodu głodu są łakome, ponieważ noszą ogony nisko i brzydko patrzą, ponieważ pochodzą Bóg wie skąd, przeto trzeba je uważać za niebezpieczne.

Ze strzelbą na ramieniu, z fizjonomią dobroczynnego bohatera uwalniającego ludzkość od strasznych potworów odbywał Apolinary corocznie polowania na psy, które by się wściec mogły. Chociaż były wojak, pudłował tak haniebnie, jak gdyby nigdy nie miał w ręku broni palnej. Niejednokrotnie dziesięć wystrzałów zaledwie wystarczało Apolinarie, ażeby z psa – przybłędy wystraszyć mizerne życie. Można sobie wyobrazić, co za skowyty boleści, jakie wycia przerażenia wydawał taki strzelany nędzarz, zanim opuścił smutny padół płaczu! Inne psy naokoło słuchały z niepokojem trwogi huku strzałów i jęków współ – psa, a ciarki zgrozy je przechodziły. Rycerz psi miał jednak mężne serce...

W takie to rojowisko ludzi, psów, różnych domowych zwierząt dostał się nasz As, pies z Warszawy. Świat jego najbliższych bliźnich przedstawiały przy pałacu w Mączynie trzy wielkie czarne psy, z których każdy miał na piersiach biały kwiatek i białe palce u nóg, znaki należenia niezaprzeczenie do jednej rodziny. Puf, Pif i Paf byli synami matki Ledy, z rasy psów z góry św. Bernarda, i ojca Murata, doga.

Największego z nich, Pufa, służba dworska przezwiała „słoniem” z powodu ociążałości budowy fizycznej i flegmatycznego temperamentu.

Puf, z przydomkiem „słoń”, przyszedł wprawdzie na świat współcześnie z braćmi, posiadał jednak wszystkie cechy pierworodnego syna rodziny: przewagę wzrostu, siły i powagi charakteru. Ogromny ten flegmatyk miał niesłychany wpływ na braci, warczeniem uśmierzał wszelkie ich zatargi, a jeżeli im chodziło o kawałek chleba, zabierał go sobie bez ceremonii i zjadał.

Pif odznaczał się ogonem przełamanym w samym środku i dlatego nie mógł go nigdy całego wzniesić do góry: zadarty ogon wyglądał jak cepy. Wieść głosiła, że kalectwa takiego nabył Pif w zaciętym boju o płeć piękną. Dobroduszny dla ludzi, tchórz na widok kija w ręku człowieka, był pies ten bardzo wytrwały w swoich upodobaniach, nienawiściach i uprzedzeniach względem psów innych.

Co się tyczy Pafa, odznaczał on się wesołym usposobieniem, naturą serdeczną, wylaną do tego stopnia, że jakkolwiek fizycznie bardzo ciężki, z lada kundlem gotów był wdać się w zabawę, swawolić, stroić psie figle.

---

<sup>10</sup> *C a n i s n o v u s* (łac.) – pies nowy

Owe trzy ciężkie psy wylegiwały się zwykle na górnym schodzie pod kolumnadą pałacu w Mączynie i obojętne na wszystko, co się dokoła nich działo, sprawiały wrażenie rzeźbionych sfinksów, dodanych ku większej ozdobie gmachu. Poważną ich nieruchomość zakłócały niekiedy tylko pasożyty, a wtedy już ten, już ów pies skrobiąc się tylną łapą mruczał lub piszczał, utyskiwał na życiowe dolegliwości. Często gęsto atoli pasożyt dokuczał psu zaszywszy się gdzieś w takie miejsce, skąd go pies własnymi zębami wygryźć ani pazurami wygrzebać nie zdołał; wówczas brat bratu spieszył z pomocą, pożyczając mu swoich zębów do walki z drobnym, lecz straszliwie nieznośnym wrogiem. Zdarzały się też wypadki, że bracia, zwłaszcza Pif z Pafem, w uniesieniach gniewu brali się za bary i stacjali zawzięte walki, o których krwawości świadczyły ich podziurawione, powystrzępiane uszy i mnogie blizny po całym ciele.

Podczas pierwszych dni pobytu Asa w Mączynie trzy psy posiadające dotąd wyłączny przywilej wylegiwania się pod kolumnadą pałacu, z nieufnością spoglądały na przybysza, który wyglądał jakoś nazbyt butnie; nieraz otaczały go wkoło, obchodziły, a obwąchując po wsze miejsca, głuchym warczeniem zdradzały mocne niezadowolenie. As – zupełnie jak gdyby wiedział, że wszystko zależy od tego, jak się kto od razu postawi w nowych warunkach bytu. Bynajmniej go nie przerażały ani jakieś tam warczenia, ani wyszczerzanie zębów, ani dumnie wystawione w górę psie ogony; on zdawał się lekceważyć te objawy nieprzyjazne i z dobrą miną psa obytego w życiu całym swym zachowaniem wyrażał taki mniej więcej pogląd:

„Wszystko to nieraz już na świecie widziałem i z doświadczenia wiem doskonale, że pies psa gotów utopić w łyżce wody!”

O wiele mniejszy wzrostem, okazywał za to jak najwyraźniej umysłową wyższość i nigdy a nigdy nie stracił fantazji wobec takich zaczepek, nigdy tchórzliwie nie podwinął pod siebie ogona. Może to, może względy państwa okazywane wyżłowi, a może tchórzowatość Pifa, przyjacielskość Pafa i flegmatyczność Pufa zjednały Asowi wkrótce uznanie u tych psów poważnych. W związku trzech braci on, czwarty, obcy, nie tylko nie stanowił najmniejszego rozdzwięku, ale stał się tu nawet koniecznym jako czynnik uruchamiający te mumie. Szczególniej zaś pozyskał sobie szczerego, dobrodusznego Pafa, któremu wnet mógł bezkarnie zakładać łapy na szyi albo go zębami macać po żebrach, przeskakiwać przezeń jak przez kij, słowem, kołki na łbie ciosać. Z pewnym rodzajem ojcowskiego pobażania pozwalał dryblasowatemu Paf żywemu, ruchliwemu i niespokojnemu Asowi na przeróżne wybryki, których by nigdy nie przepuścił płazem żaden inny pies równie rasowy, okazały, a umiejający się szanować. Przy Asie rozruszały się wielkie psy i coraz częściej puszczały się na wyprawy przeciw różnym czworonożnym, które śmiały wtargnąć w obręb pałacowego dziedzińca; wyżeł zawsze w takich razach szedł na czele.

Potomstwo Ledy i Murata pozostawało pod opieką praczki Łucji, kobiety dobrej, uczciwej, pracowitej, a o te psy niezmiernie dbałej. Asem, czy to na żądanie pani hrabiny, czy z własnej chęci zajęła się garderobiana, panna Florentyna, osoba, która w panieństwie spędziła już trzydzieści kilka wiosen i była kwiatem poczynającym więdnąć bez nadziei odrodzenia.

Leżące od frontu pałacu trzy psy pomimo swojej ociężałości nigdy nie omieszkały powstać, ile razy z daleka spostrzegły Łucją zmierzającą z pałacowych suterren ku oficynie, gdzie się znajdowała kuchnia, pralnia i spiżarnia. Najprzód Puf, za nim Pif, a na ostatku Paf sznurkiem derdały do swojej opiekunki, jedynie aby jej wyrazić swój szacunek i wdzięczność jako karmicielce; załatwiwszy tę sprawę, niebawem powracały na stanowisko przed pałacem.

As, pieszczony zrazu do zbytku przez Florentynę, wrósł niejako w garderobę i wiódł tam między służebnymi niewiastami żywot zepsutego niewieściucha. Do garderoby wolno mu było wchodzić o każdej porze dnia i to bądź drzwiami, bądź oknem, a w garderobie mógł się bezkarnie rozkładać po łózkach, stołkach; gdy mu się podobało, mógł się wspiąć na tylnych łapach i pierwszą lepszą dziewczynę liznąć po twarzy. Swawolny, psuty pieszczoł, kiedy się

wyrwał z garderoby, mniemał, że i na świecie wolno mu wyrabiać, co zechce. Często wracał na dziedziniec z ogromną ochotą, żądzą psoty, a spotkawszy jakąś nieznaną kobietę obrywał na niej spódnice. Innym razem zdierał Żydom czapki z głowy, dziurawił chałaty, a nie, to się rzucał na stado indyk, rozpędzał je na cztery wiatry podskubawszy jedną, drugą. Z krzykiem pierzchały przed nim kury wlatując na parkany, dachy, drzewa.

Puf, Paf i Pif patrzyły z początku na taką rozpustę z niejakim zdziwieniem, później porywał je szalony temperament Asa i od czasu do czasu brały także czynny udział w napastowaniu ludzi, trapieniu domowych zwierząt.

Kobiety, mające dozór nad kurnikiem i domowym gospodarstwem w ogóle, poczęły niebawem sarkać utrzymując, iż pies warszawski buntuje inne psy, a z tego powodu drób ma nadzwyczajnie ścieśnioną swobodę. Stąd to pomiędzy panią Pelagią, naczelną gospodynią spiżarni i drobiu w Mączynie, a panną Florentyną, garderobianą, niegdyś serdecznymi przyjaciółkami, wybuchnęły bardzo przykre niesnaski: najprzód ostra wymiana słów w oczy, potem obustronne oczernianie się za oczy i otwarta wojna domowa, której odgłosy obijały się niejednokrotnie o uszy hrabiny i hrabiego. Zawieść ta doszła do szczytu, gdy As w przystępie wyuzdanej swawoli udusił najokazalszego indyka i najbardziej jajorodną kure. Przypomniały mu się lekcje Olfasa. Gorzej jeszcze, gdy nastąpiły również pełne znaczenia szkody w drobiu. I była taka chwila nawet, w której się zachwiało stanowisko wyżła przy dworze; sfery bowiem mające stanowczy wpływ na przebieg spraw tego rodzaju zadawały sobie pytanie: „Do czego dojdzie, jeżeli pies nie zmieni swego postępowania?”

No, ale Miecio był wtedy na wakacjach i chociaż go As zawiódł uciekając ciągle do garderoby, on jednak stanął w obronie wyżła. Przycichły mowy o przestępstwach Asa, a jednocześnie kury i indyki, nauczone przezorności smutnym doświadczeniem, trzymały się teraz z daleka od dziedzińca, gdzie im zagrażało spotkanie z niebezpiecznym wyżłem.

Tymczasem stopniowo przygotowywała się zmiana stosunków. Okna garderoby wychodziły na ogród, a drzwi znajdowały się na wprost mieszkania pana Wiktora, ogrodnika, z zamiłowaniem oddającego się szlachetnej sztuce hodowania kwiatów. Wyskoczywszy oknem z garderoby As spotykał zwykle na kwietniku ogrodnika; wybiegłszy znowu przez drzwi, jako wścibski, wpadał częstokroć po sąsiedzku do mieszkania pana Wiktora. Nikogo to nie zadziwi, że pies zawiązał poufalsze stosunki z człowiekiem, którego kilka razy dziennie spotykał na drodze swego życia. Przy tym ogrodnik był to człowiek łagodny, uprzejmy i kawałek poety, co nasz wyżeł umiał ocenić i wyzyskać. Garderobiana pragnęła niepodzielnie posiadać przychylność Asa, wyglądała za nim często, a widząc go w towarzystwie ogrodnika słodkim głosem przyzywała do siebie. Wyżeł, przyzywany, to podbiegał ku oknu, to znowu w podskokach wesoło wracał do pana Wiktora między kwiaty. Sceny takie powtarzały się coraz częściej, trwały coraz dłużej i nareszcie panna Florentyna poczęła więcej uwagi zwracać na ogrodnika niż na Asa. Chybaby oczu nie miała, gdyby postąpiła inaczej! Kiedy rankiem otwarła okno garderoby, świeże i wonne powietrze biło ku niej z kwietnika; rzucały jej się w oczy kwiaty o prześlicznych barwach, zdobne brylantami rosy, a między kwiatami widziała człowieka oblanego promieniami porannego słońca i sprawiającego wrażenie opiekuńczego bóstwa kwiatów. „Ach, gdybym była jednym z tych kwiatów, które on hoduje!” – mogła sobie pomyśleć i zapragnąć panna Florentyna. A miała do tego prawo, ponieważ była rzeczywiście kwiatem, potrzebującym uprawy ogrodnika. Któż kobieta nie jest kwiatem? Dla kwiatów, gdy więdną, lepiej się dostać bodaj w zielnik botanika niż schnąć i kruszeć na słotach, marznąć wśród mrozów.

W ten sposób za pośrednictwem psa powstał romans uczuciowy, jeden z tych, na które się patrzy co dzień z obojętnością, a odczytuje się je w książce ze łąką wiszącą na oku. Jednakże w miarę tego, jak pan Wiktor przenikał coraz głębiej w serce panny Florentyny, As coraz bardziej tracił jej łaski. Gdyby to nie był dwór bardzo ludny, nasz wyżeł rychło zszedłby tu na psa bez przyjaciela, co mu się już nieraz w życiu zdarzało.

Szczęściem dla Asa było, że w Mączynie istniały znaczne usiłowania wychowawcze, i to zarówno w pałacu, jak w „temple”, w oficynach: pełno dzieci i wychowawców płci obojej. Tylko niech nikt nie sądzi, że jakiś żeński lub męski pedagog zwrócił na psa uwagę i przypuścił do obcowania z sobą! Ludzie tego cechu tępieją umysłowo, lodowacieją uczuciowo i po pewnym przeciągu czasu stają się obojętni na przedmioty tak pospolite jak zwierzęta. Człowiek przywykły ciągle wyrokować, łamać wolę i upodobania dzieci, a narzucać im swoje własne, łatwo się staje krótkowidzem, k tóry w świecie nic nie widzi, nie kocha – oprócz siebie. Za to świeże, wrażliwe umysły dzieci i ich zawsze szczerze, dobre serca poszukują dla siebie przedmiotów wychowawczych w świecie zewnętrznym, poza książkami i kajetami w różnokolorowych okładkach. A nic się malcom tak nie rzucało w oczy jak ten As, pies nadzwyczajny, co ruchem swoim ożywiał głównie dziedziniec w Mączynie. Mianowicie też podczas wakacyj szkolnych roila się dziatwa około pałacu, pod owe porę bowiem zjeżdżała tutaj rodzina profesora Kernerera z Warszawy i wtedy na obszernym dziedzińcu, po wszystkich jego ścieżkach, można było widzieć uśmiechnięte twarzyczki, słyszeć wesoły szczebiot dzieci. Rozumie się, że w takim położeniu rzeczy Asowi nie brakowało przyjaciół. Marysia, Stefuś, Romcio, Tadzio, Antoś – wszystko cztero-, pięcio-, sześć-, siedmiolatki – wyborne towarzystwo, do którego pies lgnął bardzo ochoczo, a malcy odpłacali mu wzajemnością.

– Ja będę *mademoiselle* – mówiła Marysia – a ty, Asie, będziesz się u mnie uczył i musisz mię we wszystkim, a wszystkim słuchać!

No i wyżeł z całą uległością pozwalał się dziewczynce tak dręczyć, jak różni wychowawcy w spódnicach dręczą swoje wychowanice; czasem tylko ziewał.

Częstokroć w takiej zabawie pedagogicznej uczestniczyły także trzy wielkie psy, wyobrażając dla dzieci uczniów płci obojej. Marysia stale bywała nauczycielką – *mademoiselle*, Tadzio odgrywał rolę papy, Stefuś – mamy, Antoś zasiadał między psami jako uczeń i składał dowody, że jest dobrym kolegą; Romcio siedząc z tyłu za psami wyrećzał je w odpowiedziach, ilekroć tego wymagało pytanie nauczycielki. Usadzano wtedy cztery psy i Antosia rzędem na jednym ze schodów, a przed każdym uczniem leżała otwarta książka francuska albo niemiecka. As nosił imię Maniusi, Puf – Frani, Pif był Adasiem, Paf Stasiem.

Marysia rozpoczynała nauczanie od zalecenia, aby się uczniowie nie garbili, aby siedzieli prosto i uważali, a Romcio pociągnął z tyłu tego i owego, zniewalając do przybrania właściwej pilnemu uczniowi postawy.

– Maniu, powiedz, jak po niemiecku chleb!

Na to siedzący z tyłu za psem Romcio odpowiadał:

– *Das Brot*.

Jeżeli uczeń nie dawał odpowiedzi na pytanie, nauczycielka przybierała groźną minę i zwracała się do mamy z taką skargą:

– Proszę pani, Mamusia jest uparta, zupełnie się opuszcza w naukach i wcale mię nie chce słuchać!

Wtedy Stefuś wyobrażający mamę nastrojał się poważnie i występował do psa z nauką moralną:

– Bój się Boga, Maniu, co ty wyrabiasz? Zaraz mi przeproś *mademoiselle* i przyrzecz jej, że się poprawisz!

Następowała ceremonia doprowadzenia Asa – zwykle za uszy – do zadanej niby to nauczycielki, która się wreszcie dawała przebłagać i dalej odbywała lekcje.

Za córkami w takich razach ujmował się ojciec przemawiając do matki:

– Czego ty, moja żono, chcesz od Maniusi? Dziewczyna dobra, robi, co może... Tylko ta *mademoiselle* jest nieznośna ze swymi skargami i dlatego jej Manusia nie słucha.



– Ja wiem – odpowiadała matka – że Manusia jest dobra dziewczyna, *mademoiselle* nieznośne pannisko, ale skoro się *mademoiselle* przede mną poskarżyła, Manusia musi ją przeprosić.

Kiedy znowu przewinił któryś z rzekomych chłopców, nauczycielka zanosila skargę do papy, a ten łajał Stasia czy Adasia mniej więcej w takie słowa:

– Jak to, znowu dzisiaj nie umiecie rozmówek niemieckich?... *Mademoiselle* powiada, że żaden nie wie, co znaczy *guten Morgen*... Oj, wy, niedobrzy chłopcy! Straszne rzeczy nie wiedzieć, co znaczy *guten Morgen*! Doczekacie się tego, że którego dnia za karę nie pozwolę wam siedzieć przy stole.

Ujmowała się czym prędzej za synami mama i tak strofowała papę:

– Dlaczego ty, mój mężu, ciągle marudzisz na Stasia i Adasia? Czy nie widzisz, że to są dobrzy chłopcy, a tylko *mademoiselle* jest zła, nieznośna?

– Ja wiem – odpowiadał papa – że Staś i Adaś są bardzo dobrzy chłopcy, a *mademoiselle* jest zła i nieznośna, ale skoro się *mademoiselle* przede mną poskarżyła, oni ją muszą przeprosić... Gdzie ja będę szukał innej guwernantki?

Zdarzały się też wypadki, kiedy zniecierpliwiona Marysia kazała któremu psu stać w kącie za karę i łajała go używając wyrazów takich samych, jakie słyszała z ust swojej nauczycielki:

– Siedzisz jak bałwan i ani się ruszysz! Jesteś podobna do cielęcia, które tylko beczeć umie!

To znowu wiodła swoich uczniów na przechadzkę, prowadząc z nimi konwersację niemiecką i powtarzając nieustannie:

– Męcę się dla waszego dobra, chcę wam dać rozum, a wy, głupcy, nie umiecie tego ocenić. Ach, życie mi już przy was zupełnie obrzydło!

Naturalnie, psy się ogromnie nudziły tą zabawą dzieci, ale okazywały taką samą cierpliwość i wytrzymałość jak dzieci podczas lekcji ze swymi guwernantkami. Gdy się jednak na dziedzińcu albo za bramą pojawił jakiś przedmiot żywy, godny psiej uwagi, As zrywał się natychmiast od lekcji i ze szczekaniem pędził co tchu sprawdzić prawa pobytu tej istoty w okolicach pałacu. Inne psy wcale się do lada czego nie kwapiły, tylko na miejscu wyczekiwały, co za skutek wydadzą Asowe zwiady. One to nieraz już sprawdziły, że ten wyżeł wariat zapala się na widok wrony, a nawet na marnego wróbelka gotów jest do upadłego szczekać.

Niekiedy atoli urywał się z uzdy w stajni koń, nazwiskiem Karpowicz, i wpadał na dziedzińiec; w takich razach *mademoiselle* nie zdołała już ani jednego ucznia przy lekcji zatrzymać. O, bo Karpowicz co innego! Dzieci Ledy i Murata, tak obojętne zwykle, jeśli ich As nie podniecał, wpadały jednak w zapał wojenny, gdy spostrzegły Karpowicza. Miały one dawne rachunki z tym koniem, który je ogromnie lekceważył, a każdy z trzech braci nieraz od niego kopytem oberwał pamiątkę.

Karpowicz był to sobie stary szkapa, który na starość jadł w Mączynie chleb łaskawy, a tylko czasami używano go do drobnych posług przy dworze. Ale nie należał on bynajmniej do rzędu owych niedołącznych staruszków, którzy w kalectwie i dolegliwości spędzają swoje sędziwość; przeciwnie, Karpowicz sprawiał wrażenie krzepkiego ćwika – starca z minionego pokolenia, co to do późnych lat przechowuje fizyczną dzielność i umysłową trzeźwość, a o którym się zwykło mawiać: „choć stary, ale jary”. – „Stary, a niejednego by młodego przeskoczył”.

Puf, Pif i Paf wiedziały, że krowa, cielę, bezrogi czworonóg, nawet każdy inny koń za pierwszym ich szczeknięciem i natarciem w popłochu uchodzą; przeto trzy pałacowe psy niechętnie robiły wyprawę na tak łękiego przeciwnika. Co innego Karpowicz, stary zuch, który w niczym miał psi zawziętek! Wpadłszy po junacku na dziedzińiec, z ogonem w górę zadartym, zabierał on się czym prędzej do sianozęcia, gdyż trawa bujna, piękna, smaczna i zapewne miękka dla starych zębów, obficie porastała przed dworem. Posiłał się szkapa nic a

nic nie zważając na to, że go nieraz otaczały cztery psy, zawzięcie ujadające, a nie mające jednak nigdy tyle śmiałości, aby dopaść i zębem chwycić. Już tą pogardliwą obojętnością doprowadzał koń swoich przeciwników do ostateczności, widocznie drwił sobie z nich, jak gdyby miał przekonanie, że „pies szczeka, wiatr niesie”.

Psy najniezawodniej uważały Karpowicza za zuchwalca, którego koniecznie należało upokorzyć, gdyż zawsze napadały nań z ogromną zajadłością, srożyły się do upadłego, jak gdyby nie traciły nadziei, że go raz nareszcie zdołają poskromić i sromotnie z dziedzińca wypędzą. Te trzy sfinksy, leniwe w każdym innym przypadku, na jego widok zawsze z gorączkowym pośpiechem pędziły spod pałacu, jak by im gniew skrzydła do nóg przyprawił, i rozpoczynały naganę.

A Karpowicz – nic, tylko chrupał zębami i ogonem od much się oganiał. Dopiero kiedy psy podostawały już chryпки, spieniły się od złości, a jemu się uprzykrzyła ta zaciekle wrzawa, wtedy stulał uszy, zadzierał w górę ogon, łeb spuszczał na dół i po rycersku, w susach uderzał na psa, który był najbliżej. Napadnięty zmykał w ogromnym przestachu, koń zaś gnał za nim, groźnie waląc kopytami o ziemię. Podczas tego harcu Karpowicz wierzgał straszliwie, dając nieprzyjacielowi do zrozumienia, że przystęp i od tyłu wcale nie jest bezpieczny. Zapasy owe kończyły się zwycięstwem konia, mniej lub więcej krwawym; najczęściej jeden z psów uchodząc z pola walki kulał i spokojnie wracał pod pałac, gdzie potem bardzo troskliwie wylizywał ranę. Często jednak koński kułak zawadził o psi łeb, a wtedy oszołomiony ciosem zapaśnik przez jakiś czas trząsł uszema w przekonaniu, że taki ból można z głowy wytrząsnąć, i jednocześnie wrzeszczał wniebogłoso: – „a-uu, a-uu!”

Tymczasem w uczuciach panny garderobiany coraz mniej miejsca było dla Asa, a ostatecznie poczęto go nawet kijem przepłaszać i odstręczać od wszystkiego, co tchnęło garderobą. Obecność bowiem choćby najprzyjemniejszego i bardzo ulubionego psa może człowiekowi być czasem nie na rękę. I wtedy się go odpędza: „A pójdiesz! A do budy!” Jeżeli pies nie słucha, jeżeli jest tak przywiązany do swojego przyjaciela – człowieka, że go nie chce opuścić, bierze się nań kija...

Stosunki panny Florentyny z ogrodnikiem przybrały wkrótce charakter poufałości, który nie pozwala, ażeby dwa serca, przepelnione uczuciami i mające sobie wiele do powiedzenia, znosiły jakiego bądź świadka. Rzeczywiście, pies nie jest pożądanym świadkiem miłosnych oświadczeń, zwłaszcza też pies z upodobaniami Asa, który w jakiejś ważnej, stanowczej chwili uniesień mógłby, na przykład, warknąć lub szczeknąć. Takie tajemnicze, lube, pełne uroku wyznania można wyszeptywać mając za świadków tylko rozśpiewanego słowika, szmer strumienia, kwiaty, księżyc i gwiazdy, ale przecież i bez tego obejść się łatwo. Cienisty szpaler, altana, ustroń jakaś samotna były, są, i będą po wszystkie czasy przybytkami par zakochanych. Pies, wrażliwy na najmniejszy szmer, węszący z daleka, słowem, trzymający na straży ciągle uszy, nos, oczy, a gotów oszczekiwać swoje drobiazgowo spostrzeżenia, może łatwo sprowadzić na miejsce miłosnej schadzki kogoś niepotrzebnego, którego ucieszy takie odkrycie. Z tego powstają potem przy dworze bajki, obmowa.

Więc panna Florentyna, osoba wcale już nie lekkomyślna, chociaż gorąco zakochana, dawała teraz Asowi ciągle do zrozumienia, że sobie bezwarunkowo nie życzy pozostawać z nim na tej stopie poufałości, na jakiej dotąd żyła. Nasz wyżeł z początku nie dowierzał zmianie, nie pojmował, czym sobie zasłużył na takie przejście garderobiany z czułości do wstrętu. Częstokroć wieczorem pobiegł do ogrodu za swą przyjaciółką, a odpędzany przystawał na ścieżkach i z oddalenia spoglądał, jak gdyby chciał wyrozumieć przyczynę jej dziwnego postępowania.

Widział on, że po niejakiem czasie nadchodził pan. Wiktor z kwiatkiem w ręce, z kwiatkiem w dziurce od guzika, nadskakujący, i następnie ta para ludzi wśród szeptów zapuszczała się w głąb ogrodu. Pies z wolna pomykał za nimi jeszcze nieco dalej, ponieważ z tego, co dotąd spostrzegł, nie mógł żadnego zadowalającego wniosku wyprowadzić. Że atoli

pan ogrodnik szedł z laską i często się oglądał, a doświadczenie życiowe nauczyło Asa, aby takim ludziom z laskami nigdy nie dowierzać, przeto instynkt zachowawczy brał zwykle górę i pies wracał do domu. Jeden jedyny raz tylko pozwolił się unieść uczuciu przywiązania psiego do panny Florentyny w przekonaniu, że jej zrobi bardzo miłą niespodziankę, gdy, nieoczekiwany, nagle przed nią wystąpi z gąszczu krzewów. Długo potem czuł swędzenie w tych miejscach na ciele, których wtedy dotknęła gibka trzcinka pana Wiktora. Ostatecznie wyżeł znienawidził ogrodnika, a rozczarował się względem garderobiany.

Wzgardzony w taki sposób, As czuł wyraźnie, że mu się w Mączynie grunt usuwa pod nogami, zwłaszcza gdy po skończonych wakacjach i dzieci stąd powyjeżdżały, a te, które zostały w miejscu, *mademoiselle* zapędzała do roboty nie dając im czasu na miłe stosunki z wyżłem. Chadzał więc przed pałac, gdzie było niejako psie *forum*, i tu nakłonił niekiedy Pafa do zabawy, pragnąc sobie gorycz pożycia z ludźmi osłodzić tymi wybrykami szału spod szubienicy: chciało mu się nieraz jeść, płakać, a on figlował. As był psem bardzo lekkomyślnym, jako wyżeł prawdziwie rasowy i źle wychowany.

Innym razem znowu zasiadał warszawski pies między trzema sfinksami i z górnego schodu przed pałacem przyglądał się rozmaitym ludziom, jak gdyby rozważał, do kogo teraz wypadało mu zwrócić swe uczucia, ażeby sobie przy dworze pozyskać sprzymierzeńca, Gdyby to mógł zjednać sobie taką panią Pelagią, klucznicę! W jej rękach był zarząd chleba, nabiału, mięsa, przeróżnych wędlin, tłuszców, zwierzyny. Cóż kiedy wyżła obciążała wina morderstwa kilku sztuk drobiu, które istotnie udusił, i kilku innych, które uduszono już na jego rachunek! A pani Pelagia była tak zacięta w swoich upodobaniach i niechęciach, miała przy tym w domu taką powagę, że gdy jej przyszło coś do głowy, to się uparła i nawet panu hrabiemu nie chciała wydać śmietanki do herbaty. Jakże tu dopiero myśleć, ażeby taka kobieta mogła psu winę przebaczyć? Zresztą, ona już przypuściła do łask swoich zwyczajnego kundla, czarnego, z białym podgardlem, z ogonem w kółko na bok zakręconym, lizusa z niskim służalczym charakterem. Zaszczycony laskami kobiety z takim znaczeniem pies ten był niezwykle śmiały, odważał się szczekać na różnych mieszkańców pałacu i na psy pałacowe. Prawda, że tylko z daleka szczekał, jednak szczekał.

Na pańskim dworze nie skąpiono nikomu głodnemu kawałka chleba, ale kto chciał tutaj żyć, koniecznie musiał mieć jakieś stosunki, musiał chleb dostawać z czyjejś ręki, jeżeli go przypadkiem kraść nie zamierzał. Brak takiej mianowicie chlebobawczej ręki pociągał to następstwo, że można było nieraz bardzo cienkim głosem śpiewać, szczególnie też będąc psem. Jeżeli się nikt za tobą nie wstawił, nie zalecił, aby na ciebie obiad wydano, nie pomyślał, żeś głodny, że nie należysz do żadnego stołu, to mogłeś marnie zginąć.

Psy pałacowe miały opiekunkę, nieocenioną Łucją; Szumlas, ów dworak z kundłów, miał Pelagią; Mars i Rudek, dwa psy, które utrzymywały straż już przy stajni, już przy oborze, cieszyły się względami stangretów, dziewczek; Cybulka, maleńka suczka podobna do świnki morskiej, trzymała się wyłącznie nogi Makarka, stangreta hrabiego. Różne zaś psy przybłądy tak sumiennie pilnowały każdziuteńkiej kosteczki wyrzuconej z kuchni i taką w tym rzemiośle już miały wyćwikę, że się tam przy nich mucha pożywić nie zdołała. Służący je bili i kopali, inne psy skubały, szarpały, kaleczyły, a te biedaki z całym żebraczym cynizmem trwały na zajętych stanowiskach.

Wśród takich stosunków wyżeł nasz, zaniedbany przez pannę Florentynę, znalazł się na razie w dosyć przykrym położeniu. Nie dokarmiony raz i drugi, garnał się do niewiast. Kiedy bowiem chodzi o dzieła miłosierdzia, kobietę łatwiej wzruszyć niż mężczyznę, ale jeżeli kobietą kierują jakieś poboczne względy, uprzedzenia, jest ona wtedy daleka od litości, a może stać się okrutną.

W obcowaniu z ludźmi As zdobył sobie to doświadczenie, że zawsze w trudnych życiowych przypadłościach, ile razy mu przychodziło wybierać między płciami, zwracał się do człowieka w spódnicy, bez wąsów i z długimi włosami. Otóż i teraz rozpoczął umizgi do

praczki Łucji, która nadzwyczajnie punktualnie, gorliwie spełniała obowiązek nad trzema braćmi sfinksami, dzięki temu psy nie miały nigdy potrzeby drzeć przed przyszłością i wyglądały niczym karmione na rzeź cielaki. Bez żadnego dopominania się żywność dochodziła je codziennie w godzinie oznaczonej, ponieważ zacna niewiasta pamiętała o tym i sama podstawiała porcje psom pod pyski. Troszczyła się zaś nie tylko o pożywność i smakowitość stawy, ale i o zdrowotność. Dobierała potrawy właściwe, a przygotowywała je tak starannie, że najwybredniejszy pies – smakosz nie miałby tu prawa skarżyć się na kuchnię – palce lizać.

Musiał to As zbadać i należycie ocenić, skoro jednego razu uderzył w koperczaki do panny Łucji żwawo podrygując i przymilając się uprzejmym merdaniem ogona, a jednocześnie przysuwając się coraz bliżej do miski.

– Widzisz go, jaki elegant! – krzyknęła z gniewem praczka, która miała urazę do Asa o to, że będąc ulubieńcem garderobiany, dosyć ją lekcewał. – Czy to ty, warszawski paliwodo, nie masz swojej Florki?

I z tymi słowy zdjęła czym prędzej z nogi przyklapany trzewik, ażeby odpędzić od miski psa, który z całą namiętnością i pośpiechem głodomora wielkimi łykami wciągał w siebie kwaśne mleko z kawałkami chleba.

Uderzony w nos twardą podeszwą w chwili tak ważnej As się oburzył, warknął złośliwie, pochwyił zębami trzewik i upuścił go w miskę z kwaśnym mlekiem... Trzeba było widzieć, w jaką złość popadła teraz ta dobra osoba!... Pierwszy oreż, który w uniesieniu wpadł jej pod rękę, była to leżąca na blasze żelazna dusza do prasowania, ale dusza widać jeszcze nie ostygła i poparzyła palce praczce. Stąd jeszcze gwałtowniejsza zawziętość. Zanim się Łucja dobrała do pogrzebacza, As już pochłonął całą porcją mleka, przygotowaną dla przyjaciela Pafa, który z boku dobrodusznie przyglądał się zajściu. Wyżeł, rozumie się, dał nura, aby uniknąć spotkania z pogrzebaczem. Szalona z gniewu kobieta wywarła złość swą na Pafa, palnęła go porządnie, wykrzykując:

– Oj ty, gamajdo!... Pies jak stodoła i pozwolił, żeby mu taki pędziwiatr sprzątnął obiad sprzed nosa!...

To zajście pamiętne wykopało raz na zawsze otchłań między wyżłem i praczką; pies uczuwał dotkliwie brzemię życia, do którego utrzymania koniecznie jeść trzeba. Spomiędzy wszystkich ludzi w Mączynie najczęściej rzucała mu się w oczy panna, ale stara panna, Henryka, Francuzka, która przed kilku laty zajmowała w pałacu stanowisko bony. Sprawiała ona na Asie tak osobliwe wrażenie, że gdyby był człowiekiem, niezawodnie postawiłby jej pytanie: „Co panią trapi? Dlaczego pani jest smutna?”

Rzeczywiście, trudno dociec, jaki był powód smutku panny Henryki. Zupełnie nic nie robiła, zawsze miała apetyt godny naśladowania, chadzała spać z kurami, a wstawała, kiedy kury już od dawna używały życia. I mimo to jedwabne życie była jednak smutna, wyglądała jak wdowa, która właśnie co tylko straciła ukochanego męża. Może przyczynę stanowiło staropanieństwo?... Ależ w Mączynie była istna galeria starych panien, a żadna z nich nie smuciła się tak dalece. Prawda i to, że ze wszystkich spraw całkowitego ludzkiego życia smutek jest dziełem najłatwiejszym do wykonania, a przy tym niektóre niewiasty mają przekonanie, że im ze smutkiem bardzo do twarzy: melancholiczny smutek czyni fizjonomią interesującą, dodaje jej uroczystości, zjednywa współczucie, pociąga. Smętne osoby tego rodzaju lubią cukierki, konfitury, białe kwiaty, czarne ubranie, rumienią się, spuszczaają oczy, wzdychają, płaczą z ogromną łatwością i wszystkie te znamienne cechy przechowują do późnego wieku.

As nie miał przekonania do panny Henryki, może z powodu, że melancholia czyniła ją nudną, może dlatego, że rozmawiała z nim po francusku, a może też, że go nigdy nie obdarzyła czymś takim, co wychodzi na rzetelny pożytek organizmu – najwyżej, jeśli mu kiedy rzuciła nie dojedzony kawałek cukierka. Mógł sobie pies jednakże pomyśleć, iż

rozruszawszy tę tkliwą kobietę dałoby się z niej wyciągnąć pewne korzyści w bliższym obcowaniu.

Pewnego dnia więc widząc idącą na przechadzkę pannę Henrykę pies puścił się za nią całym pędem i w chwili kiedy schodziła z pagórka na dół pogrążona w dumaniu, on podskoczył i przednie łapy oparł na jej plecach. Taki wybryk z jego strony oznaczał chęć i wyzwanie do jakiejś wesołej zabawy! Po świeżo atoli spadłym deszczu ziemia oślizgła i nagle zaskoczona z tyłu Francuzka najprzód pomknęła z góry jak na łyżwach, potem twarzą padła na ziemię, dalej jeszcze staczając się po pochyłości. Wszystko to narobiło nieładu w jej garderobie. Z kolei rzeczy przestraszył się teraz wyżeł, skoro spostrzegł tę nadzwyczajność, że upadająca kobieta była czarna, a jest oto cała w bieliźnie... Odskoczył zdziwiony o kilka kroków i począł żwawo oszczekiwać tak niezwykle zdarzenie – przemianę osoby czarnej w białą. Podczas tego biedna panna Henryka z głową na dół, z nogami w górze, nie mogła znaleźć punktu oparcia, aby się wygramolić, podźwignąć. Aż nareszcie jęki jej i szczekanie Asa sprowadziły tam ogrodnika i ogrodniczków, którzy wybawili upadłą niewiastę z wielce przykrego położenia. Za złe im tego brać nie można, że na ratunek spieszyli z uśmiechem na ustach, gdyż rzecz była bardzo śmieszna. Przybyła Asowi nowa nieprzyjaciółka. Francuzka ta, kobieta z gołęmbim sercem, miała do psa urazę nie o to, że upadła, tylko że upadła tak, a nie inaczej, że ogrodnik i jego pomocnicy, mężczyźni, widzieli ją w ten sposób leżącą. Nie mogła pomyśleć o tym fatalnym wypadku bez rumieńca na twarzy, a myśleć musiała, ilekroć spostrzegła Asa.

Nastała twarda w tym roku jesień, spadł śnieg, chwyciły dobre przymrozki, a to wszystko zwiększyło tylko apetyt wyżeła. Biedaczysko schudł, posmutniał i ludzie powierzchownie o rzeczach sądzący twierdzili, iż pies najniezawodniej ma w sobie jakąś ukrytą chorobę. Zdechnie, to zdechnie, świat się o psa nie zapadnie. Stosunki wcale się nie zmieniły, obiadów na Asa nie wydawano, a jego nieprzyjaciółki ciągle nań krzywym okiem patrzyły; słowem, pies żył, jak to powiadają, psim swędem.

Jest to niezmiernie uciążliwe przez całe życie wszędzie nosić z sobą żołądek i nieubłaganą potrzebę zaspokajania jego głodu. Caluteńki żywot sprowadza się w gruncie rzeczy do uczuwania głodu i przemyśliwania, jak go zaspokoić. Trzeba sobie łamać głowę, brać się na sposoby, wyzyskiwać stosunki, tworzyć zuchwałę pomysły, ostrzyć swą odwagę, aby tylko nie umrzeć z głodu.

Czasami wychodziła z pałacu pani hrabina, widząc zaś, że każdy ze sfinksów jest na zwykłym miejscu, a As pomiędzy nimi, rada była temu porządkowi i tytułem łaski, wynagrodzenia za chwalebny wytrwałność w dobrem, częstokroć dawała każdemu psu po grzance albo po obwarzanku. Nie wiedziała ona przecież o tym, iż wyżeł należący do Miecia cierpi w jej domu niedostatek i od jakiegoś czasu jest ofiarą zawitych stosunków, rozmaitych okoliczności w grę tu wchodzących. Wychodziła też na przechadzkę panna Maria z uczennicą swoją, panną Zofią, i jeśli to była pora, w której mówiono o psie wściekłym, wtedy z tyłu o piętnaście kroków szedł za nimi pogromca psów wściekłych, Apolinary, z dubeltówką pod pachą. Pochód ten atoli miał w sobie tyle jakiejś zimnej obrzędowej powagi, tak znać było, że czysta pedagogika idzie, iż pies obrzucił tylko okiem fizjonomie i zawracał od połowy dziedzińca, jak gdyby sobie w duszy powiedział: „Nie ma tu nic a nic do zrobienia w sprawie, która mię najgłówniej obchodzi!”

Drobnym, szybkim krokiem przebiegał też nieraz hrabia od pałacu do fabryki, a prawie zawsze miał dla psów jakieś przychylne słówko w ustach i niekiedy parę kawałków chleba w kieszeni. Ha, dobra psu i mucha!

Lada pies w Mączynie doskonale wiedział, że ta strona, w którą hrabia chadzał, nie posiadała ani kuchni, ani spiżarni, ani żadnego zakładu z zapasami artykułów spożywczych. Mimo to As poszedł za hrabią na fabrykę. Należy przecie własnymi oczyma przekonać się o wszystkim, bo nuż...

W samej rzeczy, zbliżając się ku owym warsztatom wyrobów twardych, nie dających się imać psim zębom, wyżeł węszył jakieś ciepłe, miłe zapachy, coś w rodzaju tłuszczu, który się skwarzy na rozpalonej blasze. Im bliżej fabryki, tym go przyjemniej woń w nos uderzała rozbudzając chęć łakomstwa. Przybywszy już na miejsce czuł wyraźnie, że ponętny zapach zupełnie tak pływa w atmosferze, jak gdyby tam kto na smalcu pączki smażył. Karnawał czy coś takiego?

Pies nie zważał teraz wcale na straszliwy stuk, trajkot kół i kółek, ale ze skwapliwością istoty głodnej od razu rozpoczął szukać nosem, powszędy wietrząc. Miła woń pochodziła w części z nasmarowanych tłuszczem i rozgrzanych różnych członków maszyny parowej, a w części z łoju, którego przetapianie dopiero co ukończono na fabryce przed przybyciem tu pryncypała. Taki łoż jest rzeczą cenną, budzącą pożądanie nie tylko u każdego psa, lecz i u niejednego człowieka. Otóż, pracujący przy maszynie palacz cichaczem ulął sobie był w dzbanek roztopionego łoju, postawił to około maszyny, a dla niepoznaki nakrył swoją kapotą.

Wałęsając się po fabryce, z nosem puszczonego na zwiady, As dotarł nareszcie do utajonego dzbanka, wsadził nos pod kapotę i począł wachać w taki sposób, jak to zwykle czynią psy, gdy znajdują mysia jamę. Posiadacz przywłaszczzonego łoju bacznie śledził ruchy wyżła, ale nie wypadało mu przecież po grubiańsku kijem odpędzić psa w obecności hrabiego. Usunął więc tylko kapotę spod maszyny, obwinął ją starannie dzbanek i cały ten pakunek położył na drewnianych schodkach, po których się w razie potrzeby wylazi na wierzch maszyny. Dzbanek i kapota znajdowały się teraz na górnym schodzie; wyżeł stanął zaś u stóp schodków, wyciągnawszy nos do góry; w dalszym ciągu napawał się wonią łoju. Kiedy nareszcie palacz, pewny, że łożowi już nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo, gdzie indziej zwrócił uwagę, pies wspiał się na schodki, chwycił zębami koniec kapoty i o tyle ją sobie przyciągnął, o ile mu to było potrzebne, aby mógł czynić dalsze poszukiwania. Wskutek tych usiłowań nie skrępiły jeszcze łoż sączył się z dzbanka i wsiąkał w watowaną kapotę, czyniąc ją tym ponętniejszą dla Asa, który przednimi łapami przytrzymywał walący się na dół ładunek, a w kapocie gmerał nosem i językiem.

Mocno się przeraził i zadziwił palacz, gdy ujrzał psa wyciągniętego jak struna na pochyłych schodkach, a całym łbem zagrzebanego w fałdach kapoty: toż kradzież łoju z łatwością na jaw wyjść mogła. Jednakże w tym trudnym położeniu nie stracił przytomności umysłu, pobiegł co żywo, odkręcił kranik świstawki i wypuścił parę tuż nad samym łbem wyżła. Rozległ się świst piekielny, tak przeraźliwy, że pies nic podobnego nigdy jeszcze w życiu swoim nie słyszał. As chwilowo zgłupiał z przerażenia, ale i on niezupełnie stracił przytomność umysłu, gdyż nie popuścił z zębów przełożonej kapoty i unosząc ją, jak szalony skoczył ze schodków, a potem cwałem, ile tylko sił miał w nogach, opuścił co tchu fabrykę. Gdy wpadł z tym łachmanem na dziedziniec, wyciągnął się niebawem na zielonej murawie i począł nadzwyczajnie skrzętnie wyszarpywać watę, napojoną łożem.

Ta energiczna jego praca mocno zaciekała trzy sfinksy, do których może też i woń łoju dolatywała. Ruszyły się więc spod kolumnady i pobiegły zobaczyć, co to znaczy, że kolega ich tak usilnie pracuje zębami przechylając łeb już na prawo, już na lewo. Wkrótce potem wszystkie cztery psy rozciągnęły w powietrzu kapotę jak płachtę i każdy z nich warcząc szarpał ją w swoją stronę. Naprzód Puf surowo skarcił Pifa, a odebrawszy mu wyrwany rękaw poprzestał na tym i opuścił pole zapasów. Później Pif z Pafem rozprawiły się krwawo o wyszarpaną wspólnymi siłami połę kapoty. Nareszcie Paf, pokonany przez Pifa, dopadł uchodzącego w krzaki z resztą szmaty Asa i w zaciętej walce popękały węzły przyjacielskiego związku psów obu. z powodu owego łoju nasz wyżeł stracił przyjaciela i naraził sobie ludność fabryczną jako taki, który się odznacza zdolnościami tropienia uczynków ludzkich.

Coraz ciasniej zaczynało być psu w Mączynie, ubywali mu przyjaciele, a liczba nieprzyjaciół wzrastała. Jak by na domiar nieszczęścia zdarzyła się w tym czasie przygoda, która wywarła bardzo stanowczy wpływ na pobyt Asa przy dworze.

Kalasanty, miejscowy kucharz, wywiesił był za oknem okazałą sztukę sarniny, przedmiot ogromnie ponętny, na którego widok każdy przechodzień przystawał i patrząc wyobrażał sobie, jak będzie smakowała komuś ta pieczeń sarnia. Nie wiemy, w jakim celu pan kucharz zrobił tę wystawę sarniny na pokaz, ale on prawdopodobnie wiedział, co czynił. Zdrażniwszy niepospolicie swoje stosunki z Pafem As uważał za właściwe unikać teraz kolumnady i schodów pałacu, gdzie były jego przyjaciel razem z braćmi zwykle spędzał życie. Puszczął się przeto w okolice kuchni, spiżarni, kurnika, co go zbliżało już do pospolitego psiego gminu. Właśnie w czasie jednej z takich wypraw spostrzegł wiszącą przy oknie sarninę, wobec czego zachował się zupełnie tak samo jak każdy inny przechodzień: naprzód przyglądał się stojąc, następnie przysiadł na ogonie i w tej postawie pochłaniał wzrokiem sztukę piękną. Skoro się później pokazało, że sarnina znikła gdzieś bez śladu, a pozostał tylko kawałek sznurka, na którym wisiała, wystąpili różni naoczni świadkowie, głównie służący dworscy, zawzięcie dowodząc, jako widzieli Asa oczyma chciwie pożerającego mięso. Ktoś się odezwał:

– Ho, ho! Szprync taki jak on łatwo mógł podskoczyć i urwać!

Żeby podtrzymać to mniemanie, znaleźli się zaraz ludzie, którzy na własne oczy widzieli, że wyżeł w pogoni za kotem przesadzał nadzwyczajnie wysokie parkany.

– On bestia i na drabinę wylezie, kiedy mu potrzeba! – wtrącił jakiś człowiek świadomy zdarzenia z łojem na fabryce, a podciągający pod pojęcie drabiny owe wygodne schodki, z których pies zwłókł kapotę i dzbanek z łojem.

Trudno było nie przegrać sprawy wobec tylu dowodów. Kalasanty jak rabin kiwał tylko głową, zdawało się, że jakoś nie bardzo ufa świadkom, ale zachwiała się jego sprawiedliwość, kiedy Pelagia gromkim a groźnym głosem fuknęła:

– Cóż się pan Kalasanty jeszcze namyśla? Czy taki gałgan, co dusi kury, indyki, nie może zjeść także sarniny?

Zmiękł natychmiast kucharz, który, nawiasem mówiąc, jak każdy człowiek spokojny bał się nadzwyczajnie niewieściego języka.

– A tak, tak! Skoro dusił kury, indyki, to pewnie zjadł i sarninę – rzekł Kalasanty głosem powolnym, jakim przemawiają ludzie ślamazarni, nie mający odwagi bronić swoich przekonań.

W niecałą godzinę potem obiegała po Mączynie wiadomość, że As wykradł i zjadł ogromną pieczeń sarnią, przy tym oblizywali się zarówno opowiadacze jak i słuchacze. Każdy niegodny czyn, popełniony rzeczywiście lub przypuszczalnie, pociąga za sobą objawy mściwości społecznej. Występną jednostkę spotyka prześladowanie surowsze niż kara sprawiedliwości, bo ono nie zna granic i końca. Jest to już właściwością natury ludzkiej, aby w całym szukać dziury, aby w rzetelnej nawet cnocie wynajdywać złe strony; cóż dopiero mówić o czynach napiętnowanych jako występne! Wyrozumiałość, pobłażliwość i sprawiedliwość bywają ludzkimi przymiotami niekiedy, ale złość i mściwość – zawsze.

As nie był ani zły, ani dobry; przypadkiem mógł mieć łaski u ludzi i przypadkiem zasłużył na ich niełaskę. Czy on istotnie zjadł potajemnie sarninę, jest to do dzisiejszego dnia bardzo wątpliwe. Z pewnością tylko można powiedzieć, że ludzie koniecznie potrzebowali zwalić tę winę na niego, że im zależało na tym, aby go potępić przy pierwszej okoliczności. Tłum doświadcza przyjemności, gdy może prześladować, łąać, bić, dręczyć takiego uznanego przestępcę. Na takich ofiarach pobiera może ludzkość pierwsze lekcje moralności kształcąc uczucie wstrętu do złego. Przecież zwierzęta stanowią także przedmiot wiwisekcji, gdy chodzi o naukę praw życia, o fizjologię. Giną mali i słabi, choć niewinni, a ich cierpienia, śmierć służą do wzmocnienia silniejszych.

Zaraz po uznaniu winy psa w kuchni pierwszy lepszy służący, który napotkał Asa na swej drodze, uważał sobie za obowiązek uderzyć go kijem lub cisnąć weń kamieniem; inni czynili to samo. Wyżeł przez jakiś czas trzymał się na przestrzeni między pałacem a oficynami nie mając ani tu, ani tam przystępu. Ponieważ w fizjonomiach ludzkich czytał po największej części nienawiść i pogardę dla siebie, przeto stawał się bardzo nieśmiały, stronił od ludzi. Ciężko widać i psu, gdy mu nikt nie daje dobrego słowa, nie odezwie się po przyjacielsku: „Pójdź tu!” Ta gotowość świata do prześladowania jest wtedy okropna. Narażona na nią nieszczęśliwa jednostka najkrótszą drogą i zupełnie nieświadomie zdąża do upodlenia. Rozgoryczonemu psu mogło się wydawać, że jest rzeczywiście nędznym prochem, niegodnym żyć w tym otoczeniu. Spoglądał nieraz ku trzem sfinksom, a nie śmiał się zbliżyć do pałacu, coś tak, jak gdyby sobie wyobrażał, że i psy spoglądają nań pogardliwie, nienawistnie, groźnie. On by się teraz i na posąg z kamienia nie poważał szczechnąć. Gdyby osamotniony pies trzymał się był dłużej tak na boku, z ogonem spuszczone, z oczyma smutnymi, niezawodnie wnet powiedziano by o nim: „Ten pies wściec się myśli”. I wtedy Apolinary zapewne wziąłby się do dzieła, ażeby wystrzałami przerwać pasmo żywota, pełnego utrapień.

Wszędzie i w każdym czasie są takie istoty, podlegające wśród prześladowania; nie mogą one umrzeć ani im nikt życia nie skróci. As teraz właśnie należał do ich rzędu. Nareszcie można go było widzieć, jak porzucił już okolice pałacu i oficyn, a przeniósł się w miejsce, gdzie jest koniec obrębu pałacowego i początek drogi, wiodącej poprzez groblę ku miasteczku. Tam na mostku, niedaleko „templa”, leżał w ślimaka zwinięty, z pyskiem na ogonie albo wystawał, mając fizjonomią wędrowca, który zamierza opuścić ognisko domowe, pójść w świat, tylko coś się nie może zdobyć na krok taki. Bo dokąd iść?... Świat jest wielki, szeroki, ale przecież nie dla psa, któremu trudno zerwać z domem. Kiedy raz przed samym wieczorem przyglądał się tak przechodniom i przejezdny, spostrzegł go jakiś jegomość jadący sankami w parę koni, i ten – zapewne od niechcienia – mruknął pod nosem:

– Pójdź tu, piesku!

Dawno już z ust ludzkich nie słyszane słowa dodały psu otuchy; żwawo pobiegł za sankami i niebawem znalazł się w miasteczku. Tutaj podróżny jegomość zajechał przed dom bogatego Izraelity, który pożyczał pieniędzy na lichwę, i zaraz się udał do jego mieszkania. Wkrótce też potem i woźnica poszedł do szynku, As zaś uważał za właściwe wskoczyć na sanki, zagrzebać się tam w sianie, ponieważ go sen morzył. Oj, bardzo przykre dla wyżła było z tego snu przebudzenie! Stał nad nim furman, chłop sążnisty, kłął straszliwie, a ćwiczył go jednym z tych biczów, składających się prawie z samych węzłów, grubych i twardych jak żelazo. Chłopu chodziło o to, że na takim miejscu, gdzie jego pan siadał, pies się ośmielił rozkładać.

Na wrzawę, której As narobił z bólu, w okamgnieniu ruszyły się psy miejscowe, ze wszystkich stron pędziły na wyścigi, gotowe szarpać, gryźć cierpiącego. Księżyc jasno oświecał rynek Mączyna i wyżeł wyraźnie widział na śniegu tę psią hołotę, dyszącą pragnieniem przelewu krwi jego. Straszne były postaci tych kundli i przeróżnych mieszańców! Zgrai owej zdawał się przewodzić wielki, tłusty pies rzeźnicki, płowy, z czarnymi obwódkami około oczu, gładki, jak by wylizany, z obcięzonymi uszami, z króciutkim ogonem; mieszały się w nim cechy buldoga, ogara, brytana i kundla. Bez żadnych uprzednich zagajen przyskoczył do Asa jęczącego pod ścianą żydowskiej lepianki, wziął go za kark i rzniął o ziemię, a cała ciżba psów tłoczyła się gwałtownie z zębami, żeby tylko gdzie bądź dopaść i siepnąć powalonego. Warczenie, chrapanie, skowyt stanowiły prawdziwie piekielną wrzawę. Na leżącym Asie utworzyła się ruchoma góra kudłów, ogonów, łbów, nóg psich, a wszystko przewalało się z miejsca na miejsce i wtoczyło się nareszcie do ciemnej sieni żydowskiego domu. Tu, w ómach nocy, przyjaciel nie rozróżniał już przyjaciela i wszystkie psy gryzły się między sobą, wyprawiając przerażający harmider. Dopiero Żydówka,



gospodyni domu, zdobyła się na osobliwy pomysł: uchyliwszy drzwi izby chlusnęła garnek wrzącej wody na rozżartą psiarnię. Jak by na skinienie czarodziejskiej różdżki, w jednej chwili wszystko ucichło i tylko w oddaleniu dawało się słyszeć sapanie, kichanie tych kundli, co tchu teraz zmykających na swe śmieci. Ostatni wyszedł z sieni As, i to zmuszony przez Żyda kijem.

## ROZDZIAŁ VII

*Mieszkanie pana doktora. – Kot w oknie. – Wint z dziadem. – Kolacja i przygoda kota. – Co myśleć o psie, który się wałęsa po nocy? – Z igły widły. – Przed stajnią pocztową. – Ucieczka z Mączyna. – Sterty zboża w polu. – Były dzierzawca folwarku. – W chacie i za chatą. – Z życia jedyna ucieczka – śmierć.*

Wlokąc za sobą okulawiałą nogę, jak żołnierz ranny uchodzący z pola bitwy, puścił się wyżej przez rynek i dotarł do siedziby lekarza. Była to ustroń spokojna, starannie sztachetami ogrodzona od rynku i innych domostw w miasteczku. Żaden czworonóg nie mógł tutaj wtargnąć, a jeśli to przypadkiem nierozważnie uczynił, w całym domu obwoływano natychmiast pospolite ruszenie: kto żył, porywał w rękę oręż, jaki się nadarzył, i zapamiętałe uderzano na wroga. Kucharka Regina, służący Włodek i wielce krzykliwa, choć maleńka suczka Muszka były to siły armii czynnej, pozostającej w tym domu ciągle na stopie wojennej. Atoli w nadzwyczajnych wypadkach sam pan doktor stawał na czele armii, jeżeli, na przykład, trzoda chlewna hurmem powracająca z pastwiska wdarła się przez powyłamywane tu i ówdzie sztachety i zuchwale rozpuściła zagony. Wroga bito, wypędzano, sztachety łatano; świnie zawsze włąziły.

Głównym powodem takiej niesłychanej w miasteczku dbałości o nietykalność dziedzińca były najprzód kwiaty, bardzo troskliwie uprawiane przez panią doktorową, następnie gospodarstwo jej – istne oko w głowie – składające się z trzech kur i koguta, dwóch kaczek i tłusciutkiego, różowobiałej barwy prosiaczka. Zarówno kwiaty, jak i te zwierzęta wymagały spokoju, którego zapewnienie było bardzo trudne wobec niezmiernie surowych obyczajów rogaczny i nierogaczny w Mączynie. No, ale obecnie z powodu zimy i już dziewiątej godziny wieczorem czujność domowników okazywała się zbyt dużą i przybycie tutaj Asa nie zwróciło niczyjej uwagi. Był on w tej siedzibie bezpieczny jak w twierdzy, ponieważ psy miejskie, pamiętne, że tutaj już nieraz odebrały basy, zawsze z daleka obchodziły dom pana doktora i z trwogą nań spozierały.

As przybywszy tu z chorą łapą poszedł prosto na ganek i tam pod ławeczką dokonał za pomocą języka pierwszych lekarskich opatrunków, niezbędnie wymaganych podług psych wyobrażeń o medycynie i chirurgii. Z okien mieszkania pana doktora połyskiwało światło, które pięknie padało na śnieg i tak jakoś przyjemnie przemawiało do przekonania wyżła, że tam wewnątrz domu musi być ciepło, bardzo dobrze. Blask, odbity na śniegu, pociągał go magnetycznie. Nie mógł się oprzeć temu pociągowi, powstał, stanął naprzeciwko okna i patrzył, co się w mieszkaniu dzieje. Widział on tam stół nakryty białym obrusem, talerze, obok talerzy – noże, widelce, na środku stołu – koszyczek z chlebem i bieluchnym ciastem. Opodal w kącie na małym stoliczku stał samowar, kurzący się kłębamii pary. Jednym rzutem oka pies ogarnął cały ten przemawiający do duszy widok i jeszcze lepiej przybliżył się do okna: „Ze wszystkiego widać, że ludzie mają tu zamiar używać darów bożych; niechże ja na to z bliska popatrzę...”

Nasz pies nie widział tego, że przy samym oknie na stoliku i między kobiecymi robótkami pani domu, przycupnąwszy, na wpół drzemał kot i przymrużonymi oczyma rzucał spojrzenia na krzątanie się ludzi i przygotowywanie wieczerzy. Ucho kocie, baczne na wszelkie szmery,

postyszało widać odgłos ruchów psa za oknem. Kizia odwrócił się, spojrzął w okno i w blasku światła księżycowego spostrzegł czarnego psa na białym śniegu. Widocznie mocno się tym; zaniepokoił, gdyż nieustannie już w tę stronę wzrok zwracał. Pies przysiadł na ogonie, ciekawie wpatrywał się w okna, zrazu jednakże kota wcale nie widział.

U pana doktora był wint. W drugim pokoju, dokoła zielonego stolika siedzieli partnerzy: aptekarz, pan Tomasz – nauczyciel z pałacu, i gospodarz, jedyni ludzie, którzy w Mączynie i całej okolicy Mączyna uprawiali sztukę gry w winta, gdy tymczasem ogół graczy oddawał się preferansowi. Grali z dziadem i z przykupką, a spierali się bardzo głośno, namiętnie, ponieważ aptekarz strzelał nadzwyczajne baki, oburzając w najwyższym stopniu jego współgraczy.

– Nie dosyć, że przegrywam, jeszcze mi wymyślają!... – mówił właśnie żaląc się zgoryczony farmaceuta, kiedy weszła pani doktorowa i zażegnała żwawy spór, uprzejmie zapraszając wszystkich do wieczery. Zasapani, zadyszani, w uniesieniu, powstali od zielonego stolika i skwapliwie zdążyli teraz do białego, ale po drodze nie zaniedbywali i tak kłótni, dopóki każdy z nich nie połknął kieliszka wódki i nie zajął miejsca.

Dla Asa otwarł się w tej chwili bardzo ponętny widok, gdy przez szybę ujrzał na jednym półmisku dymiące się ciepłą parą pieczone mięso, na drugim – sypkie kartofle. To go mimowolnie pociągnęło ku oknu. Ruch taki kot wziął widocznie za rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich, gdyż powstał, wygiął się w kabłąk i świecące oczy utkwiał we wrogu swego rodzaju. Wyżeł miał teraz przed sobą kota i półmiski; kot go niecierpliwiał, drażnił, półmiski – mile wabiły. Zbliżył się jeszcze bardziej do okna, może nawet warknął półgłosem. Wówczas kot nie zdołał już dotrzymać placu, odsądził się, jak mógł najlepiej, i jednym susem ze stoliczka pod oknem skoczył na stół biesiadników. Zapewne wskutek przestachu źle skok swój wymierzył i padł prosto w talerz stojący przed aptekarzem, grzęznąc w kartoflach oblanych sosem. Pan aptekarz wtedy właśnie operował widelcem i jakoś, chcąc nie chcąc, kolnął nim kota, który tym jeszcze bardziej przestraszony z talerza skoczył na ramię aptekarza, a potem poszedł dalej. Zdarzenie takie dostarczyło wątku do rozmowy przez czas dłuższy o tym, co mogło skłonić zwykle bardzo spokojnego kotka do czynu prawie nie dającego się objaśnić.

Po skończonej wieczery winciarze opuszczali gościnne progi, a pan doktor z właściwą sobie uprzejmością odprowadzał ich do sieni, gdzie nie omieszkało jeszcze wyrzekać na brak czwartego partnera i na konieczność grywania z dziadem: „Czysty rozbój”. Ale za odemknięciem drzwi od ganku do sieni wcisnął się As, jakiś zbiedzony, drżący, pokorny. Każdy z obecnych tutaj dobrze znał tego psa, przeto dał się słyszeć najprzód okrzyk zdziwienia: „As! As!”... a potem na oczekaniu otwarto pole domysłem, co to znaczy, że wyżeł pałacowy o tak niezwyklej porze zjawił się w miasteczku, u drzwi doktora mianowicie. Błąkanie się Asa w nocy poza obrębem pałacu nauczyciel przypisywał indywidualnym popędom jakimś, a przy tym brakowi domowej dyscypliny.

Człowieka żyłka wintowa wyciąga z domu, psa – inna żyłka.

Jednakże lekarz i aptekarz, mający zwykle do czynienia z wadliwymi organizmami, wpadli na domysł choroby zwanej wścieklizną.

Pies z porządnego domu nie wałęsa się po nocy bez „ale”, bezwarunkowo stan nienormalny.

Chociaż As zdradzał przygnębienie tylko i pokorę, jednak na wszelki wypadek wypędzono go za drzwi, zwłaszcza że nosił na sobie krwawe ślady niedawnej walki, a przy tym widok obcego psa w domu bardzo niepokoił i rozdrażniał Muszkę.

Aptekarz, który od południa grał w winta i obawiał się wymówek żony, wróciwszy teraz do domu rzekł zaraz na wstępie:

– Mamy w mieście psa wściekłego!

Słowa te tak przerażyły panią aptekarzową, że zapomniała od razu o wyrzutach i myślała tylko o niebezpieczeństwie, na jakie się mąż jej narażał wracając do domu. Wystarczyło to już najzupełniej, ażeby cały Mączyn miał się nazajutrz na ostrożności przed psem wściekłym. Rano bowiem pani aptekarzowa rzekła do wychodzącej z domu służącej:

– A strzeż się tam, bo w mieście jest pies wściekły! Poszło to zaraz w obieg. Różni mieszkańcy Mączyna przypominali sobie czym prędzej, że wczoraj z wieczora słychać było w mieście ogromną psią wrzawę, powodem której, jak się pokazuje, był pies wściekły. O niczym innym nie mówiono już w miasteczku, tylko o tym jednym, że wczoraj psy gryzły się z psem wściekłym. Ktokolwiek posiadał psa przy domu, oglądał go dzisiaj troskliwie i odosabniał, jeżeli się okazała najmniejsza ranka. Nawet i ów wielki pies rzeźnicki poszedł pod zamknięcie, ponieważ mu na grzbiecie sierść oblaża wskutek oblania przez Żydówkę wrzącą wodą. Do dziewiątego dnia miały pokutować te psy pozamykane.

Kiedy pan doktor rano wyszedł z domu w celu odwiedzenia chorych, cały Mączyn tak mu się przedstawił, jak gdyby tu oczekiwano napadu Tatarów, w ustach każdego był „pies wściekły”. Zastanowiło go to i wstąpił do apteki, ponieważ w aptece zawsze się dowiedzieć można czegoś pewniejszego. Teraz już do pana aptekarza nieustannie powracały jego własne słowa, wyrzeczone wczoraj w nocy do żony: „Mamy w mieście psa wściekłego!” Każdy przychodzący do apteki po olejek powtarzał „pies wściekły” i aptekarz mniemał, że otrzymuje coraz to nową wiadomość, a tu mu odnoszono tylko jego własne słowa.

Doktor i aptekarz od razu zgodzili się na to, że As, który wczoraj za otwarciem drzwi wpadł do sieni, był istotnie psem wściekłym i Bóg wie ilu ludzi, zwierząt do tego czasu mógł już pogryźć. Jednocześnie też, ze względu na bieżące niebezpieczeństwo, postanowiono dzisiaj wieczorem nie grać w winta.

Uczeń aptekarski, którego ta rozmowa zaciekawiała w najwyższym stopniu, powtórzył ją przybyłemu wkrótce potem po lekarstwo na zęby organście. Ponieważ organista miał uszy pozatykane watą, słyszał więc tylko wyrazy: „doktor, aptekarz, pies wściekły”, a ich uzwiązkowanie sam sobie już w głowie urobił: „Pies wściekły pokąsał doktora i aptekarza”. Ludzie oczekiwali pożądliwie skutków pobytu psa wściekłego w Mączynie, skwapliwie więc przyjęli taką wiadomość. Wszelkie powody trwogi już były ustały, a jeszcze byli tacy, którzy ciągle wierzyli, że pies wściekły rzeczywiście pokąsał lekarza i aptekarza.

Tymczasem As, wyrzucony za drzwi z sieni doktora, udał się teraz w sąsiedztwo, przed stajnię pocztową, gdzie wielka obfitość wyrzucanej spod koni mierzwy obiecywała mu dobre legowisko, zabezpieczające od wpływów nocnego zimna. Zakopał on się tutaj po uszy i po doznanych licznych wrażeniach, a zapewne także wskutek osłabienia zasnął snem twardym. Szeroko już mówiono o nim na mieście, a on, ile razy otworzył oczy i spojrzął na świat jasny, ciągle uczuwał w członkach jakieś rozluźnienie, omdłałość, potrzebę dłuższego wypoczynku. Zamykał oczy, znowu je otwierał, znowu zamykał: widocznie pragnął przez sen wynagrodzić sobie utratę sił, odzyskać krzepkość utraconą, a tak potrzebną do zapasów z życiem.

Było już prawie południe, kiedy ze stajni poczęto wyrzucać nawóz w dwie pary rąk i zwałać go właśnie na tę kupę, gdzie zagrzebany pies wypoczywał. Musu nieraz trzeba, ażeby opuścić pościel, wygrzaną ciepłem swego ciała. Coraz to nowe pokłady spadały z widel parobków i przytłaczały rozspanego wyżła; nareszcie poczuł, że już ledwie może oddychać. Porwał się z przerażeniem i zebrawszy wszystkie siły wyskoczył nagle z kupy mierzwy ku nadzwyczajnemu przestachowi parobków porządkujących stajnię: szeroko na ten widok rozwarli usta, wytrzeszczyli oczy i przez jakiś czas stali nieruchomi z widłami w rękach. Opamiętali się jednak, bo przecież słyszeli już byli coś o przebywaniu w mieście psa wściekłego. Rażno więc poskoczyli za zmykającym Asem, puszczając na miasto przeraźliwe okrzyki: – Pies wściekły! Pies wściekły!

Wołanie to sprawiło nadzwyczajny skutek: kto tylko był na rynku, usiłował się gdzie bądź schronić i wystraszone Żydówki przewracały się z wrzaskiem, a wyżeł gnał jak szalony.

Pouciekały też przekupki z kramów, między którymi As przebiegał, i gdy mu się nastreczył kosz napełniony rybami suszonymi, twardymi jak deski, mimochodem pochwycił jedną w zęby i uniósł. Już wypadł za miasteczko, kiedy dopiero jaki taki, uzbrojony drągiem, puszczał się za nim w pogoń z ogromnym wrzaskiem. W niejakim oddaleniu od Mączyna widniał folwark: liczne sterty zboża, ustawione dokoła budynków gospodarskich. Zwierz dziki, gdy go ludzie prześladowają, uchodzi do boru, pies – właśnie do ludzkiego domu. Ha, kto wie, może gdzieś i są dobrzy ludzie! Przecież dobroć jest wytworem człowieka...

Niedługo trwała pogoń mieszkańców Mączyna. Bóg miłosierny dał prześladowanym istotom dzielne nogi i to potężne uczucie strachu, które w razie potrzeby przypina do nóg skrzydła. Dobrze się stało, że As w popłochu takim miał jednak należyłą przytomność umysłu i na wychodnym z miasta zaopatrzył się w suszoną rybę, której nie popuścił podczas ucieczki.

Zbliżając się teraz do folwarku zwolnił biegu, spojrzał poza siebie, a gdy już nie spostrzegł ani znaku prześladowania, zadarł do góry ogon i swobodnie zmierzał ku najbliższej stercie zboża. Ach, jak dobrze mieć suchy kawałek chleba i móc go zgryźć spokojnie, nie czując na karku żadnego nieprzyjaciela! Przyjaciół w takich razach również się nie pożąda.

Wpił się zębami w swój bardzo twardy kasek i od czasu do czasu odłupywał jakąś trzaskę. Spracował szczęki, a niedawno przedtem – nogi; niebo też jakoś poczerniało, groziło słońcu, zachodni wichur rozganiał po nim chmury. Wszystko to nie zachęcało psa bynajmniej do szukania wiatru po świecie, jał się więc pracy, rozgrzebał słomę pod stertą i urobił sobie wcale wygodne gniazdo. Przez pewien czas posyłał w pola markotne spojrzenia, potem zaczął coraz częściej poziewać, zwinął się w kłębek, zestawiał nos z ogonem i zasnął w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa.

Folwark, na którym As obecnie przebywał, należał do hrabiego z Mączyna, a przez kilka lat z rzędu trzymał go w dzierżawie za tanie pieniądze jeden z bogatych chłopów miejscowych. W tym bieżącym roku pan hrabia odebrał majątek na siebie i zaprowadził tu gospodarstwo na własną rękę. Urodzaje były ogromne, już sam owies, złożony w stertach, obiecywał co najmniej trzykrotnie większe korzyści właścicielowi, aniżeli wynosił dotychczasowy dochód z dzierżawy. Toteż były dzierżawca nienawistnym okiem spoglądał na te obfite plony, które byłyby mu kieszeń porządnie napełniły pieniędzmi, gdyby się i w tym roku utrzymał przy dzierżawie folwarku. O, bardzo niedobre myśli przechodziły przez głowę chłopca! Już on nieraz wystawał pod tymi stertami, obliczał sobie na pieniądze ich zawartość i zawsze odchodził stąd, mając duszę pełną gorzkości. Spać mu nie dawała myśl, ile on to mógłby być zarobić, a nie zarobił!...

Dzisiaj, kiedy oto dąć zaczął silny jesienno – zimowy wichur, a świat się zamroczył straszliwą zawieją śnieżną, chłop coraz to wychodził z chałupy i spode łba wpatrywał się czegoś w tę zawieruchę, kostrzewiącą strzechy, świszczącą, skrzypiącą, huczącą, jak gdyby się ziemia załamywała. Z wieczora wszystko, co żyło, uchodziło pod dach skwapliwie, tylko on wymknął się cichaczem, nacisnął czapkę na uszy i z rękoma w kieszeniach, chyłkiem po mroczku, dążył ku owym stertom, na które wichur zdawał się teraz wywierać całą swą wściekłość wyszarpując je garściami.

Były dzierżawca folwarku niedługo tutaj bawił. Jakby ponura mara wichrem zagnana w to ustronie, przesunął się popod stertami i potem najkrótszą drogą co tchu wracał do domu. Widać, że mu chodziło o nakrycie tajemnicą tej wyprawy.

Gdy przybył do chaty, usiadł spokojnie na ławie, zakurzył sobie fajkę i z uroczystością patriarchy rodziny spoglądał na igraszki wnuczęcia, które u stóp Jego czołgało się na czworakach. Któż by powiedział, że ten człowiek przed chwilą podpalił sterty z dworskim zbożem?...

– Hej, panie ojczu, w stertach dworskich gore! – rzekł syn, chłop już przeszło trzydziestoletni, który właśnie skądś powrócił i z progu chaty tymi słowami powitał ojca przesywając go jednocześnie przenikliwym wzrokiem.

– Bóg ich karze widać za moją krzywdę! – odpowiedział stary i podźwignął się z ławy, ażeby wyrzeć przez okno.

– Pan Bóg Bogiem, a ludzie ludźmi! – mruknął syn zbliżając się także do okna.

Niebo zaogniło się straszną łuną, której światło oblało w tej chwili ponurą twarz starca i rozwidniło całą izbę. Miliony iskier, gnanych wichrem szalonym, przelatywały po powietrzu na wszystkie strony, a tu i ówdzie jak rakietą widniała uniesiona w górę płonąca garść słomy.

– Jezus, Maria, Józefie święty, ratujcie! – zawołała wbiegając do izby zdyszana synowa starego chłopca. Porwała na ręce dziecko i ukłękła co tchu przed obrazem Matki Boskiej, na głos odmawiała pacierz.

As leżał pod pierwszą od pola stertą, zasłoniony jednak przed wiatrem całą jej masą; naprzeciwko swego legowiska miał drugą stertę, a dalej – cały szereg stert, tworzących jak gdyby ulicę. Podmuchy zimnego wiatru wpadały niekiedy i do psiego gniazda prosząc w nie wilgotnym śniegiem; tym głębiej wkopywał się wyżeł w słomę. Nagle z tej pierwszej sterty buchnęły płomienie, w okamgnieniu ogarnęły ją całą i z nadzwyczajną szybkością rzuciły most ognisty na stertę przeciwną, liżąc językami i boki stert sąsiednich. Fale dymu zmieszanego z rozżarzoną perzyną niespodziewanie wtargnęły do zacisza Asa. Porwał się, piorunem poskoczył w stronę pola, ale właśnie stamtąd powiał głównie war ognia i ćma dymu: tu się utworzył już szaniec ze zwalonej wichrem i z sykiem płonącej słomy. Zawrócił i rzucił się w ową ulicę stert, przez którą w piekielnym pochodzie ciągnął prąd pożaru. As chciał z nim pędzić, znaleźć sobie wyjście. Niestety, wyjście było tylko jedno – stracić życie.

Uwikłany w tyle życiowych dramatów, przeszedłszy tyle przygód As zginął nareszcie: wcześniej czy później, zawsze go to oczekiwało.